

Internetowe radiostacje z CCM

RAZ DWA TRZY

Tomek Budzyński

SOOL

TGD

25/2003
RUaH

MAGAZYN
MUZYCZNY

KWARTALNIK
www.ruah.pl



14,90 zł
w tym VAT 0%

ISSN 1428-5983 INDEX 345385



nakład 6500 egz.

Adam Nowak



Większość utworów prezentowanych na naszym krążku pochodzi z płyt, które ukazały się, bądź ukażą się w najbliższym czasie w sprzedaży

- 1 SOOL „Moje życie”
sl. i muz. Barbara Włodarska 4'20
- 2 T G D „Mój ląd”
sl. Piotr Nazaruk i Ewa Alimowska, muz. Piotr Nazaruk 4'00
- 3 MAGDA ANIOŁ „Coś się święci”
sl. i muz. Adam Szewczyk 3'03
- 4 PUMA „Modlitwa”
sl. Julita Starbala, muz. Julita Starbala i Jarosław Zawadzki 4'32
- 5 HANIA „Holy, holy, holy”
muz. John B. Dykes 4,47
- 6 VIOLA & NEW DAY „Mizerna cicha”
sl. i muz. tradycyjne 4'39
- 7 JOLA SZCZEPANIAK, Maciej Cybulski
i zespół wokalny Bassanda „Mędracy świata”
sl. i muz. tradycyjne 4'05
- 8 40+30/70 „Kolęda o sercu”
sl. i muz. Robert Ruszczak 5'15
- 9 PIOTR PAWLICKI „A-je, u-α”
sl. i muz. Piotr Pawlicki 3'57
- 10 ANTONINA KRZYSZTOŃ „Szukam Ciebie”
sl. i muz. Antonina Krzysztoń 2'07
- 11 ZESPÓŁ W SKŁADZIE: Robert Dręzek, Łukasz Klucznik,
Przemek Pačan, Krzysztof Kmiecik „W żłobie leży”
sl. i muz. tradycyjne 4'13
- 12 PNEUMA „Gdzie”
sl. i muz. Kuba Mańkowski 6"24
- 13 DUCH „Historyjka”
sl. i muz. Michał Maciudziński 2'50
- 14 MISTERIUM VERBI „Gnoza”
sl. i muz. Marcin Jeziorek „Jazor” 2'05

Wiadomość z ostatniej chwili: **Andrzej Cudzych nie żyje!** 23 listopada 2003 roku, w Uroczystość Chrystusa Króla, odszedł do Pana, by zasiłki Jego Niebiańskiej kapeli nasz Przyjaciel Andrzej Cudzych. Wspaniały kontrabasista jazzowy, po zmaganiach z nieubłaganą chorobą – rakiem dołączył do grona najlepszych. Łączymy się w modlitwie pocieszenia z żoną Ewą i dziećmi Andrzeja. O Andrzeju, jego muzyce, zmaganiach z chorobą - w następnym numerze RUaH

w numerze:

- 6 Totus dla O. Andrzeja
- 7,17 News
- 8 Rockowy papież
- 16 z Jerzym Bielunasem rozmawia Andrzej Bujnowski OP
- 18 z Adamem Nowakiem rozmawia Cezary Sękowski
- 24 Misterium Uwielbienia (3) – Piotr Płecha
- 39 Tomek Kamiński – nowa płyta
- 25 Kurt Keck – szalony Amerykanin w Polsce
- 40 On mnie i tak znokautował – świadectwo
- 42 Sarmacja Wniebowzięta (3) – Jacek Kowalski
- 44 z Tomkiem Budzyńskim o jego malarstwie
- 46 Kraftwerk – Marek Horodniczy
- 48 Dziewiczy Orszak Baranka – świadectwo
- 50 Jesteś tym, czego słuchasz... 2Tm 2,3 w Szczecinie
- 52 Internetowe radiostacje – Michał Nolywajka
- 54 Sool
- 56 Galeria RUaH – Christos Mandzios
- 58 Warsztaty TGD
- 64 z archiwum Y - Piotr Pawlicki

Wszystkim
Czytelnikom,
Sympatykom,
Twórcom pisma
i Artystom –
Bożego Narodzenia
w sercach,
w domach,
rodzinach,
wspólnotach,
na scenach
i w studiach
nagraniowych życzy Redakcja RUaH!



RUaH numer
25

WYDAWCA / REDAKCJA

paganini

Małgorzata i Weronika Kotarba

31-135 Kraków, ul. Batorego 25/11,

tel./fax 012-623 71 81, tel. 012-623 71 82

e-mail: firma@paganini.com.pl

RUaH w internecie: www.ruah.pl www.paganini.com.pl

Druk: Drukarnia Kolejowa, Kraków

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania

i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie bierze

odpowiedzialności za treść i formę reklam.

Na okładce: Adam Nowak

fotografia na okładce: Andrzej Świątlik

ZESPÓŁ:

Redaktor naczelny: Janusz Kotarba

Redaktor programowy: Andrzej Bujnowski OP

Opracowanie graficzne: Andrzej Bujnowski OP,

Grzegorz Gielert

Sekretariat redakcji: Weronika Kotarba

Skład i łamanie: G2

Korekta: Kinga Chojnacka

Stali współpracownicy: Rafał Boniński, Natalia Budzyńska,

Jan Bujnowski, [Andrzej Cudzych], Andrzej Dziewit,

Iwona Flisikowska, Piotr Iwicki, Marcin Jakimowicz,

Jacek Kowalski, Antonina Krzysztoń, Michał Kulenty,

Darek Malejonek, Beata Mencil, Marcin Oleksy,

Marcin Perfuński, Barbara Pycel, Krzysztof Raczynski,

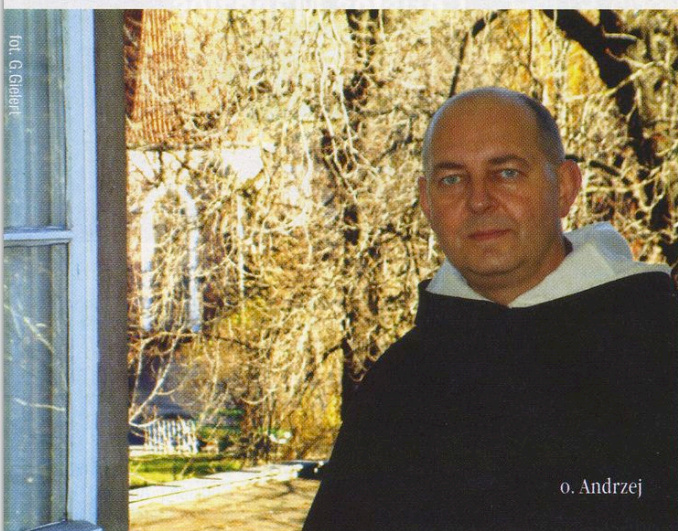
Adam Rymarz, Cezary Sękowski, Leszek Tokarski,

ks. Grzegorz Ułanek, Grzegorz Waclaw, Jan Walczewski,

Tomasz Wienke, Monika Zytke, Jakub Żmizdiński



Statuetka Totus



o. Andrzej

Drodzy Czytelnicy!

Fundacja Episkopatu Polski – „Dzieło Nowego Tysiąclecia” – przyznała mi nagrodę TOTUS TUUS za 2003 rok (ma ona formę statuetki – anioła) w kategorii „osiągnięcia w dziedzinie kultury chrześcijańskiej”. W uzasadnieniu nagrody podkreślono „odnowę muzyki liturgicznej i harmonijne łączenie w niej cennych elementów tradycji i osiągnięć współczesnych twórców, a także wyjątkowy w skali międzynarodowej fenomen stworzenia i animowania środowiska młodych muzyków chrześcijańskich”. Ceremonia wręczenia TOTUSÓW odbyła się 11 października na Zamku Królewskim w Warszawie, a niektórzy z Was mieli zapewne okazję oglądać ją w relacji II Programu Telewizji Polskiej.

Decyzję o nominowaniu mojej osoby podjęła Kapituła Nagrody TOTUS w składzie: przewodniczący – ks. abp Józef Zyciński, Waldemar Dąbrowski, Henryk Mikołaj Górecki, Rafał Grupiński, Wojciech Kilar, Maja Komorowska, Zygmunt Kubiak, ks. Wiesław Niewęglowski, Jerzy Nowosielski, Krzysztof Piesiewicz, Jan Pospieszalski, Andrzej Rottermund, Wojciech Zaguła, Krzysztof Zanussi.

To duży zaszczyt odbierać nagrodę przyznaną przez takie grono. Serdecznie dziękuję za nią Panu Bogu, Fundacji i Kapitułe.

Chcę podziękować też Wszystkim, którzy dzielili ze mną radość tej chwili, dając jej wyraz przez nadsyłane życzenia i gratulacje.

Mając możliwość publicznego zabrania głosu bezpośrednio po wręczeniu mi statuetki, wyraziłem przekonanie, że nagrodę tę odbieram jako wyraz zauważenia i wyróżnienia przez Kościół w naszym kraju istniejącej w nim już ponad 10 lat nowej generacji muzyków chrześcijan, której czuję się przedstawicielem. Środowisko młodych artystów zaangażowanych w dzieło nowej ewangelizacji jest w Polsce duże i, chwała Bogu, coraz liczniejsze. Szczerze podziwiam tych, którzy z Dobrą Nowiną docierają w miejsca trudne lub zamknięte na tradycyjne głoszenie Ewangelii przez kapłanów. To dla mnie wielkie świadectwo, gdy ktoś gra i śpiewa o Bogu na ulicy, w więzieniu, hali dworca, Domu Dziecka, szkole, klubie studenckim czy na Przystanku Woodstock. Ruch muzyków-chrześcijań tworzą, co warto podkreślić, ludzie coraz bardziej świadomi konieczności głośnego świadectwa o swojej wierze w czasach, gdy coraz jawniej i agresywniej podważane i ośmieszane są jej podstawowe prawdy. Cieszy mnie wzrastający szacunek młodych w Kościele dla zawodowego warsztatu artysty i rosnący poziom muzycznej twórczości religijnej w Polsce. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że jest ona na tyle dojrzała, że śmiało konkuruje z muzyką rynku świeckiego, a często ją artystycznie przewyższa. Tym bardziej boli fakt, że wciąż jest ona tak mało i słabo doceniana i upowszechniana przez państwowe mass-media, które wolą karmić społeczeństwo bezideową i pozbawioną jakiegokolwiek smaku rozrywką, sprzyjającą najtańszym i najbardziej konsumpcyjnym gustom.

Trudno przewidzieć, jaka przyszłość czeka muzyków-chrześcijań. Nie pomyślę się jednak chyba, gdy powiem, że niełatwa. Rozwój materialny społeczeństw idzie w parze z rosnącą niechęcią dla wszelkich idei, które od człowieka czegoś wymagają, porządkują, wartościują. Widzimy to wyraźnie na przestrzeni ostatnich lat w kraju nad Wisłą. Wielu artystów jest może niekiedy sfrustrowanych efektami swojego zaangażowania na rzecz ewangelizacji, które są niewspółmierne do ich starań i wysiłków.

Warto jednak wciąż uświadamiać sobie, że to nie my, ale Duch Święty przez nas „ewangelizuje”, a dobro pokazywane przez nasze świadectwo, nawet jeśli jest pozornie nieefektywne i trudne do naśladowania, może rozrosnąć się w ludziach, jak ewangeliczne maleńkie ziarno gorczycy – w potężny krzak czy drzewo.

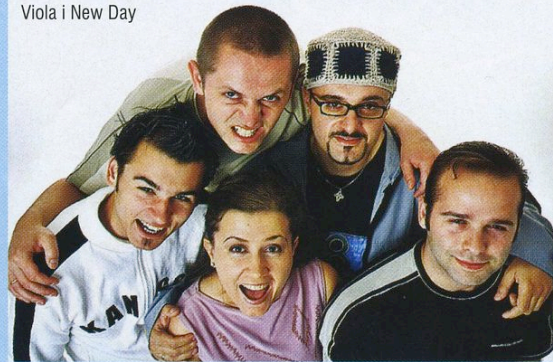
Bądźmy więc ludźmi większej wiary i dajmy Bogu przez nas działać. On na pewno najlepiej wie, gdzie nas posłać i jak się nami posłużyć. Takie życzenia przyjmijcie na Nowy Rok 2004 ode mnie i całej Redakcji kwartalnika RUaH, które pojawia się już po raz 25, a przecież nie tak dawno, 6 lat temu, z Januszem Kotarbą zastanawialiśmy się, czy to, co robimy, ma w ogóle jakiś sens? ■

O. Andrzej Bujnowski OP

Nadciąga nowa Armia

W drugiej połowie października światło dzienne ujrzała kolejna płyta Armii zatytułowana „Pocałunek Mongolskiego Księcia”. Jest to podwójne wydawnictwo zawierające płytę audio z 10 utworami oraz płytę video (DivX) stanowiącą zapis koncertu w warszawskim klubie „Stodoła”. Ponadto na albumie umieszczony został wideoklip do utworu „Zjawy i ludzie”, stworzony przez Szymona Felkela. Obraz ten otrzymał nominację do nagrody YACH FILM 2003 przyznawanej najlepszym krajowym teledyskom. Na pierwszym singlu, promującym album, znalazły się dwa utwory: „Nostalgia” oraz „Ukryta miłość” z gościnnym udziałem Arki Noego. Krążek wydał koncert Pomaton EMI.

Viola i New Day



fot. D. Jasica

Viola i NEW DAY w ogólnopolskiej dystrybucji

Kolejna płyta z muzyką chrześcijan trafiła do ogólnopolskiej dystrybucji. Mowa o debiutanckim albumie „TAM-TAM I TU” zespołu Viola i New Day, który pod koniec października pojawił się w sprzedaży w sieci sklepów muzycznych Empik i Media Markt. Warto przypomnieć, że od ponad pół roku w Empikach można kupić m.in. płyty New Life 'M, Eleonory Niemen, Deus Meus, TGD i Pedra N. oraz nabyć najnowszy numer Magazynu Muzycznego RUaH.



fot. W. Płwnik

Aleksander i Adam Baron

Zaduszki u wrocławskich dominikanów

Już po raz siódmy we wrocławskim kościele św. Wojciecha odbyły się w listopadzie (6.XI) „Dominikańskie Zaduszki Muzyczne”. Po Mszy świętej w intencji zmarłych muzyków licznie zgromadzoną publicznością wystąpili: Andrzej Waśniewski, Piotr Baron, 40 Synów i 30 Wnuków..., Tomasz Grabowy, Jarek Moczulski, Bartek Pietsch, Tomasz Szczepaniak, Marek Wesolowski, Wrocławska Diakonia Muzyczna, Aleksander i Adam Baron (synowie Piotra).

Debiut Lidki Pospieszalskiej

26.X w ramach Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej, w sali OKF w Częstochowie odbył się koncert Lidki Pospieszalskiej. Artystka występująca niejednokrotnie ze szczecińskim Deus Meus, a także biorąca udział w słynnym programie „Kolędy Pospieszalskich”, zadebiutowała tym razem solo – materiałem złożonym z piosenek, do których sama napisała muzykę (autorami tekstów są m.in. Beata Mencil, Adam Nowak z Raz Dwa Trzy, o. Andrzej Bujnowski OP). Aranżerem utworów jest jej mąż Marcin, a w zespole akompaniującym wokalistce oprócz niego grają – Janusz Yanina Iwański, Łukasz Klucznik, Daniel Pomorski, Joachim Mencil, Kamil Cudzych i Łukasz Moskal. Koncert spotkał się z niezwykle gorącym przyjęciem, a wspomniane piosenki Lidka chce zarejestrować na płycie.

Nagrody Yach Film 2003 rozdane!

Na 12. Festiwalu Polskich Wideoklipów YACH FILM 2003 teledysk „Wake Me Up” wrocławskiej formacji Frühstück został wyróżniony YACHEM za montaż (nagroda dla Marcina Fischera). Za scenariusz nagrodzono Annę Maliszewską i Łukasza Jankowskiego („Trudno nie wierzyć w nic” zespołu Raz Dwa Trzy), natomiast MAŁEGO JASIA – nagrodę za najlepszy wideoklip dla dzieci, przyznano Marcinowi Światalskiemu, twórcy obrazu do piosenki „Hej ruku andi” Dzieci z Brodą. Ponadto nominację do nagród otrzymały klipy Armii, Arki Noego, Magdy Anioł i Tomka Budzyńskiego.

Joszko Broda



fot. K. Raczynski

Maleo i Joszko w USA

W dniach 26.X 3.XI Darek Malejonek i Joszko Broda wzięli udział jako goście specjalni w zorganizowanym przez Polonię Amerykańską 9. Festiwalu Polskiej Piosenki Religijnej w Chicago. W sali Copernicus Center zagrało na nim ok. 40 zespołów występujących w różnych kategoriach. Ciekawostka: w jury Festiwalu znalazły się żony muzyków: Ela Malejonek i Debora Broda. Oprócz wspomnianego występu, Darek i Joszko dali jeszcze kilka koncertów w tym mieście, w którym mieszka ok. 1,5 mln Polaków. Wszystko wskazuje na to, że Darek wystąpi w Chicago raz jeszcze 10 stycznia 2004 roku, tym razem z Maleo Reggae Rockers, w ramach organizowanej tam po raz pierwszy amerykańskiej edycji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w prestiżowym klubie – Navy Pier. Planowane są też koncerty zespołu w innych klubach Chicago z Michaeliem Blackiem. Amerykański promotor, który zainteresował się projektem, chce zorganizować trasę koncertową wspomnianych wykonawców w Teksasie.

c. d. newsów na str. 17

ROCKOWY PAPIEŻ

Tomasz Sekulski MIC



Papież nie boi się wyzwań, jakie niesie dzisiejszy świat. Muzyki rockowej też. Krzyż Chrystusa obejmuje swoimi ramionami całą Ziemię i liczne są nieraz niewdzięczne i trudne te areopagi, na których przychodzi głosić Ewangelię. Dlatego trzeba wyzwalać się z obcej chrześcijaństwu podejrzliwości oraz przeciwstawiać się psychozie zagrożeń, w której zanika nie tylko wiara w Boga, lecz również wiara w człowieka i w jego godność.

Czasy się zmieniają

25 lat pontyfikatu Jana Pawła II, to niewątpliwie czas wielkich przemian. W prawie wszystkich podsumowaniach tego okresu dokonywanych przez media, znalazły się relacje z obecności Papieża na koncercie Boba Dylana w czasie Kongresu Eucharystycznego w Bolonii 27 września 1997 roku. Dlaczego to wydarzenie znalazło się wśród innych bezprecedensowych papieskich spotkań, takich jak choćby Dzień Modlitw o Pokój z przedstawicielami innych religii w Asyżu, wizyta w synagodze czy meczecie? „Watykan nie traktuje już rocka jako muzyki szatana, tak ocenia się zaproszenie Boba Dylana do występu w sobotę podczas Kongresu Eucharystycznego w Bolonii. Komunikat w tej sprawie głosi, że „czasy się zmieniają”, nawiązując do tytułu jednej z piosenek Dylana *The times, they are changing*. „Papież pokazał innym, którzy stawiali rock i Kościół po dwóch stronach barykady, że te dwa światy nie są sobie wrogie”. „Występ Dylana przed papieżem i ich uścisk dłoni może stać się potężnym wsparciem dla tych muzyków rockowych, coraz liczniejszych także w Polsce, którzy poprzez swoje granie i

śpiewanie chcą opowiedzieć o swojej drodze do Boga” to tylko niektóre komentarze prasowe tego wydarzenia.

Cytry naszych czasów

„Chwalić Pana na bębnie i cytrze”, znacząco uwielbiać Boga instrumentami i muzyką najbliższą sercu człowieka danej epoki. W przemówieniu, jakie wygłosił po występie Dylana, Jan Paweł II powiedział: *Wy wszyscy, obecni tu artyści i młodzi, których serdecznie witam, mówicie swoim śpiewem i grą na „cytrach naszych czasów” o pokoju, nadziei i solidarności. Dzisiejszego wieczoru muzyka i poezja wyrażają pytania i ideały waszej młodości. Dzisiejszego wieczoru drogą muzyki wychodzi wam na spotkanie Jezus*. Jan Paweł II odniósł się także do pytania zawartego w jednej z piosenek Boba Dylana (*Blowing In The Wind*), mówiąc: *Pytacie mnie: przez ile dróg musi przejść człowiek, aby zrozumieć, że jest człowiekiem? Odpowiem wam: tylko jedną! Tylko jedna jest droga człowieka, a jest nią Chrystus, który powiedział: „Ja jestem drogą” (J 14,6). On jest drogą prawdy, jest drogą życia*.

Prostytucja z antykulturą?

Kontrowersje co do rocka jednak pozostają. Wszystkie zarzuty wobec rocka i łączenia go z Ewangelią Chyba najlepiej podsumowuje kardynał J. Ratzinger, prefekt Kongregacji Nauki Wiary oraz ceniony znawca muzyki liturgicznej. Kardynał, sprzeciwiając się wprowadzaniu muzyki pop i rocka do liturgii Kościoła, zauważa radykalną antropologicznie sprzeczność tego typu muzyki z obrazem człowieka i kulturowym zamysłem wiary. *„Muzyka rockowa jest wyrazem elementarnych uczuć, które przyjęły charakter kulturowy w wielkich zbiorowiskach muzyki rockowej, stanowiąc swoistą kontrkulturę w stosunku do kultu chrześcijańskiego i pragnąc uwolnić człowieka od niego samego, wciągając go w swego rodzaju masówkę i wywołując w nim wstrząs poprzez rytm, hałas i efekty świetlne, a tym samym wpychając go w prymitywną Wszechwładzę, w której uczestniczy, przez ekstazę prowadzącą do przelamania własnych barier i ograniczeń”*. Mówiąc natomiast o próbach łączenia kultury masowej z Ewangelią, stwierdza, że medium przekazu i przekazywana treść winny pozostawać ze

sobą zawsze w odpowiedniej relacji. Medium, jakim jest rock i pop, niszczy orędzie. „*Banalizacja wiary nie jest żadną nową inkulturacją, ale zaprzeczeniem jej kultury i prostytutką uprawianą z antykulturą*” – dobitnie kończy Ratzinger. Innego zdania jest arcybiskup lubelski J. Życiński, ceniony znawca zagadnień współczesnej kultury. Arcybiskup wspomina: „*Przypominam sobie, jak przed laty proszono mnie, wówczas początkującego biskupa, żebym potępił muzykę rockową. Odpowiedziałem, że propozycję uważam za absurdalną, ponieważ nie da się za pomocą dekretów formować sympatii muzycznych. Zresztą, merytorycznie też nie byłem do tego przekonany. A dziś iluż mamy apostołów związanych z muzyką rockową, których droga do Chrystusa nie była ustana różami. Są pozytywnym przykładem dokonania wyboru Boga po ciężkich doświadczeniach życiowych i wielkim błędzeniu*”. Arcybiskup Życiński wypowiada się też na temat możliwości wykorzystania rocka w ewangelizacji. Chrześcijaństwo, podobnie jak w czasach apostoelskich, winno szukać nowych form przekazu Ewangelii, unikając absolutyzowania środków, które okazały się skuteczne na wcześniejszym etapie. „*Chorał Bacha może dla niektórych odbiorców okazać się równie skuteczną formą przekazu, co muzyka rockowa. Byłoby przejawem antyewangelizacyjnego podejścia absolutyzowanie form, które winny służyć ukazaniu treści. Dlatego też zarówno formy pojęciowe bliskie postmodernizmowi, jak i znamienna dla tego nurtu afirmacja wolności można wykorzystać do przekazu ponadczasowych prawd, które winny dotrzeć do współczesnego odbiorcy*” – stwierdza Życiński.

Głód niebios

Nie da się zrozumieć rocka bez kontekstu socjologicznego z jakiego wyrósł i dogłębnych analiz samego zjawiska.

S. Turner, znany brytyjski krytyk muzyczny, nadał swej pracy na temat muzyki rockowej tytuł „*Głód niebios. Rock & roll w poszukiwaniu zbawienia*”. Dochodzi w niej do przekonania, że rock w samej swej istocie zawiera jakieś poszukiwanie, które znajduje odpowiednik w poszukiwaniach religijnych. Stwierdza on dalej, że jedną z przyczyn przyjmowania przez wielu rock'n'rollowców światopoglądu religijnego jest fakt, że rock w swym najlepszym wydaniu stanowi wyraz tęsknoty za doświadczeniem transcendencji, którego to doświadczenia odmawia współczesny świat. Turner wysuwa następujący wniosek: „*Nawet rock and roll przynajmniej się do swych świeckich korzeni często kryje w sobie poszukiwanie transcendencji, wyrażone świeckim językiem*”. Powyższe wnioski potwierdza, chyba trochę niedoceniony w Polsce, II Polski Synod Plenarny. W synodalnym dokumencie na temat ewangelizacji kultury i środków społecznego przekazu znaleźć można uwagę o otwartości kultury masowej na transcendencję i wartości nie zawsze dostrzegane w kulturze elitarniej. Synod stwierdza: „*Kultura masowa niesie również szansę stworzenia międzyludzkiej solidarności opartej na pozytywnych wartościach i głębokich pragnieniach oraz niepokojach ludzkiego serca*”. W kolejnym punkcie tegoż dokumentu Synod jasno poleca, że obowiązkiem Kościoła jest jednak również dostrzeganie wartości kultury masowej i wykorzystywanie jej w dziele ewangelizacji. Wobec tego duszpasterze powinni szukać kontaktu z twórcami tego typu kultury, oddziaływać przez grupy ewangelizacyjne na młodzież gromadzącą się na koncertach rockowych, na stadionach czy innych miejscach masowych spotkań, popierać inicjatywy, które na bazie tej kultury budzą wrażliwość i solidarność międzyludzką. Synod podjął się także oceny zjawiska rocka, stwierdzając, że muzyka rockowa jest dzisiaj jednym ze znaczących czynników



kształtujących światopogląd i postawy społeczne jej miłośników. Niepokój może wywoływać zazwyczaj negatywny wpływ większości tego typu muzyki na życie religijne, moralne i intelektualne osób, które utożsamiają się z formą i treściami w niej zawartymi. Chociaż Synod dosyć kategorycznie wypowiada się o rocku, to pewną nadzieję budzi fakt zrozumienia go i nie potępienia w całości. W jednym z kolejnych punktów dokument stwierdza: *We współczesnych piosenkach pojawiają się też niekiedy elementy ewangeliczne: protest przeciwko „dobrze się mającym”, apel o miłość i o nie uleganie złu.*

Nie lękajcie się!

Mówiąc o papieżu Janie Pawle II, nie sposób nie przywoływać jego wołania o odwagę wobec wyzwania dzisiejszego świata i o odwagę w dziele nowej ewangelizacji. Najtrafniejszą odpowiedzią na pojawiające się wypowiedzi przesadnie demonizujące wiele zjawisk we współczesnej kulturze, w tym także zjawisko rocka, jest zdanie Synodu: „*Należy pamiętać o tym, że Krzyż Chrystusa obejmuje swoimi ramionami całą Ziemię i że są liczne nieraz niewdzięczne i trudne te areopagi, na których przychodzi głosić Ewangelię. W tym celu trzeba wyzwalać się z obcej chrześcijaństwu podejrzliwości oraz przeciwstawiać się psychozie zagrożenia, w której zanika nie tylko wiara w Boga, lecz również wiara w człowieka i w jego godność*”. Nie lękajcie się!

Tomasz Sekulski MIC





12 października w Teatrze Wielkim w Warszawie odbył się niezwykle koncert dedykowany Ojcu Świętemu w 25. rocznicę jego pontyfikatu. Na jednej scenie stanęli obok siebie i zaśpiewali dla niego różni wykonawcy, między innymi: Anna Maria Jopek i orkiestra dziecięca ze Skomielnej, siostry Steczkowskie i Schola Cantorum Gedanensis z Gdańska, Mieczysław Szcześniak i Grzegorz Turnau, rodzina Pospieszalskich, Arka Noego, Deus Meus i schola z kościoła św. Tomasza z Warszawy, światowej klasy sopranistka Zofia Kilanowicz i śpiewacy ludowi spod Biłgoraja, Grzegorz Głuch z lubelskiego Gospel Rain, soliści włoscy z Hope Music, Meksykanin Thomas Sanchez i schola braci dominikanów z Warszawy. To już czwarty koncert poświęcony Ojcu Świętemu w ciągu dwóch ostatnich lat, przygotowany przez artystów zaproszonych przez braci Pospieszalskich i reżysera Jerzego Bielunasa z Wrocławia.

Gdyby papież mógł to zobaczyć!

z JERZYM BIELUNASEM
rozmawia Andrzej Bujnowski OP

Tych, którzy oglądali twój koncert dedykowany Ojcu Świętemu szokuje nie tylko jego rozmach, ale cała jego koncepcja. Ja widziałem go oczyma osoby „stojącej na scenie”, śpiewałem w chórze. Inaczej odbierali go zapewne widzowie sali Teatru Wielkiego, a inaczej telewizywnie, sądzą jednak, że dla każdego był on niezwykle. Byłeś nie tylko reżyserem całości, ale też autorem scenariusza...

Współautorem. Pracowaliśmy nad koncertem razem z Jankiem Pospieszalskim. On z braćmi Marcinem i Mateuszem przygotowywał stronę muzyczną całości, Marcelina Początek plastykę, a ja reżyserowałem całość. W tym składzie przygotowaliśmy w Warszawie w ostatnich trzech latach trzy koncerty z okazji Dnia Papieskiego i jeden z okazji urodzin papieża, który powstał w Lublinie 18 maja tego roku (tu plastykę przygotowywali inni młodzi scenografowie).

Zacznijmy może od ostatniej realizacji, a potem wrócimy do poprzednich... Na początku była rozmowa, na którą zaprosił mnie Piotr Gawęł, szef Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia” - on zaproponował mi zrobienie koncertu. Potem w mojej głowie zrodził się pomysł, główna idea - żeby zaśpiewać pieśni i zbudować ciąg scen ułożonych jak rok świąt kościelnych w Polsce. Taką opowieść znałem z literatury. Czytałem przed laty „Rok Polski” Kossak-Szczuckiej, książkę o polskich obrzędach, która bardzo mi się podobała. Ale czy można cykl najpiękniejszych polskich świąt pokazać na scenie? Pomysły do koncertów często rodzą się u mnie ze wspomnień z dzieciństwa. Przywołuję

dawne wzruszenia i staram się odwoływać do najprostszyc, najgłębszych emocji. I zawsze zastanawiam się, jaki rodzaj koncertu mógłby jemu, Ojcu Świętemu, sprawić przyjemność. Tak było w Lublinie. Całkowicie wykluczyłem możliwość zrobienia „akademii” dla jubilata świętującego osiemdziesiąte trzecie urodziny. Wydaje mi się, że do osiemnastego roku życia trzeba wywołać w osobie świętującej urodziny wrażenie, że jest bardzo dorosła, natomiast im jest starsza, tym bardziej powinny być one tak obchodzone, by zacierać wrażenie jej „wiekowości”. Chciałem, żeby wszyscy biorący udział w tym święcie cieszyli się, by na tych urodzinach pojawiły się nuty, które Ojciec Święty lubi. Chciałem też, by zagrali górale. Zależało mi na prawdziwych życzeniach, nie stylizowanych, ale takich najprawdziwszych! Żeby byli tam studenci, i w ogóle bardzo wielu młodych ludzi. Myślę, że ogromną radością dla każdego, a tym bardziej dla duszpasterza jest to, że kochają go i słuchają ludzie młodzi. Więc chciałem, aby to były takie „młode urodziny”. Radosne urodzinowe śpiewanie. No i udało się. Była cudowna pogoda, piękny zachód słońca, ciepło, i przyszło tyle tysięcy osób, że koncert ten wspominam z ogromnie gorącym sercem. Przyjechały chóry, schole, ludzie z ruchów młodzieżowych z Lublina, setki osób, ze trzystu gitarzystów, i radosny nastrój połączył nas wszystkich. Utkwił mi w pamięci szczególnie jeden moment. Czteropięcioletnie dzieci zajądające kremówki na scenie i śpiewające: „tam chodziliśmy na kremówki do kawiarni

po maturze”. Był w tej scenie surrealizm i coś niezwykle pięknego i zabawnego.

Jest moim wielkim pragnieniem, by z każdego z koncertów Ojciec Święty zobaczył chociaż po minucie. A z tego lubelskiego by zobaczył, jak małe dzieci jadły kremówki, śpiewając o maturze. Koncert warszawski rodził się z podobnego myślenia, żeby dać Ojcu Świętemu w prezencie coś, co będzie miłe „polskiemu kapłanowi z gór”. On sam mówi, że jest „góralskim papieżem”... Bardzo się zaczytywałem w jego „pożegnania z Polską”, kiedy mówił, że „nie jest łatwo TO zostawić”, niełatwo zostawić ludzi, muzykę, pejzaże. Wiadomo, że przed wyjazdem do Włoch był kapłanem niezamykającym się tylko w murach kościoła. Miał niezwykle kontakt z wiernymi i był wręcz inspiratorem duszpasterskich wędrówek po Polsce, także innych form działania i aktywności. Więc pomyślałem sobie, że trzeba zacząć od Wadowic w śniegu, trzeba pokazać Roraty, Pierwszą Komunię, koledy. Potem... Kalwarię, Drogę Krzyżową, a w maju procesję w dniu świętego Stanisława w Krakowie. Dalej - Boże Ciało, taką prawdziwą polską procesję z orkiestrą dętą, no i potem wędrówki oazowe, święta maryjne: feretrony, sztandary kościelne i pieśni ku czci Matki Boskiej. W końcu pokazać jesień konklawe... Tylko jak? Zaczęliśmy rozmawiać z Jankiem Pospieszalskim i jego braćmi. Wiadomo, że jeśli chodzi o współczesne odczytanie folklu, oni są świetni. Wydawało mi się więc, że taki plan będzie dla nich inspirujący. Tak się stało - pomysł bardzo się spodobał i muzykom, i Fundacji. Potem zaczął się bardzo długi proces, może niekiedy nie



najwygodniejszy. Bardzo dużo spotkań. Etap tworzenia wizji koncertu jest przez Fundację traktowany trochę jak egzamin. Wiele „podejść” i wiele „komisji”.

Chodzi tu pewnie o względy ideowe, ale, jak się nietrudno domyśleć, też o pieniądze przeznaczone na całe przedsięwzięcie...

Tak. Tam tworzy się pewne forum dyskusyjne, rodzaj rady artystycznej. Zresztą - dobrze, bo przy okazji powstają nowe pomysły dotyczące treści, które koncert powinien w sobie nieść, ich interpretacji teologicznej, także jego wizji plastycznej i muzycznej. No, i na końcu, kosztorysu oczywiście. Po serii konsultacji, scenariusz jest sprecyzowany, ale tak naprawdę - do końca „żyje”. Szefowie muzyczni i ja wpadamy nagle na pomysł na dorzucenie takiego lub innego utworu, jego skrócenia lub wydłużenia. Do ostatniego dnia i godziny nie jesteśmy pewni, jak to wszystko się złoży w całość. Cóż z tego, że mamy szczegółowy plan, że proces przygotowywania koncertu jest wystarczająco długi, kiedy samo „stawanie się” go, czas „zapinania” - za krótki. Niski budżet nie pozwala

wynająć teatru na dłużej, nie ma możliwości, aby wszystkich wykonawców zaprosić na scenę wcześniej, żeby zrobić spokojne próby, odrębnie muzyczne, odrębnie techniczne. Nie ma czasu na precyzyjne komponowanie koncertu dla kamer telewizyjnych. Względy oszczędnościowe, tylko dwa dni prób w teatrze, rozmach przedsięwzięcia i ilość osób biorących udział w spektaklu nie pozwalają na to.

Wydaje mi się, że mimo tych niskich budżetów i niewielu prób, tak ty, jak i bracia Pospieszalscy dajecie sobie świetnie radę z całością. Na premierze, okazuje się, wszystko gra!

Jeśli uzyskujemy taki efekt, to chyba tylko dlatego, że Opatrzność czuwa nad nami. Widocznie mamy jakieś względy u świętego Piotra. Czujemy „patronat”, niemniej praca wiąże się z wielkim napięciem.

Dużą rolę gra fakt zapraszania przez was określonych wykonawców, bo nie ze wszystkimi łatwo byłoby chyba zrobić taki spektakl w tak krótkim czasie. Ludzie, którzy występują u was, mają w sobie dużo chrześcijańskiej pokory. Potrafią szybko dostosować się do twoich wskazówek i poleceń. Kierujesz

dużymi grupami ludzi i oni cię słuchają, chociaż większość z nich w ogóle cię nie zna i nigdy cię nawet nie widziała.

Jestem im bardzo wdzięczny. W koncercie bierze udział kilkaset osób, w tym wielu amatorów, którzy przyjeżdżają do Warszawy poświęcając swój czas i siły. Właśnie ta pokora i cierpliwość wykonawców bardzo nam pomaga. W tym znajduję wytłumaczenie, że wszystko wiąże się jakoś szczęśliwie w całość. Dla nas pomysłodawców i realizatorów, koncert jest ważnym Spotkaniem i...

...przeżyciem duchowym.

Tak. Tu względy artystyczne, to nie jest jedyna sprawa, o którą chodzi. Wszyscy na scenie potrzebujemy porozumienia i przeżycia „czegoś”. I najważniejsze: adresat koncertu jest dla nas wszystkich bezsprzecznie najwyższym autorytetem. Wykonawcy czują się dumni, że mogą pojawić się w Teatrze Wielkim i jemu ofiarować swoją pracę. Są skłonni do największych poświęceń, do tego, by mimo wszelkich niewygód, długiego czasu trwania prób, panującego na nich hałasu i chaosu (dla osób stojących na scenie godziny próbowania są bardzo męczące!), wszystko to jakoś wytrzymać. Po takiej

„akcji” wychodzi się wypranym ze zmęczenia, ale zarazem z uczuciem radości i wdzięczności dla ludzi, którzy wzięli udział w koncercie...

Czego oczekuje po takim koncercie Telewizja i czego od ciebie wymaga?

W przypadku tego i poprzedniego koncertu, a także lubelskiego, Telewizja, poza dyscypliną dotyczącą czasu ich trwania, nie kierowała pod moim adresem żadnych życzeń, ograniczeń i sugestii. Scenariusz był czytany wnikliwie w Fundacji i tu poddany analizom.

Do swych koncertów angażujesz bardzo różnych wykonawców. Czy przydzielając konkretne „role” mówisz im o swojej koncepcji koncertu, przedstawiasz im swe wizje, jak mają być w nim obecni?

Zawsze staram się rozmawiać długo z osobami, które śpiewają partie solowe.

W koncertach papieskich chętnie spotkałbym się częściej z chórami, ale całość artystyczna tworzona jest przez kilka osób. Trzeba zachować harmonię takiej dwu-, trój-, czy czwórwrządy. Kierownicy muzyczni i ja mamy różne kompetencje, różne temperamenty i różne sposoby komunikowania się z wykonawcami. Współpracujemy i nie chcemy sobie przeszkadzać. Staram się nie ingerować w pracę zespołów muzycznych, które mają i tak oczopląs, mało czasu, mnóstwo nut. Wiem o tym, że chórzyści są bardzo oddani swej pracy, śpiewają przeżywając wielkie emocje i chcą wyrazić duchową prawdę. Zabieram głos jedynie w momentach, gdy śpiew wydaje mi się za mało emocjonalny, lub gdy chcę przybliżyć chórzystom temat danej sceny. Natomiast marzy mi się, by Teatr Wielki w czasie prób nie był za wcześnie zamykany, żeby się spotkać, chociaż przez chwilę ze sobą побыć, porozmawiać dłużej. By nie traktować występu jako pracy w biegu między pociągami a pociągami. Odczuwamy radość zbiorowego przeżycia duchowego, ale w gruncie rzeczy nie mamy czasu na to, by podczas prób być razem. W tej pracy każda z podgrup jest samotna.

Wykonawcom wyszukanych przez Pospieszalskich i ciebie nie trzeba na szczęście zbyt wiele tłumaczyć. Jeśli ma się dobry scenariusz, to...

...oni wiedzą, że są na swoim miejscu. Ale dobrze byłoby, gdyby kiedyś udało się po koncercie zostać na godzinę i powiedzieć wszystkim: dziękuję, jakoś nam się wspólnie udało!

Warto powiedzieć, że duchową siłą wykonawców jest ich wspólna modlitwa przed koncertem. Jan Pospieszalski obliczył, że w tym roku w październiku przed koncertem papieskim spotkało się na modlitwie na tyłach sceny ponad 300 osób. Było to dla nas wszystkich piękne przeżycie. Myślę, że nie przypadkiem później, w trakcie koncertu, ludzie na widowni płaczą...

Wydaje mi się, że w ogóle – w dziele katechizacji, teatr, pełen środków, które wywołują silną zbiorową emocję jest bardzo potrzebny. Że można byłoby tego typu widowiska organizować częściej. Poświęcone wielkim świętom, wielkim tradycjom, takie przedstawienia budzą szczególny rodzaj przeżycia, nie tylko wykonawców, ale i odbiorców. Mnie marzą się takie koncerty spinające muzykę z wizyjnością...

A przy tym świadomie operujące symbolem, symboliką. Te poruszają wyobraźnię i uczucia widza najmocniej.

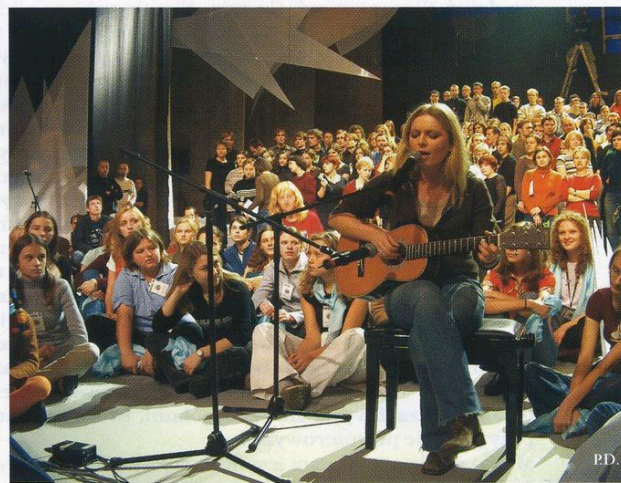
W zeszłym roku w koncercie papieskim zbudowaliśmy scenę „wielkiego żarcia”, impresję świata oszalałego, zagubionego w konsumpcji. Całość skomentowana była cytatem biblijnym o winie Sodomy. Był to obraz drastyczny, bardzo współcześnie brzmiący. Film połączony z elementami teatralnymi, jadące



PD.



PD.



PD.



PD.

stoły ze stosami złomu... Bardzo byłem z tej sekwencji zadowolony. W tym roku wprowadziliśmy więcej działań teatralnych: sceny Drogi Krzyżowej, Ostatniej Wieczerzy... Bardzo mnie takie obrazowanie pociąga... Jestem fanem teatru średniowiecznego i późniejszych odmian teatru wizyjnego. Dzisiaj, gdy zafundowaliśmy sobie wiele filmów o życiu Chrystusa - te gigantyczne hiperprodukcje o tematyce biblijnej - nie pamiętamy o środkach, które mogą dostarczyć przeżyć mocniejszych niż kino hollywoodzkie - o działaniach teatralnych. W tym wypadku mam na myśli oczywiście działania inspirowane religią.

Podziwiam twoją współpracę z Pospieszalskimi, przynosi ona wspaniałe owoce. Wydaje mi się, że świetnie się uzupełniacie. Ty masz wizje plastyczne, umiesz wykorzystać cytaty z filmów i z przemówień Ojca Świętego...

... oni robią piękną muzykę. W tych działaniach razem budujemy przekaz, który jest bardzo bogaty i cieszę się, że na tyle spójny, że nie trzeba go „kroić”. Tworzymy jeden język. Jeśli chodzi o zespoły, chóry - jest to praca Marcina. I Janka, bo on w środowisku muzycznym jest tym rybakim, który łowi.

Dla mnie wszystkie te koncerty są nowym typem widowisk, jakich w naszym kraju jeszcze nie było. To są jakieś żywe „spektakle-wydarzenia”, odwołujące się do historii i wydarzeń bieżących, do czytelnych dla nas Polaków archetypów i symboli religijnych, zilustrowane przy tym tak emocjonalną muzyką i efektami multimedialnymi, że widz, nawet ten, który „wszystko już widział”, doznaje tu przeżyć absolutnie nowych. Rewolucyjne jest dla mnie to, że o Bogu mówi się tu głośno i wprost za pomocą najnowszych technik i środków wyrazu, prezentując przy tym ludzi, którzy na co dzień Nim rzeczywiście żyją. Nic nie robi na widzu większego wrażenia, jak pokazanie na scenie ŻYWYCH chrześcijan, nie tych z legend, czy teoretycznych deklaracji. Co warto dodać, niezwykle sugestywne i zupełnie nowatorskie są tu pomysły muzyczno-inscenizacyjne: hip-hop sąsiaduje z liryczną pieśnią liturgiczną, Gorzkie Żale z acid jazzem, muzycy rockowi będący idolami młodzieży ze starszszkami wnoszącymi na scenę chorągwie i feretrony... Ryzyko krzyżowania ze sobą różnych konwencji i „światów” ogromne, a efekt szokujący! Widowiska nie tracą przy tym ani na chwilę swej powagi ideowej, obcy jest im też jakikolwiek banał! Wszystko jest tu zasługą ogromnej wrażliwości estetycznej i erudycji muzycznej ich twórców, wycucia pewnych trendów aktualnej kultury... Myślę, że trzeba byłoby obejrzyć je kilka razy, by w pełni odkryć złożoność owego nowatorskiego działania i zachwycić się szczegółami, które umknęły przy pokazie premierowym...

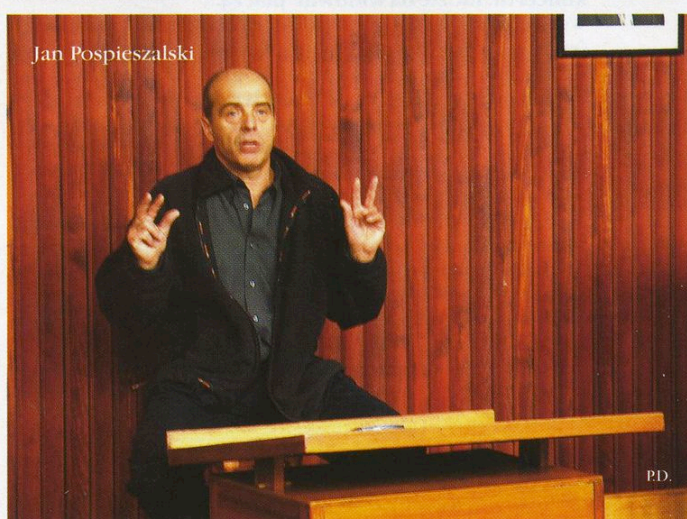
Może tak, ale wiesz... tam jest dużo rzeczy przypadkowych (śmiech), bo nie zawsze da się wszystko przewidzieć. To jest najpiękniejsze, że każdy do naszej pracy coś wnosi. Na efekt końcowy składa się ta dobra energia iluś tam bardzo zdolnych i bardzo chcących pomóc ludzi, i to nie tylko wykonawców, artystów, wokalistów, aktorów, ale, jak na przykład w tym roku, też amatorów plastyków. Do Warszawy przyjechali rzeźbiarze ze swoimi świątkami, kwiaciarki, które robiły kompozycje kwietne, ludzie z małych wiosek, z odległych miejscowości, z Żywca, Sądecczyzny. Palmy przywieziono z Limanowej i Skomielnej, rzeźbę Jezusa na osiołku, autentycznie używaną w procesjach w Niedziele Palmowe z Tokarni. Uczynni, cudowni ludzie wypożyczyli i pozwolili przewieźć do Warszawy zbiory XIX-wiecznych feretronów i chorągwi



P.D.



J.B.



Jan Pospieszalski

P.D.

kościelnych z muzeum na zamku w Żywcu.

... Zaraz, zaraz, a jak ty właściwie znajdujesz tych ludzi? Przejechałem w lipcu 5000 kilometrów. Sam.

I sam ich odnalazłeś?

Janek dał mi adres księdza Bukowskiego – dyrektora Muzeum Diecezjalnego w Tarnowie. Pojechałem tam i dostałem dwugodzinną skróconą lekcję historii sztuki ludowej i sakralnej całej Polski południowej. Ksiądz Bukowski opowiadał mi, gdzie co mogę znaleźć. Mówił, że szukam np. zespołów wykonujących pastorałki czy kolędy, a na Niedzielę Palmową to chciałbym mieć takiego osiołka, jakiego widziałem w książkach. A gdzie robią takie palmy, a gdzie „to” może jeszcze być?

I ksiądz dyrektor mówił, gdzie. Otwierał różne książeczki, dawał maile, zapisywał w komputerze. Dostałem taaaaką długą listę różnych wsi, między innymi wsi z muzeum maryjnym, w którym zgromadzono kopie wszystkich ważniejszych wizerunków Matki Bożej z całego świata. I tak zacząłem sam, potem, jak się już dogadałem z ludźmi, poprosiłem organizatorów, by ruszyli w moje ślady... Pojechała też scenografka i zaczęto wybierać już bardziej szczegółowo.

Organizacja koncertu. Czy nie odczuwasz stresu w związku z koniecznością kierowania taką ilością ludzi na scenie? To nie lada sztuka...

W takiej sytuacji zawsze przeżywa się stres. Przed koncertem staram się mobilizować, wyciszyć, oszczędzać siły, skondensować energię na ten moment, kiedy trzeba podejmować błyskawiczne decyzje. Potem przychodzi silne śpięcie i bardzo ciężka praca fizyczna. Na scenie pracuje wiele osób równolegle: Janek z chórami, Mateusz i Marcin z orkiestrami, realizator telewizyjny Jacek Dybowski z kamerzystami, oświetleniowcami, scenografem. Wszyscy działają obok siebie, naraz. W związku z tym bardzo często ja biegam, pokonuję kilometry, pokazuję, przekazuję, ustawiam, przestawiam, daję uwagi interpretacyjne itd... Jest to szybsze i oszczędniejsze niż wydawanie decyzji na odległość. Tak naprawdę, odnoszę czasem wrażenie, że dwa dni prób mijają mi na krzyku, chrypieniu i bieganiu. Później, po koncercie pojawia się duże zmęczenie fizyczne, i na ogół uciekam. W zeszłym roku, na przykład, od razu wsiadłem do pociągu i pojechałem do Wrocławia. Marzeniem jest wtedy dla mnie pójście do lasu. Nie mam potrzeby odreagowywania wszystkiego w towarzystwie. Napięcie musi się rozładować w ciszy. Po jakimś czasie można usiąść i obejrzeć koncert w zapisie telewizyjnym.

Tak jak ty i reszta wykonawców, ja również nigdy nie mogę zobaczyć bezpośredniej transmisji. Na dodatek nie mogę oglądać koncertu z widowni, bo muszę być przy monitorze za kulisami, a ten monitor jest „taki” (Jerzy pokazuje rękami jak mały). Niewiele na nim widać, ale pozwala na stały kontakt z wozem transmisyjnym.

Tak więc dopiero parę dni później człowiek siada i po raz pierwszy ogląda efekt swojej pracy... Każdy z twórców może mieć w takiej chwili inne odczucia. Janek ma inne, ja inne... Coś się wymyśliło. Jakaś muzyka chodziła po głowie. A jak to się urzeczywistniło? Koncert różni się znacznie od wcześniejszych ćwiczeń.

Gdy kurtyna idzie w górę, rodzą się wielkie emocje. Nagle wy wszyscy inaczej śpiewacie niż na próbie, wykonawcy nabierają nagle innego wyglądu, jakiegoś blasku. Wszyscy są odświętni, niepowtarzalni. Mogę to zobaczyć i ocenić dopiero po paru dniach. Reżyseria tego typu imprez to dziwna praca, zupełnie inna niż praca nad spektaklem w teatrze, gdzie proces próbowania jest dłuższy, staranniejszy,



J.B.



J.B.



RUaH 15

J.B.



J.B.

gdzie można kontrolować i precyzyjnie dopracować ostateczny kształt przedstawienia.

Podglądasz „akcję na scenie” na małym monitorze za kulisami. Na ile od ciebie zależy to, co pokazują kamery?

O tym ostatecznie decyduje realizator TV. Omawiam z nim wcześniej charakter koncertu, sugeruję sceny, które chciałbym, by były pokazane, uzgadniamy, na co trzeba zwrócić uwagę w tej czy tamtej części. Ostateczny wybór kadru, obrazu, to sprawa talentu realizatora, jego błyska-

wicznej decyzji, co uchwycić, pokazać w danej chwili. Bardzo rzadko w czasie koncertu ingeruję w pracę kamer. Mam pełne zaufanie do Jacka Dybowskiego, to świetny realizator. Przygotowując transmisje koncertów papieskich, pracuję w bardzo trudnych warunkach. Czas prób jest tak krótki, a ilość rzeczy do ogarnięcia okiem kamer olbrzymia! Ktoś o mniejszym doświadczeniu i bez takiego wyczucia na tak gigantycznym planie mógłby się pogubić. Do pracy wykonawców dołącza się wielka praca całej ekipy telewizyjnej, oświetleniowców, nagłoś-

nienia. Na scenie staje 400 osób, trzeba podłączyć 90 mikrofonów. Jeden stół służy do sterowania nagłośnieniem na sali, drugi do pracy nad dźwiękiem dla Telewizji. Akustycy dokonują cudów. Muszą nagłośnić niemal błyskawicznie solistów, chóry, poszczególne grupy instrumentów, zapisać, które mikrofony otwierać w poszczególnych numerach. Oczywiście, wcześniej przygotowuje się precyzyjną rozpiskę, czasy, teksty... ale przy 40 utworach łatwo coś przeoczyć. Akustyk musi zapamiętać i opanować 40 numerów w ciągu czterech godzin próby. Później nie można się pomylić, bo jeśli się tak stanie, nie będzie części dźwięku.

Reasumując: szkoda, że papież nie może tego wszystkiego obejrzeć...

Tak, szkoda. Ale gdzieś w głębi duszy mam nadzieję, że gdyby zobaczył jeden, dwa fragmenty naszych koncertów może wzruszyłby go i sprawiłby mu radość.

Wierzę, że na tych koncertach byłby choć przez chwilę szczęśliwy, że odnalazłby w nich swoją nutę. Kiedyś po koncercie majowym, robionym przy współpracy KUL-u, ksiądz Rektor powiedział mi, że wspominał Ojcu Świętemu o tym koncercie. I że papież był taki radosny i wesoły... Może wystarczy, że chociaż przez minutkę ktoś mu o naszym śpiewaniu opowie. Nie ma znaczenia, czy zobaczy i usłyszy nas realnie. Tu kontakt duchowy się najbardziej liczy. ■

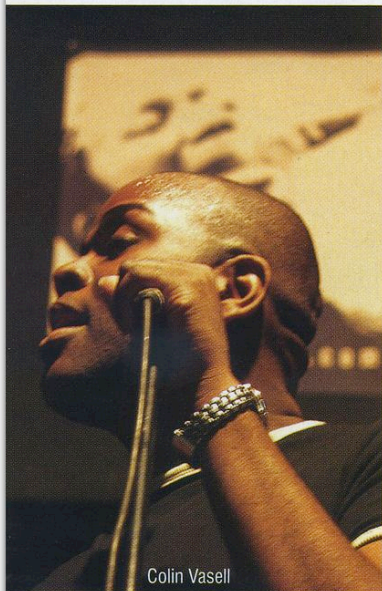
zdjęcia: Jan Bujnowski
Paweł Dmochowski

W następnym numerze RUaH postaramy się zamieścić rozmowę na temat koncertów papieskich z braćmi Pospieszalskimi.



Dziki w Radio Józef

W warszawskim Radio Józef pod koniec października pojawiła się nowa audycja – „Mocne ramię”, której autorem jest nasz współpracownik, Grzegorz Waclaw 'Dziki. Jest ona prezentowana co drugi poniedziałek w godzinach 23.00-24.00 zamiennie z audycją „Demo” (na fali 96,5 mHz). Autor prezentuje w niej najbardziej ekstremalne gatunki muzyki granej przez chrześcijan i planuje stworzenie strony internetowej z kolejnymi edycjami programu w wersji MP3 do odsłuchiwania przez zainteresowanych. Obecnie szczegóły na temat audycji znaleźć można na stronie www.sielskiefale.pl



Colin Vasell

V Warsztaty Gospel w Krakowie

Koncert Finałowy V Warsztatów Gospel na długo pozostanie w pamięci słuchaczy zgromadzonych w niedzielny wieczór 19. października w Filharmonii Krakowskiej. Wraz z instruktorami: Ruth Lynch i Colinem Vassellem z Wielkiej Brytanii oraz Geraldem T. Smithem z USA wystąpił ponad 500-osobowy chór oraz trzej solistów z Polski: Gabrysia Rudawska, Weronika Stasiak i Adam Rymarz. „Takich emocji dawno nie było w Filharmonii Krakowskiej. Wciągające rytmy muzyki gospel sprawiły, że publiczność z trudem mogła usiedzieć na miejscach. Wszyscy – wraz z zespołem – śpiewali, klaskali, głoścąc w ten sposób słowo Boże. Bo przecież gospel to nic innego, jak śpiewana „Ewangelia” - napisał krakowski „Dziennik Polski”.

Kolędy domowe Antoniny Krzysztoń

Przepiękne autorskie pastoralki, tradycyjne kolędy i improwizacje, które „pozostawiają przestrzeń na refleksję i modlitwę...” – tak pokrótce można opisać nową płytę Antoniny Krzysztoń zatytułowaną „Kolęda domowa ...a nad śnieg wybieleje”. Opowiada ona o Narodzeniu Pańskim w sposób niezwykle wrażliwy, przy pomocy prostych emocji i środków. Czysty głos artystki oraz delikatny, mistrzowski akompaniament Marcina Majerczyka i Mikołaja Wieleckiego stworzyły jakość, dzięki której album może towarzyszyć każdemu z nas w domowym przeżywaniu niejednych Świąt. Nagranie (na taśmie analogowej!) zrealizował Edward Sosulski, w Kościele Braci Dolorystów w Józefowie. Wydawcą płyty jest firma **pażanini**.

Coś się święci...

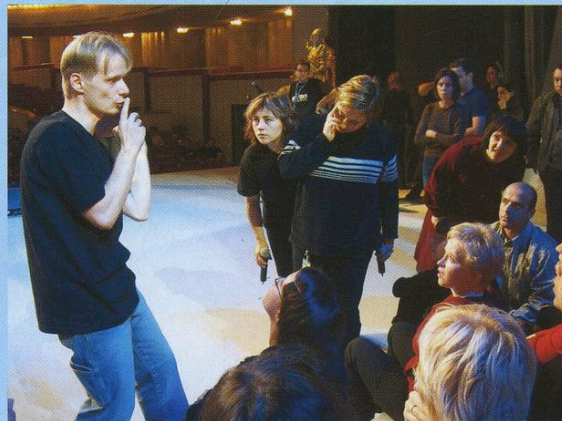
„Coś się święci” to tytuł najnowszej piosenki Magdy Anioł zapowiadającej całkiem nową płytę artystki. Do utworu powstał teledysk w reżyserii Grzegorza Sadurskiego, którego premiera nieprzypadkowo odbyła się 1 listopada – w dzień Wszystkich Świętych – w programie „Ziarno” w TVP1.

Filmowa Triquetra

Kilka utworów Triquetry zostanie wykorzystanych w ścieżce dźwiękowej nowego filmu – „Osiemnastka” w reżyserii Przemysława Młyńczyka, absolwenta Szkoły Filmowej w Pradze. W filmie zagrał m.in. Jerzy Zelnik i Rafał Maćkowiak.

Koncert pamięci Janusza Kotarby

6 listopada w Krakowie w Ogrodzie Botanicznym przy ul. Kopernika odbył się wieczór poświęcony pamięci Janusza Kotarby. Wystąpili m.in. Paweł Orkisz, Andrzej Mróz, Bartek Kalinowski oraz liczni przyjaciele Janusza. Koncert poprzedziła Msza św. w pobliskim kościele Jezuitów.



fot. P. Dimochowski

Nagroda dla Marcina Pospieszalskiego

W pierwszych dniach listopada Marcin Pospieszalski otrzymał nagrodę Duszpasterstwa Środowisk Twórczych w Częstochowie „Anioł Nadziei” za „propagowanie nowej muzyki chrześcijańskiej w Polsce”. Kapitułę tej Nagrody tworzą prezydent miasta Częstochowa, ks. bp Antoni Długosz, przeor Jasnej Góry oraz ks. Grzegorz Ułamek – Duszpasterz Środowisk Twórczych Częstochowy. Gratulujemy artyście i życzymy mocnego wspierania go przez Ducha Świętego we wszystkich projektach, w których bierze udział i które planuje.

Klub RUaH ma dwa lata!

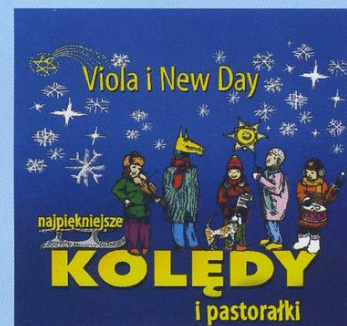
5. grudnia dwa lata istnienia będzie świętował Klub Piosenki RUaH w Krakowie. Inicjatywę zorganizowania cotygodniowych koncertów prezentujących twórczość muzyczną artystów chrześcijan powołał do życia – jak wiele innych dobrych pomysłów – Janusz Kotarba. Do tej pory scena w Piwnicy przy Dominikańskiej gościła m.in. Magdę Anioł i Adama Szewczyka, Violę Brzezińską, s. Annę Bałchan, Pawła Orkisz, Janusza Saługę i Jana Budziaszka, Marcina Jakimowicza, Joannę Rzyczniok, Bartka Jaskotę, Piotra Pawlickiego, Piotra Kordasa, Krzysztofa Cyrana, poetę Andrzeja Zajacę oraz zespoły: Mikroklimat, 40 i 30/70, New Day, Justyna & Segá Band, Pomoc Duchowa, Roman Rabinia & Friends, YesKieZSirumem, Bez Końca, Kapela św. Wincentego, J.E.G.O. band, Remont Duszy, Dobra Nowina i Aslan. Od marca br. działalność Klubu koordynuje Adam Rymarz. Kontakt: 603 325 908.

Viola i New Day na płycie kolędowej!

Zespół Viola i New Day przygotował specjalną płytę kolędową, z którą będzie koncertować w miesiącach zimowych. Album nosi tytuł „Najpiękniejsze kolędy i pastoralki” a jego wydawcą jest Salezjański Wolontariat Misyjny z Krakowa. Piosenki są ciekawie zaaranżowane, na krążku nie brakuje też akcentów afrykańskich, bliskich liderowi grupy – Rafałowi Boniśniakowi.

Trzy kolędy zamieszczone są w wersji karaoke, można więc zaśpiewać je samemu na tle muzyki zespołu. Grupa Rafała Boniśniaka otrzymała już zaproszenia na bożonarodzeniowe koledowania m.in. do Krakowa, Radomia, Wrocławia, Oświęcimia, Szczecina, Lublina i innych miast. W styczniu 2004 r., na specjalne zaproszenie rodaków mieszkających na Litwie, zespół wystąpi również w Wilnie i Solecznikach. Być może uda się tam również ekipa programu telewizyjnego „Raj”, która nakręci relację z całego zdarzenia. Więcej o kolędach – na oficjalnej stronie zespołu: www.newday.art.pl

/newsy przygotowali: A.R. i A.B./



Trudno
Nie wierzyć w nic



z Adamem Nowakiem

liderem zespołu Raz Dwa Trzy rozmawia Cezary Śekalski

Czy jesteś człowiekiem pobożnym?

Nie jestem pobożny, jestem wierzący. Pobożny bywam. Rzadko. Jeśli w ogóle.

Jaka jest według Ciebie różnica między człowiekiem wierzącym a pobożnym?

Różnica nie jest tu dobrym określeniem. Tu nie ma konfliktu. Pobożność, to być może kontynuacja samego aktu wiary. To krok w stronę medytacji.

Jakbyś zatem bliżej określił siebie jako człowieka wierzącego?

Wierzący to jest ten, kto zdaje sobie sprawę z tego, że wszystko, co posiada, wszystko, co robi, wszystko, co się z nim stanie, zależy od Osoby, w którą wierzy. W moim wypadku jest to Pan Bóg.

Twoje piosenki od początku miały charakter jakiejś osobistej refleksji nad życiem. Czy to jest tak, że ktoś, kto jest wrażliwy i intensywnie przeżywa własne istnienie, musi w pewnym momencie otworzyć się na pytania metafizyczne?

Prawdopodobnie. Każdy jest wrażliwy. Z wrażliwością się rodzi, natomiast potem często dzieje się z nią coś dziwnego. Ucieka z nas przestraszona systemami, w których się nas lokuje. I niektórym przypada w udziale poszukiwanie własnej wrażliwości. Są w nas takie pytania, które nie dają nam spokoju i z czasem dochodzimy do momentu, w którym musimy wybrać. Albo oprzemy się na osi wiary, albo z niej zrezygnujemy; albo dostaniemy taką łaskę, że będziemy mogli w pełni świadomie wierzyć i działać na rzecz drugiego człowieka, albo będziemy całkowicie zapatrzeni w siebie i wtedy nasza wiara będzie miała dosyć niską jakość, bo będziemy żyli dla siebie. Pamiętajmy jednak cały czas o łasce wiary, którą często według naszych potrzeb nazywamy wyborem. Mało tego – „świadomym wyborem”. W moim przypadku było tak (czy jest tak), że do wiary wróciłem szukając ratunku, żeby nie umrzeć. To był czas „remontu”.

W twoich tekstach z pierwszych płyt dużo było takiego bardzo egzystencjalnego zapatrzenia w życie, jakiegoś gwałtownego rzucania się w jego jasne i ciemne strony. Dotknąłeś wtedy destrukcji?

Dla mnie był to początek publicznego wypowiadania się. Byłem w pisaniu tych

piosenek (przynajmniej niektórych) bardzo nieporadny. Kilka po prostu się udało i te przetrwały do dzisiaj. Wynikało to oczywiście z mojego życiorysu, bo te piosenki są ze mną nierozdzielnie związane. Wielu podejmowanych tematów dziś już bym tak nie sformułował. Przestała mnie już interesować ta „błyszcząca” strona twórczości, dążenie to tego, żeby zaskoczyć słuchacza językiem poetyckim, znaleźć dobry rytm i żeby tekst był przede wszystkim bardzo literacki. Nad literackością zaczęła górować prostota. Bo tylko ta jest interesująca. Teraz okramam teksty do minimum słów, żeby uzyskać maksimum możliwości ich odbioru. Najcelniejszym jest język najprostsz. Dla mnie wzorem takiego precyzyjnego mówienia „prostymi” słowami, które jednocześnie z łatwością wnikają w umysł, jest twórczość Wisławy Szymborskiej i Józefa Brodzkiego.

W moich tekstach było coś z egzystencjalizmu. To był proces naturalny, wręcz techniczny, że po przeżyciu jakiejś części swojej historii zacząłem pisać. Któregoś dnia dopadł mnie jednak wniosek, że być może ja, jako taki nie jestem aż tak bardzo interesujący, aby mówić tylko o sobie i o swoich przemyśleniach, ale że warto sięgnąć trochę głębiej. Chodziło o to, żeby przestać uprawiać „literackość własnej duszy”, lecz by wypowiedź zaczęła dotyczyć tego, co mi nie daje spokoju. Posiadając pewniki wiary chrześcijańskiej, które otrzymałem bez mojego udziału, dowiedziałem się, że jest dobro i zło. Ale to jest za proste. Bo często chcąc dobrze, robimy źle. I odwrotnie. Robiąc coś złego nie zdajemy sobie sprawy z tego, jaki będzie efekt tego działania u naszego bliźniego. Raczej jesteśmy skazani na taki proces. Ale człowiek to utalentowane „zwierzę”. Zaczął węszyć i zwęszył, że nie chodzi o dobro czy o zło, lecz o proporcje między nimi. Bo i tak doświadczymy jednego i drugiego. Czy więc chodzi o poznanie...? Może. Bardziej się przychyłam do wniosku, że o poszukiwanie – nie samo w sobie. O zmieszczenie się w proporcjach. A to dość ciasny strój. Historia Chrystusa jest jednocześnie przykładem, drogą, celem i całą resztą. Chrystus znalazł tajemnicę proporcji. I dlatego był „czarodziejem”, wielkim „czarodziejem”, mędrcom, ale nie takim, który kocha, bo to przemyślał, tylko był mędrcom, bo kochał jak nikt przed Nim i nikt po Nim. I wiedząc to wszystko, możemy się tylko zbliżyć do ideału, a skoro możemy się tylko zbliżyć, to musimy szukać innych uczuć

niż rozczarowanie, bo takiego często doświadczamy, nie mogąc zostać „Chrystusami”. I musimy je przetrwać, żeby otworzyła się w nas inna możliwość. Miłość wyznacza swoją logikę, a ta kłóci się z naszą, tą przyczynowo-skutkową. Bo logika funkcjonuje w pewnej chronologii, a miłość nie potrzebuje żadnej chronologii. Miłość jest! I takie oto dylematy żyją we mnie i drażni mnie fakt, że przez swoje słabości i przez swoją nielojalność w stosunku do Osoby, w którą wierzę, dość często psuję Panu Bogu zabawę. I to jest pewien dramat, który również zawarty jest w moich piosenkach.

Czy twój powrót do wiary był jakimś przełomem, doświadczeniem nagłego nawrócenia? Jakbyś go określił?

To było bardzo zwyczajne. Po wielu latach poszukiwań spotkałem kobietę, która później została moją żoną. Akurat wtedy była ona w trakcie procesu odnawiania wewnętrznego, ja się o ten jej proces zahaczyłem i zostałem w niego wprzęgnięty. Początkowo nawet wbrew mojej woli, bo trochę drażniła mnie taka jej prozelicka, czy neoficka postawa: uznanie, że teraz istnieje tylko Pan Bóg i że w związku z tym unosimy się metr nad ziemią i nic innego nie jest ważne. Jestem tak skonstruowany, że dla mnie „przyjemne sprawy”, które nas otaczają, są dosyć istotne, bo żyjemy wśród ludzi. Ale jednocześnie marzę o chwili, żeby poczuć, że nie mam i nie chcę mieć na nic wpływu, a wszystko i tak potoczy się właściwą drogą za sprawą Tego, który to wymyślił. Nie stać mnie jednak dzisiaj na to, na takie zawierzenie, choć czekam na ten moment i wierzę, że go doczekam.

Wielu artystów w naszym kraju śpiewa o tym, że chcą być sobą i chcą poznać siebie, a ja od dłuższego czasu raczej chcę od siebie uciec i taką wyznaczam sobie drogę. To brzmi oczywiście banalnie, ale chętnie powtórzę po kimś, kto ładnie napisał, że „jestem mniejszy, niż myślisz”. I ta świadomość stanowi dla mnie dość istotną wartość.

Podaję, że spotkanie z twoją przyszłą żoną miało miejsce w okolicach wydania płyty „Cztery”, bo na tym krążku nastąpiła erupcja twoich metafizycznych tekstów...

To było wcześniej...

Ale płyta była po części owocem tamtego spotkania?



To był owoc! Początek tego procesu zaczął się dokładnie trzy i pół roku wcześniej, ale dopiero po tym czasie dojrzałem, żeby o tym zacząć pisać.

W piosence „W wielkim mieście” pojawia się anioł, czyli gość z zaświatów. Jakby jakiś wyłom w twoim dawny myśleniu...

Tam oprócz afirmacji życia, która była obecna i w innych piosenkach, było też coś więcej. Ta piosenka jest moją kolędą. Nigdy nie chciałem śpiewać publicznie kolęd, bo uważam, że to jest intymne, rodzinne zdarzenie, którym nie powinno się handlować. Dlatego napisałem własną „kolęde”, taką, którą mógłbym się podzielić. Od dzieciństwa było we mnie marzenie przeżycia takiej wigilii i takich Świąt, w których odczuję prawdziwą radość. Ponieważ jednak cały czas myślałem przede wszystkim o sobie i tej radości poszukiwałem dla siebie, nie mogłem jej odczuć. Kiedy pojawiły się na świecie nasze dzieci i w ich oczach zobaczyłem błysk radości związanej z choinką i z całą świąteczną aurą, okazało się, że to jest ta radość. Doczekałem tej chwili i wtedy dopiero, po długim czasie, zrozumiałem, że ta moja oczekiwana radość przyszła jako radość innego człowieka. Tak więc nie ma już za czym tęsknić. To się stało. Słusznie zauważyłeś, że pod wpływem tamtego duchowego procesu we mnie nastąpiła właściwie całkowita zmiana w tematyce moich utworów. Ale o wierze czy o

wątpliwościach opowiadałem inaczej od zespołów śpiewających piosenki religijne. Ja chcę znaleźć swój własny język. I dlatego napisałem piosenki: „I tak warto żyć”, „W wielki mieście”, „Pod niebem pełnym cudów”, „Trwajmy”, „Prawdziwa miłość” itd. Ta ostanía piosenka w bardzo skrótowy sposób odnosi do tego, co jest napisane w Biblii. Cały czas poszukuję języka, którym mógłbym w prosty sposób przedstawić to, co dostałem i co mogłem innym przekazać.

W Twoim repertuarze są też takie piosenki, które mogą niepokoić pobożnych katolików, np. „Raka”.

Mają niepokoić! Ta piosenka mówi o tym, że jeżeli uznamy, że to my jesteśmy osią swojego życia, bo posiadliśmy według nas wszelkie mądrości i wszystko zależy od nas, to zaczniemy traktować Jezusa Chrystusa w taki właśnie sposób, jak to jest pokazane w tej piosence. To nie jest tekst o tym, że ja tak traktuję Jezusa. Ta piosenka musi niepokoić. Słowo „raka” jest wręcz zakazane i nie powinno się go używać. (zob. Mt 5,22) Sięgając po nie chciałem dać do zrozumienia, że jeżeli my stawiamy się w miejsce Boga, to będziemy Go traktowali jak głupca, jako kogoś, kto umarł na próżno. Takie sformułowanie jest oczywiście dla niektórych nie do zniesienia, ale czy nie mamy dowodów, że grzebiąc w tajemnicy życia człowiek stawia się ponad Bogiem?... To nie skończy się dobrze.

Duże wrażenie na mnie zrobiła Twoja piosenka „Jestem niewidzialny”. Postawienie się w roli kogoś, kto odszedł z tego świata i przygląda mu się z nieba, nie jest zbyt często spotykane. Skąd biorą się u Ciebie takie pomysły?

One po prostu są. Ja sobie tylko wyobraziłem sytuację, że umarłem, nie jest to dla mnie fakt nieszczęśliwy i jestem obecny, choć inni mnie nie widzą. W związku z tym mógłbym im trochę pomóc. Jeśli udało mi się przekroczyć tę jedną z najważniejszych w życiu granic i jeśli zasłużyłem sobie własnym życiem, aby znaleźć się w niebie, to mogę dać do zrozumienia bliskim, że choć mnie nie widać, to jednak jestem. Jest czego oczekiwać i jest się czym cieszyć na przyszłość. To jest bardzo proste...

Ale przeżyć to, zrozumieć i postawić się w takiej roli, nie jest już takie proste.

To mnie nic nie kosztuje, dla mnie jest to naturalny sposób myślenia. Będąc tutaj, muszę wykonać pewne czynności, jestem zdeterminowany własnym przeznaczeniem, ale jednocześnie mam możliwość wyboru i mogę zdecydować, w jaki sposób potoczy się moje życie. Najważniejsze w tym wszystkim jest to, że im mniej pragniemy uczynić nasze życie szczęśliwym, tym bardziej jest ono szczęśliwe.

W piosence „Spójrz widzę” uderzyło mnie ostatnie zdanie: „zapytaj mnie, czy się boję / czegoś miałbym się bać / słowa

są twoje życie jest twoje wszystko jest twoje / czegoś miałbym się bać?" Widzę tu wyraźny element zawierzenia.

Tak, ale jednocześnie są i wątpliwości, bo to jest jednak pytanie. Wiem, że Pan Bóg na pewno mnie wysłucha, usłyszysz, ale ja nie słyszę Jego. A chciałbym... Choć na to w ogóle nie jestem przygotowany. Ciekawość...

Wierzę w to, że ja nie muszę się bać, ale boję się niektórych rzeczy. Być może wypowiedzenie tego przydaje mi trochę odwagi, fakt, że się boję przechodzi do historii i za chwilę nie muszę się już bać.

W tym, co mówisz, można odnaleźć pewną analogię do Psalmów, które nie są gładkimi tekstami o tym, że jest super, bo Pan Bóg mnie kocha. Często widać w nich element zmagania się. Psalmista często zaczyna rozmowę z Bogiem od opisu ciemności, w jakiej się znalazł i dopiero na końcu słowa jego modlitwy doprowadzają go do odnalezienia pokoju, dzięki łasce, która do niego dociera.

W tej piosence rzeczywiście jest element zawierzenia i występuje ono w jeszcze kilku innych moich piosenkach. Wierzę, że istnieje Bóg. Wierzę w Pana Boga i wierzę Panu Bogu, ale mam też swoje wątpliwości, które mnie nie opuszczają. Im bardziej się gdzieś zapędzę, tym bardziej się boję. Nie potrafię

religijne, które bez jakichkolwiek wątpliwości i przypuszczeń chwałą Boga i... chwałą Bogu! Tak ma być! Są też ludzie, którzy Bogu zaprzeczają, opluwają Go, twierdzą, że strona zła jest znacznie ciekawsza. Moim zadaniem jest pokazywać, że o sprawach wiary trzeba mówić, bo jeżeli człowiek traci wewnętrzną oś duchową, to jest nigdzie. Ale na mówienie o Bogu trzeba również znaleźć pomysł, żeby nie klepać wytartych sloganów, które bardziej odstraszą niż przyciągną. Przejście na którąkolwiek ze stron nie uwalnia nas od wątpliwości, ale to dobrze, bo nie zadając sobie pytań, nie mając wątpliwości, stajemy się w wierze martwi. Od ojca Góry usłyszałem na Mszy mniej więcej takie zdanie: „Jeśli wierzysz, to żyj tak, żeby ludzie dopytywali się, skąd masz taki dar. Niech idą za tobą pełni ciekawości, skąd jesteś, niech ci zazdroszczą”. Bóg to tajemnica. Z każdą sekundą na nowo do odkrycia. Kilka razy rozmawiałem z osobami duchowymi, które mówiły do mnie językiem, który znam, ale którego nie rozumiem, bo jest to język gotowy. Zdaję sobie sprawę z konsekwencji używania tego języka. Bardzo bym chciał nie tylko dla siebie, ale również dla innych ludzi, żeby komunikat dotyczący wiary zawsze był jasny i przystosowany do wrażliwości odbiorcy i do czasu, w jakim on żyje. Biblia zawiera stały zestaw słów. Oczywiście ich

niewiele, a jednak... Doskonale wie, że minie dużo czasu nim „uporamy się” z Biblią. Na poznanie Imienia przyjdzie odpowiednia pora.

Teologia, jeśli nie ma związku z życiem, pozostaje zatem tylko martwym systemem prawd, wyrażanym w martwym języku?

Podobnie jak i filozofia. Powiedziałbym raczej, że obie te dziedziny mogą się zamknąć, istnieje takie poważne niebezpieczeństwo. Na szczęście istnieją jednak ludzie, którzy genialnie przystosowują język teologii do komunikowania się ze światem. Dla mnie w jakiś sposób mistrzem w tej dziedzinie był ks. Józef Tischner. To był filozof, który umiał mówić językiem prostych ludzi. To jest jedna z większych umiejętności, jaką w ogóle można osiągnąć. Mając taką wiedzę, jaką miał ks. Tischner, bardzo łatwo jest przekroczyć próg wyższości, uznać, że ja, ponieważ wiem więcej, jestem przez to ważniejszy od ciebie, który wiesz mniej. A przecież ks. Tischner dzielił się z nami wiedzą i przybliżał nam to, co sami tak trudno i długo byśmy odnajdywali. Brakuje dziś tego Wielkiego Człowieka. Pierwszym obowiązkiem osoby posiadającej dar wiedzy jest przekazywanie jej. Przekazując drugiej osobie pewne nasze spostrzeżenia, nie zdajemy sobie sprawy z

◀ fot. Andrzej Świątek



jednak tak się otworzyć (może nie dostałem jeszcze takiej łaski), żebyśmy mogli całkowicie postępować według woli Bożej. Ale cierpliwie na to czekam. Ale może też nie jestem od tego, albo jest zwyczajnie na to za wcześnie. Jeszcze tyle trzeba zrozumieć...

Jakie miejsce na drodze Twoich duchowych poszukiwań zajmuje najnowsza płyta zespołu Raz, Dwa, Trzy?

Na tej płycie jest kilka piosenek, które są dojrzałym głosem czterdziestoletniego mężczyzny. Udało mi się coś tam przemyścić. W jednym z wywiadów zapytano mnie, czy nie boję się, że ludzie młodzi, przyzwyczajeni do ładnych i gładkich słów, mogą być zrażeni religijną tematyką moich piosenek i czy zdaję sobie sprawę z tego, że część odbiorców może to drażnić? To ma drażnić! Mało osób tworzy takie piosenki. Dziś pisze się tzw. piosenki

rozumienie zmienia się w zależności od tłumaczeń i od czasu, w którym żyjemy, ale w pierwotnej wersji są to słowa niezmiennie. Natomiast cała reszta komunikatu dotyczącego wiary polega na wyciąganiu odpowiednich wniosków z Biblii i w świetle tych wniosków nazywaniu tego, co się z nami dzieje i tego, w jaki sposób żyjemy. Trzeba pytać: jak nasze życie odnosi się do Biblii i jak Biblia odnosi się do naszego życia? Biblia jest czymś stałym, a tylko w historii pojawiają się coraz to nowi ludzie, którzy przeżywają ciągle te same sytuacje, z którymi nie potrafią sobie poradzić. W Biblii jest wszystko, całe życie, również nasze obecne życie, choć zobrazowane opowieściami sprzed tysięcy lat, ale brakuje tam jednego jedynego słowa – Imienia Boga. Nie znamy imienia Boga. Nie mamy znać. Nie teraz. Pan Bóg zabrał nam samogłoski ze swojego imienia. Niby

tę, jakie ona z tego wyciągnie wnioski. Ludzie potrafią nas bardzo zaskakiwać, a najbardziej dzieci. Również ludzie młodzi, którzy są bardzo buntowniczy i gniewni, potrafią często myśleć w sposób świeży i odkrywczy. Mają dużo przekory, a to dobry napęd w tym wieku. W każdym wieku. Każdy na swój sposób poszukuje odpowiedzi na podstawowe pytania. Ale jednocześnie wszyscy jesteśmy tak dziwnie skonstruowani, że głośno mówimy: „chcemy prawdy, chcemy być prawdziwi”, ale jak przyjdzie co do czego, to kłamiemy jak z nut każdą cząstką własnego ciała. W rzeczywistości wszyscy boimy się prawdy, bo ona jest straszna i groźna. Jesteśmy absolutnie na nią nieprzygotowani. Wolimy góralską prawdę – lepiej mieć przyjaciół, niż poznać prawdę i umrzeć samotnie.

Na szczęście śmierć dotyczy tylko naszego

ziemskiego życia. W ogóle myślę, że umieramy dlatego, że w tym stanie, w którym jesteśmy, z naszymi zdolnościami percepcyjnymi, nie potrafimy w pełni poznać Boga. Musimy umrzeć, żeby móc unieść Jego widok. W tym czasie i w tym miejscu nasze opakowanie i nasza duchowość nie są do tego przygotowane. Istnieją wybrani ludzie, którzy mieli łaskę ujrzeć cząstkę Boga, ale tylko cząstkę. Pan Bóg nie ukazuje się nikomu na ziemi w całej okazałości, bo ktoś, kto by tego dostąpił, zostałby od razu starty w proch. Nikt tego nie znieśie. To jest kategoryczne stwierdzenie, ale czy umiemy Boga opisać, narysować... Lepiej tego nie róbmy. Wierzmy w Niego i kochajmy. Już.

Co byś odpowiedział na zarzut, że to, co teraz robicie jako zespół, cały ten zwrot ku religijności, jest wyrazem ulegania komercji? Nagle Adam Nowak z zespołem dołącza do grupy muzyków chrześcijan.

Zarzuty mogą się pojawiać, od tego są. Ale to są głupie zarzuty. U podstaw nie leży pytanie, co śpiewamy, tylko dlaczego sprzedajemy tak wiele płyt? Ciekawym, co by nam zarzucali, gdybyśmy śpiewali piosenki o „pewnej atrakcyjnej części ciała Maryni”. Poza tym nie jesteśmy zespołem religijnym. I nasze piosenki też nie są religijne. My jako zespół

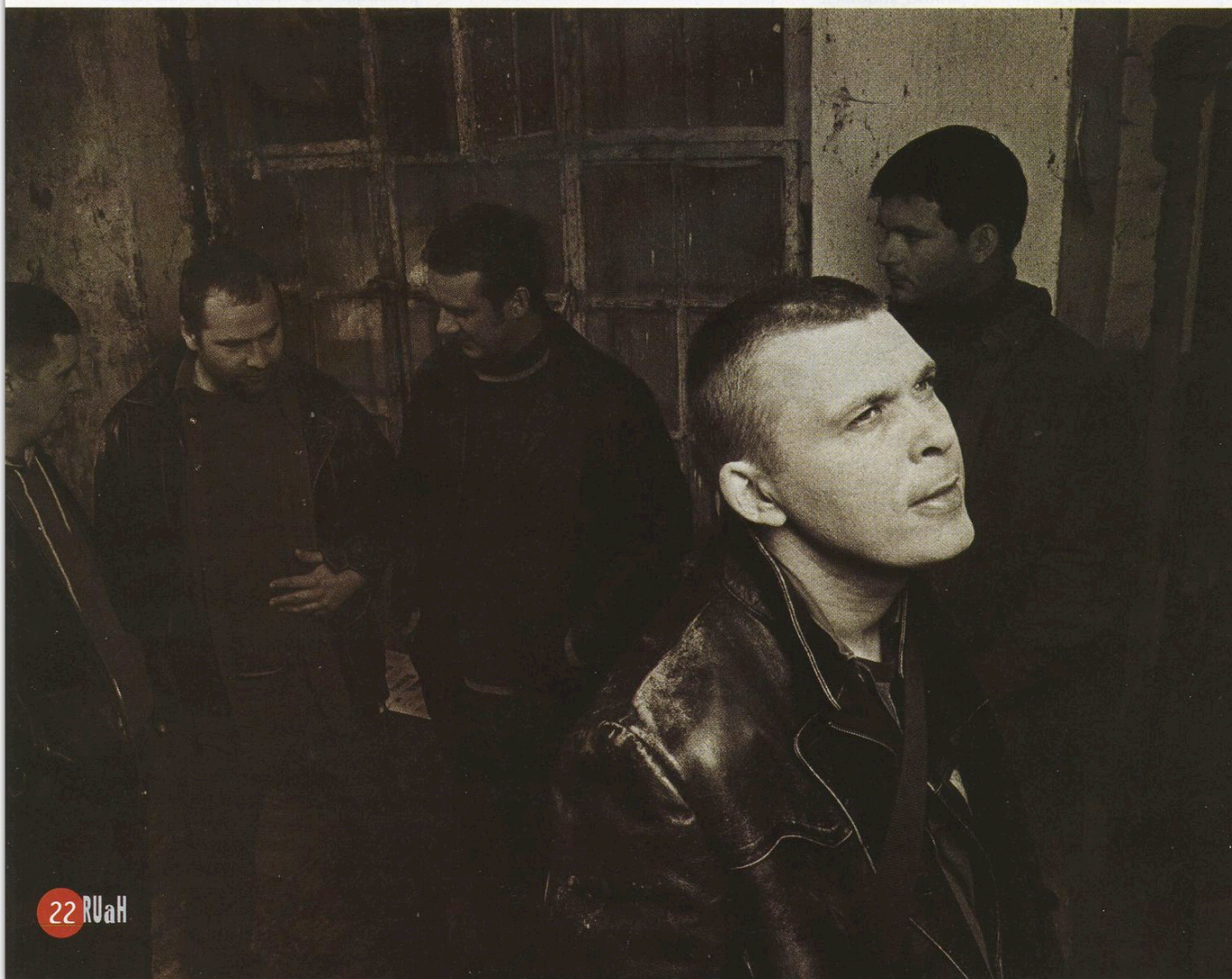
nigdzie nie dołączamy. Nie musimy. Raczej to nas się dołącza, bo powstała duża grupa ludzi, którzy zorganizowali się w scenę katolicką. Ale i tak jesteśmy na uboczu i tego ruchu, i tak zwanej branży muzycznej. Jestem chrześcijaninem, który pisze i śpiewa piosenki, a to dość znaczna różnica. Obiecałem sobie parę rzeczy, do których zachęciły mnie słowa Papieża i próbuję je jako realizować. A piosenki są dla mnie na razie jedną z wielu technik, które pozwalają mi to robić. Robię to, co obiecałem sobie, Panu Bogu, Papieżowi, moim dzieciom i mojej żonie: będę realizował coś, co pomoże im w świecie przetrwać. Nie wiem, czy będą przez to szczęśliwi, ale dla mnie, według wiedzy, jaką posiadam, jedyną rzeczą, jaka potrafi pomóc człowiekowi przetrwać jest miłość do drugiego człowieka. Miłość i przebaczenie. Wszystko inne jest trochę mniejsze...

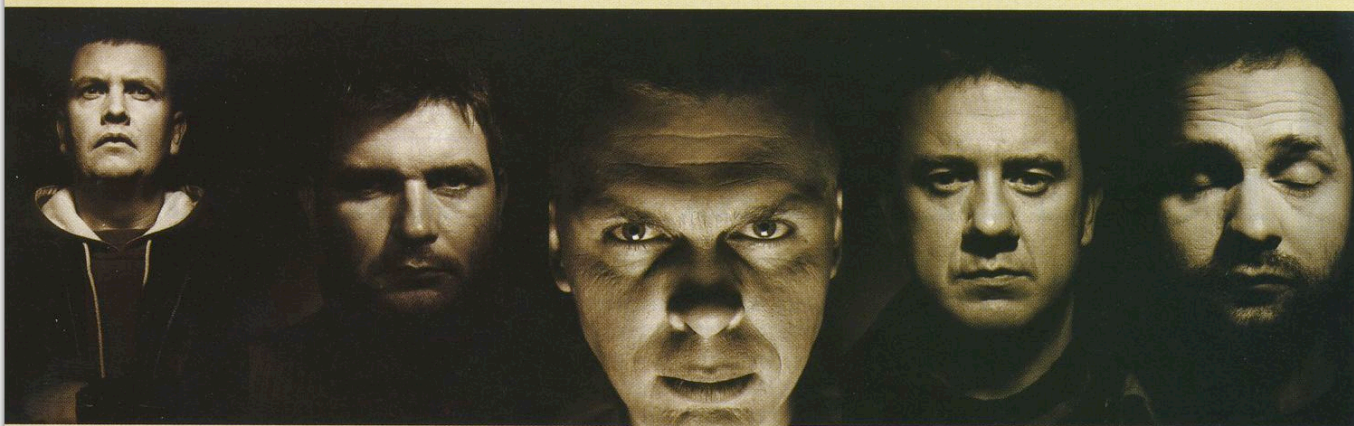
Kiedy słuchałem różnych Twoich wywiadów, miałem wrażenie, że bardzo chciałbyś mówić o Bogu, ale ten temat jakoś zupełnie nie interesuje rozmawiających z Tobą dziennikarzy...

Temat Boga jest *incorrect*, bo kiedy w rozmowie używa się słowa „Bóg”, w sondażach spada oglądalność. To jest coś obrzydliwego i śmiesznego jednocześnie, że

większość z nas dąży do korzyści, którą ma dawać wiara w Boga. Tych korzyści jest nieskończona ilość. Ludzie jednak wstydzą się mówić o samym Bogu, bo jeżeli zaczną to robić, to okazuje się, że wszystkiego, co osiągnęli, nie mogą zawdzięczać już tylko sobie, ale Jemu. Część ludzi woli zatem o Nim nie rozmawiać. Dla innych Bóg to osoba niewygodna, dlatego że stworzyła przepisy, które według nich nie pozwalają im się „rozwijac”, nie pozwalają im być „wolnymi”. To jest oczywiście jakaś totalna bzdura. Pewien wielki myśliciel, Mistrz Eckhart, który jest dla mnie wzorem w myśleniu, mówił wprost o pewnym niebezpieczeństwie, że dla nas ważny jest nie tyle sam Bóg, co nasza miłość do Niego. Bardziej kochamy naszą miłość do Niego, niż samego Boga. A kiedy człowiek to sobie uświadomi, zadaje sobie pytanie, jak ma kochać, żeby nie kochał tylko swojej miłości? I kto ma mi o tym powiedzieć?

Właściwie jedynym rozwiązaniem jest tu głos serca, ale też słuchanie ludzi, którzy nas otaczają. Jestem o tym głęboko przekonany, że często nie zauważamy sygnałów, które są nam darowane, bo są dla nas niewygodne. Albo jesteśmy ślepi. Mówić o Bogu w jakimś programie czy wywiadzie to tak, jakbyśmy wszyscy ubrali się w za ciasne garniturki. Prezenterom jest strasznie niewygodnie, bo





▼ fot. Andrzej Świetlik

boją się, że jeszcze widzą znacznie ich podejrzewać o to, że oni są religijni! Stwierdzi: - Przecież oni są religijni! - i przełączy na inny kanał. Bycie religijnym dla wielu ludzi oznacza bycie „zamkniętym”. Toż to nonsens! Przecież niereligijni też mogą być zamknięci. Cóż to za kategoria oceny! Wszyscy jesteśmy zamknięci: religijni i niereligijni. Wszyscy możemy być otwarci. Pytanie, jak sprawić, by te dwa światy mogły się ze sobą spotkać, żeby nie było między nimi konfliktu i żebyśmy mogli wspólnie egzystować i jedni drugich słuchać. Zdarza się, że wierzący mają poczucie wyższości w stosunku do niewierzących. A niewierzący z lekceważeniem traktują wierzących. Obie grupy są w kleszczach stereotypu uprzedzeń. Wysłuchaj i zrozum ateistę, a dostrzeżesz duże braki w swej wierze. Do wniosku, że niewiara też jest wiarą, przychylali się również filozofowie niewierzący...

„Niewiara jest wiarą na miarę”?

To już jest wniosek piosenkowy. Niewiara jest wiarą we własną niewiarę. Tak czy siak mamy zakodowane to, że wierzymy. Nawet, kiedy nie rodzimy się w środowiskach religijnych, to i tak jesteśmy ludźmi w coś wierzącymi. Ludzie mają w sobie taki mechanizm bez względu na to, czy są Europejczykami, Hindusami czy Indianami. Ponieważ Pan Jezus urodził się pod pewną

szerokością geograficzną, właśnie stamtąd zaczęło rozprzestrzeniać się chrześcijaństwo. Bóg mógł równie dobrze wpaść na pomysł, by Jezus był Indianinem albo mieszkańcem Laponii. Podejrzewam, że gdyby dzisiaj narodził się u nas, to byśmy go nie zauważyli. Nie miałby u nas szans. My cały czas nieustannie zmagamy się z tym samym, z czym zmagali się Żydzi. I nie wiem, czy gdybyśmy znaleźli się w ich położeniu, nie zrobilibyśmy z Jezusem dokładnie tego samego, co zrobili oni. Niektórzy ludzie dziś boją się mówić o Bogu. Jest część mediów, które taką tematyką się zajmują: Radio Plus, część gazet katolickich. Ale nieustająco jest potrzebny nowy sposób na „prezentację” idei chrześcijańskiej. W mediach publicznych rzadko się zdarza, żeby ktoś miał odwagę rozmawiać o Bogu, aczkolwiek zdarzają się miłe wyjątki, które w ciągu kilku sekund pozwalają mi odpowiedzieć na pytanie: „Czy wierzysz w Boga?” A gdy odpowiadam: „Tak, wierzę w Boga”, następuje precyzyjna zmiana tematu. Potem są pytania o ulubiony kolor, znak zodiaku i ulubione zajęcie... Miłe, prawda? Ale z drugiej strony nie w każdym programie o Bogu można, czy trzeba mówić. Sacrum najlepiej ustanawia dla siebie czas i miejsce. Pan Bóg jest wszędzie, nawet jeśli się o Nim nie mówi. Kto wie, czy nie bardziej wtedy jest obecny.

Przeszedłeś jakąś drogę w życiu duchowym. Na co teraz czekasz?

Dotychczasowe moje zmagania były przede wszystkim zmaganiem z samym sobą. Podejrzewam, że w mój życiorys jest wpisana pewna radość i szczęście, które sprawiają, że jestem zadowolony z tego, co się dzieje wokół mnie. W jakiś sposób zrealizowałem swoje marzenia, napisałem piosenki, w które wierzę, z których większość się nie starzeje i będę mógł je z powodzeniem zaśpiewać również za trzydzieści lat. Jeśli dotrwał. Ale niestety (i to niestety należy umieścić w cudzysłowie) czekam na coś, co Pan Bóg mi jeszcze zaoferuje, co na miarę moich możliwości będę mógł, chciał i musiał udźwignąć. Nie wiem, co to będzie. Podejrzewam jakąś niespodziankę, dosyć solidną. Nie wiem, czy na pierwszy rzut oka będzie ona miła, ale na razie jestem przygotowany tylko na wiedzę o tym. Nie jestem duchowo przygotowany na przyjęcie tego w całości. Tak jak na wiele rzeczy dobrych i złych nie byłem przygotowany. Wydaje mi się, że to nieuchronnie musi nastąpić, że będę potrzebował dużo siły własnej i pomocy bliskich mi osób, żeby mi dał sobie z tym radę.

rozmawiał: Cezary Sękalski
zdjęcia: Andrzej Świetlik

„Raka”

bądź pozdrowiony
w milczeniu rodzony
zniknij szczęśliwy
zmarłeś na niby
stałeś się pięknym dowodem
na wszystkie problemy z Bogiem
bo ludzka prawda musi być taka
że jesteś
raka

pokaż nam cuda
niech ci się uda
wszystko powiedzieć
co chcemy wiedzieć
powodem będziesz wspaniałym
na życie niedoskonałe
bo nasza prawda musi być taka
że jesteś
raka

opowiedz wrogom
co stanie się z tobą
mędrców pomaluj
przydadzą się w raju
i śpiewać o tobie będą
jakbyś miał zostać legendą
i w ludzkiej prawdzie musiał się
upiec
to jesteś
głupiec
raka

„Niecud”

gdyby kiedyś miał się zdarzyć cud
w cuda będę wierzył z tobą
od niecudu niech mnie broni
dobry Bóg

gdyby kiedyś nam zabrakło słów
co zamknięte są w pacierzach
może inne podaruje
dobry Bóg

gdyby kiedyś jedna z wielu gwiazd
cudem wpadła w nasze dłonie
gwiazdę kiedyś zaccarował
dobry Bóg

cuda są
jedynie dla tych co kochają
Pan Bóg dobry dla tych
którzy wierzą w cud
niekochanym obiecuje wolne
miejsce w raju
więc czekają

śl. Adam Nowak

misterium uwielbienia (3)

NOWE DŹWIĘKI Z SERCA BOGA

Piotr Płecha

Pisząc o uwielbieniu niewiele wspominałem dotąd o muzyce. To dlatego, że istota uwielbienia nie leży w graniu i śpiewaniu piosenek, lecz w oddawaniu czci, pokłonu, w służbie osobie, którą się uwielbia, życiu w miłości dla niej, czy „całowaniu ku” niej (proskuneo - gr.). Cóż więc z muzyką? Czy może ona być użyteczna w uwielbieniu? Dziś przytoczę tylko jeden argument: starcy w niebie upadają przed Jezusem, oddając Mu pokłon (uwielbiając) i trzymając w ręku... harfy (Ap 5,8). Bez wątpienia, te harfy nie służą im w niebie jedynie jako ozdoba. Czy po to, aby wyrazić uwielbienie Boga dźwiękami, musimy czekać aż do momentu, kiedy znajdziemy się w niebie? Czyż na darmo modlimy się: bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi?! Co mówi Słowo Boże o tych, którzy pod natchnieniem Ducha Bożego grali na ziemi? Czy muzyka bez udziału słów ma możliwość przekazywania duchowych treści? Czy Duch Święty chce używać muzyki granej tu, na ziemi do tego, aby przemieniać Swoją lud i pociągać go ku Ojcu i Synowi?

Pewnego dnia, Saul – człowiek wybrany przez Boga na króla Izraela, na swojej drodze napotkał grupę proroków (1 Sm 10,5-12). Prorocy ci grali na harfach, fletach, bębnach i cytrach – różnorodnych instrumentach. Swoją drogą szkoda, że wciąż tak wielu ludzi boi się bębnów w kościele (pomijając oczywiście warunki akustyczne budynków kościelnych). Wspomniani prorocy grając otoczyli Saula i skutek był taki, że stał się on nowym człowiekiem. Przemieniło się jego serce i mógł zacząć wypełniać powołanie dane mu od Boga.

Czyż dzisiaj muzycy – chrześcijanie nie mają tej samej misji co prorocy z księgi Samuela? Czy Bóg dzisiaj nie chce już przemieniać współczesnych Saulów – wybrańców Bożych w „innych”, Bożych ludzi, zdolnych do podjęcia Jego wezwania? Wbrew pozorom, nie mam tu na myśli jedynie tego, co powinno się dzieć na spotkaniach ewangelizacyjnych czy modlitewnych w naszych grupach kościelnych. Jestem głęboko przekonany, że również na koncertach w salach świeckich czy klubach jazzowych Bóg chce objawiać swoją moc. Również na festiwalach, nie wyłączając tych chrześcijańskich, a może szczególnie na nich... Dlaczego więc tak rzadko się to dzieje?

Wierzę, że klucz do tajemnicy znajduje się w 1 Sm 10,5: prorocy „ZSTĘPOWALI Z WYŻYNY”, z miejsca osobistego, intymnego spotkania z Panem, napełnieni Jego obecnością, namaszczeni, byli w „PROROCKIM UNIESIENIU”.

Nie czytamy w księdze Samuela, że prorocy przekazali Saulowi jakieś werbalne przesłanie. Wiemy, że mieli instrumenty i podobnie jak wspomniani starcy w niebie czynili z nich użytek. Bóg sam zaś wytłumaczył wszystko Saulowi i przemienił jego serce.

Można jednak powiedzieć: „wszystko to nie było skuteczne, bo Saul nie wytrwał w powołaniu, odwrócił się później od Boga”. Nie znaczy to jednak, że czegoś brakowało w darze Bożym, w proroczym akcie opisanym. Jest to raczej tajemnica serca i wierności (czy niewierności) odpowiedzi Saula, nie zaś problem proroków czy proroczej muzyki.

Inna sytuacja opisana w Biblii, gdzie muzyka otwiera proroczą przestrzeń to 2 Krl 3,15. Król

Izraela, Joram, król Judy, Jozafat, wraz z królem Edomu zjawili się u proroka Elizeusza pytając go o słowo Pańskie dla nich. Elizeusz polecił, aby przyprowadzono mu... harfiarza. „A kiedy harfiarz GRAŁ na strunach, spoczęła na nim (Elizeuszu) ręka Pańska i prorokował” (1 Krl 3,1). Wspomniany, nieznan nam bliżej harfiarz, nie występuje już nigdzie więcej w Biblii. Jestem przekonany jednak, że nie był to zwykły muzyk, lecz prorok napełniony Duchem Bożym, najprawdopodobniej znany Elizeuszowi. Nie powiedział on bowiem „przyprowadźcie mi jakiegoś harfiarza”, ale wszyscy wiedzieli, o którego harfiarza Elizeusz prosił. To był muzyk tej klasy co Asaf, Heman i Jedutun, liderzy uwielbienia w namiocie Dawida i świątyni Salomona, którzy PROROKOWALI... DŹWIĘKIEM harf, cytr i cymbałów (1 Krl 25,1-3). W tych 3 wersetach aż 3 razy czytamy, iż ci muzycy prorokowali DŹWIĘKIEM instrumentów. Oni nie grali i nie śpiewali jedynie piosenek O Bogu. Nie grali też jedynie DLA Boga, dedykując mu jedynie SWOJĄ twórczość. Oni grali OD Boga!!! Prorok to człowiek, który „przemawia” w imieniu Boga, jest jakby „Jego ustami” (Jr 15,19). Prorocy przemawiają też gestami. Wystarczy popatrzeć na Ezechiela, który prorokował przez to, że leżał na jednym z boków (Ez 4,4-9), Izajasza, który chodził... nago (Iz 20,2-3), albo Jeremiasza, który nosił na sobie jarzmo wołu (Jr 27,2). W ten sposób wspomniany harfiarz, Asaf, Heman i Jedutun prorokowali – przemawiali w imieniu Boga dźwiękiem swoich instrumentów. Prorok niekoniecznie mówi o przyszłości. Wyraża serce Boga, Jego charakter. Instrumenty muzyczne, również te nasze doskonale nadają się do tego, aby wypowiedzieć to, czego nawet ludzkie słowa nie są w stanie wyrazić. Ludzkimi słowami nie jesteśmy w stanie wyrazić serca i charakteru Boga. Myślę, że muzyka może zrobić to dalece głębiej.

Często zadanie muzyka widzę w kategoriach malarza z paletą barw w ręku. Może on „malować” muzyką sposoby manifestowania się Bożej obecności. A jakie różnorodne są te sposoby!!! Od delikatnej obecności Pana w powiewie łagodnego wietrzyku (1 Krl 19,12) aż do głosu Pana „pełnego dostojństwa, który

łamie cedry, ustrząsa pustynią, zgina dęby, ogalaca lasy” (Ps 29,4-5). Dlaczego nie można by zagrać „grozy, którą sieje Bóg ze swej świątyni” (Ps 68,36) lub majestatu Pana, który „zasiada na cherubach a ziemia się trzęsie” (Ps 99,1). Czy to jakoś mieści się jeszcze w kategoriach naszej muzyki „chrześcijańskiej”? Czy mielibyśmy w końcu odwagę zagrać „wiatr, który wieje tam, gdzie chce, którego szum słyszemy, lecz nie wiemy, skąd przychodzi i odkąd podąża”? (J 3,8). Potrzeba rzeczywiście odwagi, aby to zrobić, bo prawdą jest, że nie wiemy, gdzie ten Wiatr nas zaprowadzi. Potrzeba odwagi, bo tu nie wystarczy już nawet profesjonalne opanowanie instrumentu. Tu potrzeba poddać się Świętemu Wiatrowi Duchowi (Ruah), który jest zawsze nowy, świeży, twórczy i podąża za Nim. On ma upodobanie wprowadzać nas w nowe rzeczywistości, również muzyczne – tam, gdzie jeszcze nigdy nie byliśmy, ani gdzie jeszcze nikt na świecie nie był! Czy naprawdę muzyka „chrześcijańska” musi być popluczynami tego, co gra „świat”? A cóż z nową pieśnią, której nikt nie mógł się nauczyć oprócz wybranych przez Boga? (Ap 14,3). Czy na pewno musimy czekać na to, aż będziemy w niebie, czy też Bóg chce, aby już tu na ziemi „świat” zazdrościł Bożemu ludowi przepięknej, nowej muzyki, która objawia Bożą obecność?!

W następnym odcinku przyjrzymy się szczegółowej temu, w jaki sposób Bóg wprowadza nas w te nowe przestrzenie muzyczno-duchowe. Spróbujemy też popatrzeć na to, co czynić z talentami, które Bóg nam dał.

Na koniec jednak chcę pocieszyć wszystkich wokalistów. Z tego, co tu napisałem, mogłoby się wydawać, że jedynie instrumentalści mogą prorokować. Nie zapominajmy jednak, że głos to również instrument i niekoniecznie trzeba śpiewać słowa po to, aby wydawać dźwięki. Tak aby już zupełnie uspokoić chcących śpiewać na chwałę Pana (sam jestem wśród nich): Bóg nie ma nic przeciwko piosenkom. Nawet w niebie śpiewa się „piosenki”!!! (Ap 5,9; 14,3; 15,3). Śpiewajmy więc całych (BOŻYCH) sił w nas! ■

Piotr Płecha



korespondencja Tomka Wienke ze Stanów Zjednoczonych

KURT KECK

Szalony Amerykanin w Polsce

KURT KECK – Amerykanin, który urodził się w Meksyku, wychował w Australii i później w USA. Przeprowadził się do Szwecji z zamiarem zamieszkania tam, ale to Polska na długi czas stała się jego domem. Był chyba pierwszym amerykańskim muzykiem koncertującym w Kazachstanie i na Syberii jeszcze w erze ZSRR. Jego gra na gitarze była fascynacją dla wielu. Jako artysta był autorytetem i inspiracją dla muzyków nie tylko w Polsce. Dziś, w 20. rocznicę jego pierwszej wizyty w naszym kraju, mam możliwość ponownego porozmawiania z Kurtem o jego „europejskich” latach i tym, co się dzieje u niego teraz. Umówiliśmy się w jego domu, położonym na północ od Seattle w północnym stanie Waszyngton, w pięknej dolinie rozciągającej się pod ośnieżonymi górskimi szczytami.

Jak to się stało, że zawitałeś do Polski?

Właściwie to nie planowałem tego. W 1983 roku przyjechałem do Szwecji z zamiarem zamieszkania tam. Poznałem tam pewnego pastora i inne osoby, które jeździły do Polski z darami. Jesienią tego roku zapytano mnie, czy nie pojechałbym z jednym z transportów. Jedynym moim zadaniem wtedy było dopilnowanie, aby transport dotarł do miejsca

przeznaczenia. Zbiegło to się też z czasem, kiedy musiałem wyjechać na jakiś czas ze Szwecji, bo kończył się mój trzymiesięczny pobyt, a pozwolenie na pracę z młodzieżą w Szwecji nie było jeszcze gotowe. Więc musiałem wyjechać tak, czy inaczej, ale jak się później okazało, był to wyjazd zmieniający moje plany. Z czasem zobaczyłem w tym Bożą rękę.

Pamiętasz swoje spostrzeżenia i impresje z tej pierwszej wizyty w Polsce?

Myślę, że wtedy byłem w pewien sposób naiwny, nieświadomy opresji, jakich doznawali ludzie żyjący w krajach Europy Wschodniej i tego, czym naprawdę był komunizm. Ja po prostu przyzwyczajony byłem do tego, że mogłem robić rzeczy, na jakie miałem ochotę, kiedy miałem na nie ochotę, i decydowałem, jak to robić.



Kurt Keck w "Monarze"

Gdy przekraczałem granicę w Świnoujściu, przeżyłem szok. Miałem wrażenie, że straż graniczna jest tam po to, aby odstraszać... i w sumie im się to udawało. Nie rozumiałem ich wrogiej postawy. Miałem wrażenie, że im jeszcze nikt nie powiedział, że wojna już się skończyła 40 lat temu. Wyglądało to tak, jakby reszta świata poszła do przodu (tj. reszta świata mi znanego), a tutaj czas stanął w miejscu. Dlatego, kiedy w końcu udało mi się przekroczyć granicę, miałem mieszane uczucia. Zmieniło się to szybko, kiedy spotkałem ludzi, którzy byli dla mnie bardzo serdeczni. Pamiętam, na przykład, jak tego dnia zaprzagnąłem kupić śmietankę do kawy. Było bardzo wcześnie rano. Zobaczyłem sklepik w jakiejś wiosce i zatrzymałem się tam. W sklepiku były już na zakupach 3 kobiety. Udało mi się znaleźć coś, co wyglądało na śmietankę i chciałem zapłacić. Wyciągnąłem banknot 5000 zł, a sprzedawczyni i kobiety zaczęły kręcić głowami i wołać – „nie, nie”. Pomyślałem więc, że to za mało i wyciągnąłem 10 000 zł a one dalej – „nie, nie”. Sięgnąłem po banknot 20 000 zł, złotowy – usłyszałem to samo. Dotarło do mnie, że kłopot był w tym, iż nie miały wydać z 5000 zł. Chciałem powiedzieć, że nie ma problemu, że chcę zapłacić 5000 zł za tą śmietankę, bo dla mnie i tak były to żadne pieniądze. Wtedy kobieta stojąca za mną wyciągnęła pieniądze i zapłaciła za mnie. Byłem ogromnie zaskoczony, oczywiście chciałem dać jej banknot, który

miałem, ale stanowczym wzrokiem odmówiła. To doświadczenie bardzo mnie poruszyło. Podobnych doświadczeń, kiedy byłem wzruszony i zaskoczony, było wiele w Polsce. Nie spotkałem się z tym na taką skalę w żadnym innym kraju, w którym wcześniej żyłem. Oczywiście dobre rzeczy działy się w Stanach czy Szwecji, ale różnica była taka, że w Polsce ludzie byli pod naciskiem i zarabiali bardzo mało. Dotarło do mnie z czasem, że Polacy nie poddali się, że nie byli złamanym narodem. Inaczej to wyglądało, kiedy byłem później w Związku Radzieckim, ale w Polakach zdecydowanie widać było „ducha”, który pozwalał trzymać głowę do góry, dawać, kochać, dzielić się z innymi... Robili to wszystko lepiej niż ludzie w krajach Zachodu. Dlatego parę lat później miałem wizję-nadzieję, że Bóg użyje Polski do pomocy krajom Europy Wschodniej. Polacy o wiele bardziej rozumieli sąsiednie kraje niż ludzie z Zachodu, którzy w porównaniu z Polską, na te czasy, żyli jak w „wesołym miasteczku”. Wracając jednak do mojej pierwszej wizyty, rozmawiałem wtedy z ludźmi i zadawałem im mnóstwo pytań. Zapewne wiele z nich było bardzo głupich, ale ja naprawdę nie miałem pojęcia, dlaczego tak się działo, jak się działo. Pytałem dlaczego nic nie może się zmienić... Przecież to nie było w porządku.

Jednak po powrocie do Szwecji nie myślałeś o ponownych przyjazdach

do Polski? Chyba miałeś inne plany?

Nie, rzeczywiście nie planowałem powrotu do Polski. Ta wizyta dała mi wiele do myślenia, ale plany były inne. Dalej chciałem pracować przy kościołach z młodzieżą w Szwecji, jednak minęło parę tygodni, a że dokumenty nie były gotowe, musiałem znowu wyjechać. Zostałem zaproszony do Holandii. Zdarzyło się tak, że poproszono mnie, abym zagrał i zaśpiewał podczas noworocznej konferencji dla liderów młodzieżowych, a w tym tych, którzy byli odpowiedzialni za chrześcijańskie kafejki. O ile dobrze pamiętam, tych kafejek było ponad 100. Pozwolono mi wtedy zagrać 3 utwory, po czym zszedłem ze sceny i zaczęto do mnie podchodzić i zapraszać między innymi do tych kafejek. Skończyło się na tym, że zamiast planowanych 3 miesięcy, spędziłem w Holandii 8 miesięcy, grając prawie non-stop. Było to bardzo dobre doświadczenie, które chciałem zabrać ze sobą do Szwecji. Zaraz po moim powrocie do Goeteborga zadzwonił telefon i zostałem poproszony o zagranie na rekolekcjach następnego dnia. Nazajutrz okazało się, że były to niezwykle rekolekcje, w których brało udział ponad 4000 ludzi. Transmitowano je przez radio, a prowadził je sam biskup tej diecezji. Tego wieczora dostałem wielką ilość zaproszeń. Okazało się, że później często spotykaliśmy się ze wspomnianym biskupem w różnych miejscach, w których on wykladał, a ja grałem. Poznaliśmy się

bliżej i wkrótce za wstawiennictwem biskupa otrzymałem pozwolenie na prace i pobyt stały w Szwecji. W tym czasie intensywnie koncertowałem i spotykałem się z tamtejszą młodzieżą.

Jak to się stało, że zawitałeś ponownie do Polski?

Kiedyś, w luźnej rozmowie ze znajomą Szwedką, rzuciłem taką myśl, że może warto spróbować wrócić do Polski i także tam coś zrobić dobrego. Ona w dalszym ciągu jeździła do Polski i poznawała tam ludzi. Już w grudniu 1984 roku przedstawiła mi Magdę, która przyjechała do niej w odwiedziny. Magda wydała mi się przemiłą osobą i była otwarta. Rozmawialiśmy trochę o koncertach, spotkaniach z młodzieżą w Polsce. Nie wyobrażałem sobie, jak miałyby to wszystko wyglądać, ale potwierdziłem Magdzie, że jestem gotów przyjechać. Właściwie to chyba wtedy ustaliliśmy, że miałbym przyjechać w marcu 85 roku. Pytałem też Magdę, gdzie miałbym grać i świadczyć o Jezusie. Powiedziała, że ma kontakty z ośrodkami odwykowymi dla narkomanów, które właśnie starała się wspierać, wymieniła też Domy Dziecka, na co ja jak najbardziej przystałem.

I rzeczywiście dopłynąłeś do Polski w marcu?

Tak, w marcu 1985 roku byłem ponownie w Polsce! Tym razem już z gitarą. Dotarliśmy do miejsc i ludzi, o których Magda wspominała podczas naszej rozmowy w Szwecji. Muszę powiedzieć, że to, co się wtedy działo, było bardzo, bardzo dobre. Widziałem Bożą rękę, Jego prowadzenie i to, jak dotyka ludzi. Więc szybko zapytałem, kiedy mogę znowu tutaj przyjechać. Zobligowałem się wtedy do powrotów co 3 miesiące. Tak to się zaczęło. Magda organizowała miejsca koncertów i spotkań, a ja przyjeżdżałem i ruszaliśmy „w trasę”. Z czasem moje pobyty w Polsce zaczęły się przedłużać. Dotarliśmy chyba do wszystkich ośrodków Monaru. Wspominając Monar, pamiętam sytuację, podczas wizyty w jednym z ośrodków, gdzie warunki były naprawdę bardzo złe. Nie mieli ogrzewania, zorientowałem się, że nie starcza im jedzenia. Zrozumiałem wtedy, że jeżeli chcę im mówić o Jezusie, to nie wystarczy, że pojawię się z gitarą i zaśpiewam ubrany w ciepły, elegancki sweter i kurtkę. To był dla mnie punkt zwrotny. Ci ludzie byli w konkretnej potrzebie i pomoc im leżała mi bardzo na sercu. Jak na tamte czasy nie potrzebowali dużo pieniędzy, aby utrzymać w przyzwoitych warunkach ten ośrodek. Po przeliczeniu okazało się, że wystarczyło 100 dolarów. Wróciłem więc do Szwecji i pierwszym osobom, które spotkałem, opowiedziałem tę historię...

One zadeklarowały się wesprzeć ten ośrodek 100 dolarami. Później starałem się znaleźć kolejne osoby, które mogły pomóc. Niedługo później prosiłem Magdę, aby zorganizowała spotkanie w Warszawie z odpowiedzialnymi za poszczególne ośrodki, bo miałem dla nich dobrą wiadomość. Wtedy pierwszy raz spotkaliśmy się z Markiem Kottańskim. Był wyjątkowym człowiekiem. Powiedziałem im, że znaleźli się dobrzy ludzie, którzy chcą im pomagać i tej pomocy jest tyle, że co miesiąc będą wysyłać pełnego TIRA darów dla Monaru. Miałem wrażenie, że nie do końca wierzą w to, co mówiłem i chyba byli bardzo zaskoczeni tym, że transporty z darami zaczęły się rzeczywiście pojawiać. Najważniejsze jednak w tym wszystkim było to, że kiedy otrzymywali pomoc, byli bardziej otwarci na słuchanie o Jezusie.

Jak docierałeś do ludzi w Polsce? Czy myślisz, że twoje przesłanie było rozumiane?

Nauczyłem się kilku piosenek po polsku, których słowa były modlitwą. To było bardzo pomocne. Np. w Monarach często bywało tak, że całą noc śpiewaliśmy i rozmawialiśmy, i znowu śpiewaliśmy i dalej rozmawialiśmy. Wspaniale było doświadczać tego, jak ludzie byli dotykani przez Boga.

Rozumiem, że Monar był twoją pierwszą „sceną koncertową” w Polsce. Później otworzyły się i inne drzwi...

Tak, później zacząłem grywać w klubach i na wielu festiwalach. Były wśród nich festiwale bluesowe i rockowe, z których najbardziej pamiętam chyba Jarocin. Ciekawe było to, że część koncertów zorganizowali ludzie z Monaru. Miałem też bardzo dużo spotkań w szkołach.

A w kościołach?

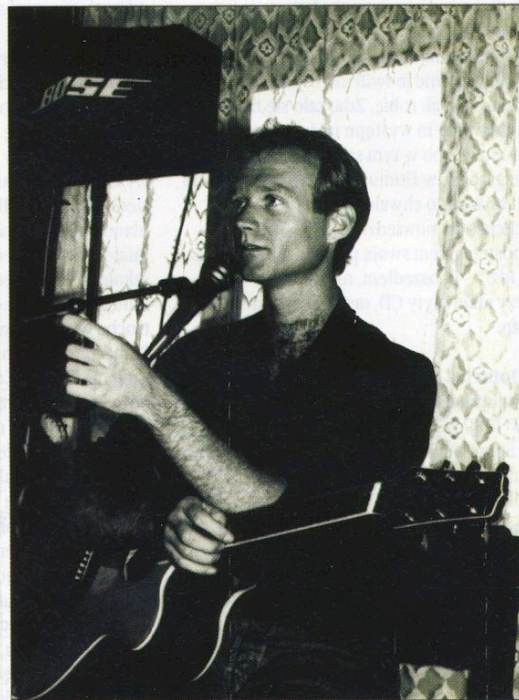
Nie dążyłem szczególnie do występów w kościołach, bo czułem, że mam iść i grać dla tych, którzy bardziej potrzebują. Dobrej Nowiny. Z czasem jednak na koncertach w klubach i

pubach zaczęła pojawiać się młodzież z grup kościelnych, a na tyłach sali widziałem też księży, którzy pewnie przyszli sprawdzić faceta, który w barach śpiewa o Jezusie. Myślę, że to może przekonało ich o autentyczności tego, co robię i później pojawiły się pierwsze kontakty i zaproszenia. Oczywiście byłem na nie otwarty i wiele dobrego działo się też na koncertach i spotkaniach w kościołach.

Były też i duże sceny koncertowe na stadionach i salach widowiskowych...

Rzeczywiście, było trochę takich koncertów, ale dla mnie zawsze najważniejszy był bezpośredni kontakt ze słuchaczami, o co trudno na takich dużych imprezach. Bramki odgradzające od publiczności, ochrona, ciężko jest w takich warunkach docierać do ludzi i szczerze świadczyć. Poza tym nie było dla mnie ważne, czy gram dla 3000, czy dla 3 ludzi. Myślę, że Bóg nie uważa, abym był lepszym sługą, kiedy gram dla tłumów. Często większym błogosławieństwem dla mnie były małe koncerty. Niesamowita jest świadomość, że dzięki Bogu, te koncerty były czymś więcej niż graniem na gitarze – były budowaniem Królestwa Bożego. To jest dla mnie wielki zaszczyt. Bez Boga byłbym tylko grakiem.

W tym czasie koncertowałeś dalej także w innych krajach?



Podczas koncertu w Domu Dziecka w Ostrołęce, 1988 rok



KURT & LARRY NORMAN Wspólny koncert z legendą chrześcijańskiego rocka

Tak, w tym czasie wyjeżdżałem też na festiwale do Holandii i Finlandii. Miałem też 2-3 trasy w Stanach, a i w Szwecji wciąż dużo grałem. Chcę jednak zaznaczyć, że stałem się popularny dzięki Bogu, ja nigdy nie dążyłem do popularności. Najważniejsze dla mnie jest, aby być skupionym na Bogu i szukać Jego prowadzenia. Grając na dużych festiwalach w Polsce czy w Europie Zachodniej spotykałem bardzo popularnych artystów, ale wielu z nich nie miało takich doświadczeń, jakie dane mi było przeżyć. Zaskoczeni byli, że ja bez wielkiej promocji i wielu nagranych płyt stawałem na równi z nimi na scenie. Wielokrotnie mówili mi, że zazdrościsz mi tego, co i jak robię. Zdarzało się tak, że odmawiałem występu na jakiejś większej imprezie, bo w tym samym czasie mogłem zagrać np. w Domu Dziecka. Nie chodzi mi tutaj teraz o chwalenie się. Po prostu chciałbym powiedzieć, że właśnie tak postrzegałem swoją posługę. Usłyszałem – „Idź!” – i poszedłem, nie zważając na to, czy mam płyty CD, materiał promocyjny itp.

Dotarłeś także do odległych republik Związku Radzieckiego. Kiedy to było?
W 1989 roku wraz z muzykami ze Szwecji i Stanów mieliśmy 4 duże trasy. Byliśmy na Białorusi, Ukrainie, w Moskwie i okolicach, później w Alma-Acie w Kazachstanie, aż po okolice Syberii.

Czy było to dla ciebie inne doświadczenie niż granie w Polsce?
Tak, było to coś innego, ponieważ ludzie tam są bardzo różni do Polaków. Trudno mi było na początku zaadaptować się do tej rzeczywistości. Główna różnica polegała na tym, że w życiu większości Polaków było miejsce na Boga, że były

kościół, że Polska była dumna z papieża Polaka. W Rosji było inaczej i chociaż mówiłem o tych samych ważnych rzeczach, co w Polsce, to tam nie było to rozumiane. Czulem, jakbym nie miał o co zahaczyć. Bóg dla nich nie istniał, komunizm zmienił ich myślenie o Bogu przez te 70 lat. Ale to, co nie do końca wychodziło na koncertach, udawało się po występie, kiedy spotykaliśmy się z ludźmi i rozmawialiśmy, poznawaliśmy się i nawiązywaliśmy relacje. Jednak nigdy nie udało nam się zbliżyć na tyle, na ile udawało się to z ludźmi w Polsce.

Prowadziłeś bardzo intensywne życie. Nie brakowało ci czasu dla siebie?
Rzeczywiście dużo się działo i z czasem Polska stawała się moim pierwszym domem. Jednak w grudniu 1989 roku wyleciałem do Stanów. Miała to być 3-miesięczna przerwa dla mnie, po której planowałem wrócić do Polski. Na ten czas miałem już zarezerwowane miejsce w szkole biblijnej. Jednak 3 miesiące szybko minęły, a ja ciągle czulem, że potrzebuję trochę więcej czasu i mój pobyt w Stanach przeciągnął się o kolejny kwartał. Tak więc do Polski wróciłem po pół roku, ale przyznaję, że wtedy trudno mi było wskoczyć na te same obroty co wcześniej. Cieszyłem się, że jestem znowu w Polsce, ale jednak pojawiło się wtedy „zmęczenie materiału”. Uświadomiłem sobie, że chyba się nadto wyeksploatowałem. Bóg pokazał mi także sprawy w moim życiu, które wymagały poukładania. Dlatego, kiedy moi polscy przyjaciele cieszyli się bardzo z mojego powrotu, ja wewnętrznie zmagalem się. Więc wróciłem do Stanów na kolejne 6 miesięcy. Później ponownie przyjechałem do Europy (po drodze do Polski grałem na festiwalach w innych

krajach), jednak doświadczenie było podobne. Dlatego zdecydowałem się na powrót do USA na dłuższy pobyt. Na początku nie było to łatwe, bo bliższa mi była Europa. Także nie było mi łatwo odmawiać wielu zaproszeniom jakie otrzymywałem z różnych miejsc w Stanach, ale zdecydowałem, że potrzebna jest mi przerwa. Wtedy zapisałem się do dwuletniej szkoły muzycznej. Pomyślałem, że skoro nie mogę teraz posługiwać, to rozwinę technikę i wiedzę o muzyce.

Jednak później pojawiłeś się jeszcze w Polsce.

Tak, nawet parokrotnie, a raz nawet na dłużej niż 6 miesięcy. Jednak zauważyłem, że Polska się zmienia, zmieniła się sytuacja, zmienili się też trochę może ludzie. Mieli inne potrzeby. Wtedy, szukając woli Boga, zrozumiałem, że moja misja w Polsce się skończyła.

Wróciłeś więc na dobre do Stanów. Znalazłeś miejsce dla siebie jako muzyka?

Nie rozstałem się z muzyką. Co prawda nie gram tyle koncertów co kiedyś, ale cały czas służę muzycznie. Wróciłem do muzyki uwielbienia. Zostałem liderem uwielbienia w kościele w Seattle.

Czym dla ciebie jest muzyka uwielbienia? Czy łatwo było przestawić się z rockmana na lidera uwielbienia?

Tak, masz rację, jest to różnica. Niemniej wierzę, że to Jezus ustanowił Kościół i ważne jest wspieranie i zaangażowanie w lokalny Kościół. Wszyscy jesteśmy jego członkami. Wszyscy na różne sposoby możemy mieć wkład w budowanie Królestwa Bożego. Ja chciałem bardzo robić to danym mi talentem. Wiedziałem, że to musi być inna forma niż koncerty.



Kurt z bezdomnymi dziećmi w Rumunii. Grat dla nich w kanatach, gdzie dzieci schodzili się na nocleg.

Zaangażowałem się bardzo, bo z reguły albo oddają się czemuś z pasją, albo tego nie robią. Muzyka uwielbienia i bycie liderem uwielbienia nie było dla mnie czymś zupełnie nowym. Przed wyjazdem do Europy prowadziłem już uwielbienie w kościele w Nashville. W pewien sposób robiłem to także w Polsce, śpiewając po polsku. Bóg tego używał także do przeprowadzania ludzi do siebie.

Wracając do czasu spędzonego w Polsce – jakie masz najlepsze wspomnienia z Polski?

Najlepiej wspominam czas spędzony z ludźmi. Obojętnie, czy to było w ich domach, w kościele, po koncercie w klubie, w Monarze... Bycie z ludźmi ubogacało mnie i mam nadzieję, że także oni otrzymywali coś dobrego. Wspaniale było być świadkiem tego, jak ludzie otwierali się na Boga, powierzali Jemu swoje życie.

Czy myślisz, że czas ten miał wpływ na twoją osobę?

Ależ bardzo! Poprzez moje doświadczenie z Polską dzisiaj jestem innym człowiekiem. Postrzegam sprawy inaczej. Bywa tak, że tutaj w Stanach ludzie nie rozumieją mnie, a wiem, że w Polsce byłbym zrozumiany. Ale nie mam do nich żalu. Po prostu nie mieli możliwości doświadczyć tego, co ja. No bo jak na przykład można pójść w Wigilię Bożego Narodzenia do Domu Dziecka i nie być poruszonym sytuacją dzieci i tym, że, stają się bardzo ufnie, dlatego, że spędzasz z nimi Wigilię. Nie można zapomnieć ich spojrzenia prosto w oczy. Jak dzisiaj patrzę wstecz i widzę ile się wydarzyło, wydaje mi się, że dane mi zostało dziesięciokrotnie więcej życia. Wiele dobrego się działo w moim życiu i wiele zostało we mnie. To nie było tylko coś przemijającego.

Czy pamiętasz może jakieś śmieszne sytuacje, które do dzisiaj wywołują śmiech?

Myślę, że niektóre zdjęcia, które dziś oglądaliśmy, są bardzo śmieszne (ha, ha). Przeżyłem wiele zabawnych sytuacji, ale najbardziej wspominam czas z rodziną Magdy i Macieja. Oni są świetną rodziną. Mam wiele zabawnych wspomnień w związku z nimi. Robiliśmy wiele głupawych żartów, ale i zdarzały się też bardzo sensowne. Na przykład kiedyś kazali mi umyć ich klatkę schodową. Możesz sobie wyobrazić minę sąsiadów, jak zobaczyli Amerykanina na kolanach szorującego ich klatkę (ha, ha, ha). Magda, Maciej i ich dziewczyny są mi bardzo bliscy. W czasie, kiedy wielokrotnie byłem w trasie, nie miałem rodziny, a oni stali się dla mnie najbliższą rodziną. Dzisiaj z perspektywy czasu

mogę powiedzieć, że nie należy tak długo być w trasie. Oni wtedy byli dla mnie błogosławieństwem i pomogli mi wiele w tym okresie.

Będąc w Polsce zainicjowałeś powstanie fundacji związanej między innymi z muzyką chrześcijańską. Fundacja sprostowała artystów z Zachodu.

Tak, a to dlatego, że po paru trasach w Polsce i innych krajach zobaczyłem, jak wielka jest tam potrzeba służby, ale zaraz pojawiało się w głowie pytanie: „gdzie są ludzie gotowi do tego?” Stąd ta inicjatywa, a głównym jej celem było głoszenie Dobrej Nowiny przez muzykę. Fundacja nazywała się „Da Vine Music”, a jej nazwa została zaczerpnięta z Ewangelii Jana, z rozdziału 15: „Ja jestem krzewem winnym a wy latoroślami...”. Nie wiem, jak długo fundacja działała jeszcze po moim wyjeździe.

W Polsce ostatnimi czasy powstało wiele zespołów chrześcijańskich, wielu artystów chce poświęcić się służbie. Czy jest coś, czym szczególnie z nimi chciałbyś się podzielić?

Moje przesłanie do nich zawiera się w Piśmie Świętym, w J 15. Warto wzrastać w Panu i w Nim przynosić owoc. Wszystko opiera się na relacji z Bogiem. Sam Jezus powiedział, że „beze mnie nic nie możecie uczynić”. Dlatego ważne jest, aby trwać i czerpać z Boga. Stawiać Boga ponad wszystko zgodnie z pierwszym przykazaniem. Warto ufać Bogu i być cierpliwym, bo dobre rzeczy rosną powoli. Tylko wtedy możemy być prawdziwym świadectwem o Bogu. Jeżeli będziemy śpiewali o nim, a nasze życie nie będzie tego odzwierciedlać, ludzie to zobaczą, nie da się ich oszukać i nie będzie owoców, o jakie Bogu chodzi. Nie chodzi o to, że musimy być idealni. Żaden człowiek nie jest idealny. Wszyscy upadamy, popełniamy błędy, jak chociażby Król Dawid kochał muzykę i szczerze wielił Boga. Tak naprawdę to nie chcę mówić ludziom, co mają robić. Chcę się podzielić tym, co było ważne dla mnie i zachęcam do wczytania się w 15 rozdział Ewangelii Jana.



Kurt z grupą muzyków w Atma-Acie, 1989 rok

Dzisiaj rozmawiamy w domu, który sam zbudowałeś. Co on znaczy dla ciebie?

Jest schronieniem, zaciszem dla mnie. Jest pierwszym takim zaciszem, które Bóg mi dał. Jestem Mu wdzięczny za to miejsce. Przez wiele, wiele lat nie miałem domu. Oczywiście przez ten czas Bóg był moją ucieczką. Właściwie już od dziecka stałe podróżowałem. Dlatego teraz ten dom jest moim azylem, gdzie mogę znaleźć pokój. Wierzę, że jest to Boże błogosławieństwo, patrząc na to, w jaki sposób poukładały się sprawy i jakie możliwości się otworzyły. Chociażby to, że sam mogłem go zaplanować i zbudować. Ale ten dom nie byłby prawdziwym domem bez mojej żony Jenine i córki Sahar. Dziękuję Bogu za nie. Naprawdę mam za co Mu dziękować.

Czy chciałbyś jeszcze przyjechać do Polski?

Oj tak. Szczególnie cieszyłbym się z możliwości spotkania z przyjaciółmi. Nie wiem tylko, czy Magda i Maciej profilaktycznie nie wyrzucili mojej kanapy (ha, ha, ha).

Chciałbyś coś przekazać ludziom w Polsce?

Chciałbym im podziękować. Szczególnie tym, którzy mi pomogli, aby stało się to, co było naszym udziałem. „Dziękuję bardzo!” (powiedział Kurt po polsku)

rozmawiał: Tomek Wienke
zdjęcia: z archiwum Kurta Kecka

PS. Chętnych do napisania paru słów do Kurta proszę o przesłanie ich mailem na moją skrzynkę (tomw@kdm.pl). Przekażę mu je wszystkie. Ci, którym język angielski może sprawiać kłopot, mogą oczywiście pisać w języku polskim i zostanie to przetłumaczone.

PRL

Grzegorz 'Dziki.
Bezrobotny.

Pod koniec wakacji ukazała się w sprzedaży książka dziennikarza „Gazety Wyborczej”, Mikołaja Lizuta – „Punk Rock Later”. Jej autor publikuje wywiady, jakie przeprowadził z liderami czołowych polskich zespołów punk-rockowych. Wśród wypowiedzi muzyków pojawia się również temat ich wiary w Boga.

Dzisiaj zakładam, że Bóg jest. Zrobiłem się agnostykiem. Nie jestem pewien, czy potrafię dotrzeć do sedna sprawy. Wiem też, że mój świat nie jest jedyny. Są różne prawomocne sposoby dochodzenia do Boga i odchodzenia od Niego. Z czasem stałem się człowiekiem bardziej tolerancyjnym.

Kazik

Przez reggae każdy jakoś przechodził okres fascynacji Biblią. Dzięki temu mogę teraz spokojnie pogadać ze świadkami Jehowy. Dziś mogę powiedzieć o sobie, że jestem osobą wierzącą, dotknąłem jakiejś tajemnicy, choć nie czuję się związany z żadnym systemem religijnym.

Robert Brylewski

Rok po pierwszej komunii wziąłem rozbrat z kościołem katolickim. Nie satysfakcjonowała mnie odpowiedź na każde pytanie, że to jest „tajemnica wiary”. Zacząłem szukać i trafiłem na buddyzm. Spodobało mi się to, że w buddyzmie jest mało wiary i mało tajemnic.

Tomek Lipiński

Jesteśmy razem z Natalią i dziećmi we wspólnocie Drogi Neokatechumenalnej i powoli odkrywamy ukryte skarby, jakie ma dla nas Bóg w Kościele Katolickim. Ta wspólnota wielokrotnie uratowała mi życie i niby dlaczego mam się nie zgadzać z czymś, co uczyniło moje życie pełniejszym i szczęśliwym? Powtarzam, to są skarby.

Tomek Budzyński

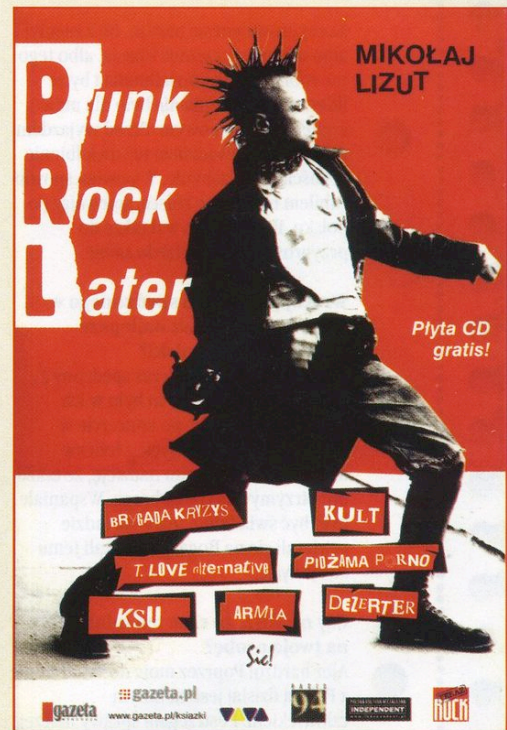
– Nie czujesz się katolikiem?
– Jeszcze tego nie wiem. Po prostu wierzę w Boga.

Muniek Staszczyk

Jedną z niewielu książek traktujących o tak niewygodnej do opisanía materii, jaką jest muzyka. Może właśnie dlatego tak niewspółmierny jest efekt jej wydania do problemów czy zagadnień, które autor chciał w swoim zamyśle opisać. Dostajemy bowiem do ręki nie dzieło ze wszech miar przesiąknięte duchem muzyki, ale zbiór wywiadów pisanych jakby pod dyktando linii programowej „Gazety Wyborczej”. Najważniejszymi bowiem pytaniami (powtarzającymi się z uporem pijaka przeganiającego sprzed oczu białe myszki i różowe słonie) są te o przemiany systemowe i wejście do Unii Europejskiej. Śmiać mi się chciało, jak koleśi męczą się, żeby dobrze wypaść w roli politycznie uświadomionych. Autor książki, na co dzień pisujący polityczne komentarze do naszej siermiężnej rzeczywistości, nie daje swym rozmówcom żadnych szans...

Oj, słabo Panowie Bracia, słabo. Lepiej już wy się weźcie do grania – myślałem sobie czytając wywiad z KSU, który... wywiadem nie jest, a tylko o rzeczonym zespole opowieścią. Czyżby Siczka nie miał do powiedzenia tak dużo jak Kazik??? Mikołaj postarał

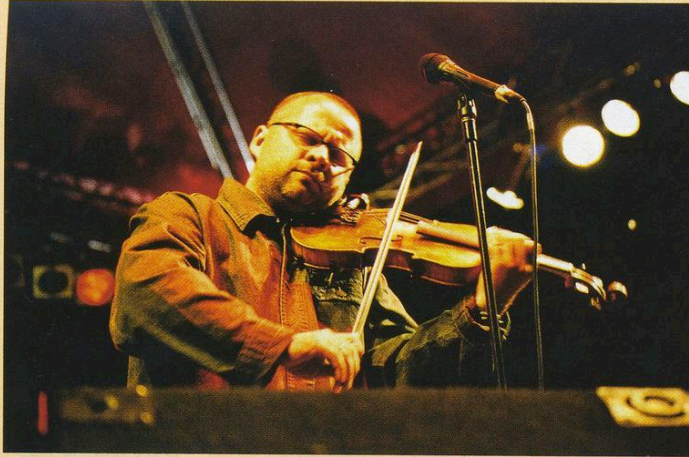
Czytelniku! Czy znasz tę książkę? Jeśli tak – czy zgadzasz się z zamieszczoną powyżej recenzją? Napisz do nas - Redakcja.



się dotrzeć do wielu muzyków, którzy rzeczywiście mieli niebagatelny wpływ na to, co przez ostatnich z górą dziesięć lat grało się w tym kraju. Czyta się to ciekawie, ale po pierwszym razie nie polecałbym do sięgania, niczym do poważnego almanachu. Ot, może młodzi się zainteresują, lecz do najsmaczniejszych rzeczy autor dokopać się nie mógł lub... nie chciał. No, bo dlaczego nie ma wywiadu z Zygakiem? (TZN Xenna; ci, to dopiero byli punkowcy!) Czy z Kelnerem, którego Deuter też nieźle zamieszkał na polskiej scenie? Kto nie wierzy, niech odnajdzie sobie w „Blokersach” Latkowskiego wypowiedź o tym, że ich numer pt. „Nie ma ciszy w bloku” był pionierski dla polskiego... hip-hop'u?

Jeśli ktoś chciałby się z „PRLateru” dowiedzieć, dlaczego tak naprawdę Brylewski opuścił Armię, to niestety musi się zadowolić stwierdzeniem (złota czcionka za to zdanie się należy!), że „Budzyński dostał religijnego świra i zaczął wszystkich nawracać”. Ba, to wiemy wszyscy i chwała za to Panu Bogu, odczuwam natomiast spory niedosyt, bo jedno zdanie na całą książkę, to trochę za mało.

W sumie książka jest socjologicznym zapisem zmian widzianych oczyma koleśi, którzy próbowali przez lata osiągnąć ideału. Ideału, którego niestety nie ma. I jeśli nie zaszyły w ich życiu jakieś znaczące zmiany, to niestety, całe to działanie sprowadza się do mitomanii – poszukiwania czegoś, czego nie ma. Zawiodłem się również na płycie dołączonej do książki – miała zawierać nigdzie wcześniej niepublikowane utwory, a znalazłem tylko takie, które mam i to na kilku różnych nośnikach – tape, analog, CD. Ocena końcowa nie jest najlepsza: Świetny tytuł, obiecujący coś w rodzaju podsumowania ostatniej dekady, kryje dziełko tylko dla tych, którzy lubią czytać, lub dla tych, którzy o polskim punku wiedzą niewiele. Trzeba się było jednak uczyć panie Lizut. ■



NOWA PŁYTA, NOWY ZESPÓŁ: NOWY TOMEK

z Tomkiem Kamińskim rozmawia Patrycja Michońska

Tomek Kamiński. Nowa płyta, nowy zespół: nowy Tomek.

Moja twórczość zmieniła się pod wpływem Matki Bożej, stąd dedykowana Jej płyta „Jaśmin”. Od niedawna żyję nowymi doświadczeniami. Sam pracuję w moim departamencie „menadżerskim” i organizacyjnym, mam więc dużo więcej obowiązków na głowie.

Nie narzekasz na brak pracy?

O nie, pracy jest bardzo dużo: koncerty, spotkania z młodzieżą. Moim pierwszym i najważniejszym powołaniem jest rodzina i staram się nie zaniedbywać tych obowiązków. Natomiast drugim powołaniem jest bycie artystą – świadkiem. To jest konkretna robota. Nie jest to siedzenie w kościele i składanie rąk, chociaż modlitwa jest niezwykle ważną rzeczywistością. Dla mnie bycie świadkiem to: bycie w rodzinie, a nie tylko opowiadanie o niej, profesjonalne podejście do pracy, dobra muzyka, dobre teksty, próby, koncerty na poziomie i wszystko, co jest z nimi związane.

Tvoja najnowsza płyta „Jaśmin”.

Nie będę sam oceniać swojej twórczości, ale mogę docenić pracę artystów, którzy ze mną ją nagrali. Jestem z niej bardzo zadowolony. Praca ze znakomitymi muzykami jazzowymi dała bardzo dobre efekty. Wraz ze mną piosenki nagrali: Piotr Olszewski (gitara akustyczna i elektryczna, śpiew), Jacek Pelc (perkusja i instrumenty perkusyjne, śpiew) oraz Grzegorz Nadolny (gitara basowa).

Dlaczego „Jaśmin”?

To jest alegoria. Tak, według mnie, wygląda miłość Matki Bożej do nas. Kwiat jaśminu bardzo intensywnie pachnie, a miłość Matki Bożej do nas jest intensywna, ogromna, zaborcza. Czasami jest delikatna, bo Ona potrafi doskonale wyczuć, jak nas do siebie nie zrazić swoją ogromną miłością. Jaśminowa herbata intensywnie pachnie, ale jest bardzo delikatna.

Cała płyta jest „maryjna”?

Nie wszystkie utwory są o Matce Bożej, ale cała płyta jest Jej dedykowana. Powstała ona, bo chciałem zaznaczyć, jak Matka Boża Skępska ma ogromny wpływ na mnie, moją rodzinę i twórczość. Mieszkam na Ziemi Dobrzyńskiej, którą Ona się opiekuje. Istnieje także cudowna opieka Matki Bożej Skępskiej nad rodziną Kamińskich i dlatego powstał ten album. Jest dziękczynieniem i świadectwem. Nie powstał tylko dlatego, że skomponowałem 10 nowych piosenek. Chodzi o to, by dać świadectwo – rodzina Kamińskich powiększyła się w cudowny sposób, o nowego członka, syna Jana Pawła. Imię też nie jest przypadkowe, przecież w tym roku

obchodzimy 25 lecie pontyfikatu Ojca Świętego.

Samodzielny i niezależny sam napisałeś wszystkie utwory?

Tak, w zasadzie od samego początku moich solowych występów piszę i słowa, i muzykę. Trudno byłoby mi wkomponować się w cudzą wrażliwość.

Kim dzisiaj jest Tomek Kamiński?

Na pewno nikim specjalnym... Przede wszystkim ojcem i mężem. I to jest mój podstawowy obowiązek, który podjąłem 16 lat temu, żeniąc się z żoną Barbarą. Potem podjęliśmy obowiązek rodzicielstwa. I to jest nasze podstawowe powołanie. Trzej dzieci: Mateusz 15, Monika 14, Jan Paweł, który urodził się pod koniec kwietnia. Dopiero potem jestem artystą. A dzięki mojej mamie Józefie z wykształcenia jestem skrzypkiem.

Dzisiaj to już profesjonalizm, ale zdarzało ci się rzepolić?

Rzepoliłem. Przez kilka lat młody człowiek uczy się ustawienia tzw. aparatu gry. Mieszkalem w czteropiętrowym bloku, w małym mieszkanku. Na szczęście sąsiedzi nie mieli nic przeciwko temu. A poza tym, pochwałem się, byłem zdolnym uczniem i nie musiałem tyle rzepolić co inni. Śpiewać zacząłem dosyć późno, 7-8 lat temu. Ale dzisiaj artystycznie jestem bardziej śpiewakiem, niż skrzypkiem. Chcę wyśpiewać wszystkie miłości, ziemskie i niebieskie.

A bluesowo też je wyśpiewujesz?

Przez kilkanaście lat byłem bluesmanem. To na pewno zostaje w środku, ale gdybym został przy bluesie, to bym się tak nie rozwinął, ani muzycznie, ani jako autor tekstów. Oczywiście świetnie spędzaliśmy czas jeździliśmy po całym świecie i bawiliśmy się. A to zbyt dużo pokus dla małżonki. W pewnym momencie zauważyłem, że już wystarczy i postanowiłem przestać się bawić. Postanowiłem zająć się rodziną. Na początku nawet myślałem, że w ogóle przestanę grać. Nie chciałem wracać do tej branży, do ciągłej zabawy i nie wróciłem. Zaczęłem mówić o tym, co jest naprawdę w życiu ważne dla ojca, dla męża, dla chrześcijanina. Ten okres bluesowy był letnim czasem w moim życiu jako chrześcijanina, katolika. Wstydzę się trochę, ale teraz staram się to nadrabiać gorącą wiarą.

Dlaczego postanowiłeś uciec z Torunia?

Chcieliśmy mieć dużo zwierząt, ale przede wszystkim spokój. Sprzedaliśmy wszystko i kupiliśmy kawałek ziemi. Niektórzy pukają się w głowę: mieszkamy daleko w lesie, daleko od innych ludzi, ale urzeka nas ten spokój, budzące o świcie ptaki, czyste powietrze. Teraz mieszkam w Kawęczynie, przepięknej wsi położonej niedaleko Torunia.

NadJordanem...

To prawda. Żeby do nas przyjechać, trzeba przejechać Jordan, małą rzeczkę, która potem wpływa do Drwęcy, a ta do Wisły.

Na Twojej najnowszej płycie usłyszysz Cię, jak na poprzednich płytach – i nostalgicznego, i radosnego. I... w rytmach afrykańskich.

W Afryce byłem jeszcze z zespołem bluesowym. Graliśmy w klubie jazzowym w Zimbabwe, ale przy okazji sporo zwiedzaaliśmy. Chodziliśmy również na koncerty miejscowych zespołów. Miałem okazję obserwować tamtejszą muzykę. Jest piękna, prawdziwa i głęboka, bo ci ludzie grają to, co czują i jest to ich sposób na życie. Bardzo mi się spodobały te klimaty. Wprawdzie nie udało mi się nagrać całej afrykańskiej płyty, ale na „Jaśminie” jest tego posmak.

Jak dzisiaj wyglądają twoje spotkania z młodzieżą?

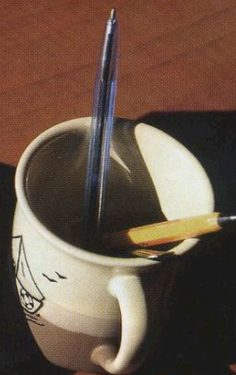
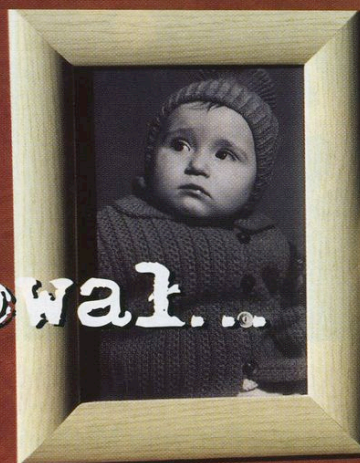
Na koncertach się gra, a po koncertach – rozmawia. Bardzo ważne są spotkania, kiedy młodzi ludzie chcą się czegoś ode mnie dowiedzieć. Rozmawiamy o moim życiu, o rodzinie, w jaki sposób odkrywać miłość w życiu. Mam dosyć duże doświadczenie i mogę się nim dzielić. Czasem pytają o karierę muzyczną. Ale przecież, jeśli rozważamy sprawę muzyki, która mówi o Bogu, w jaki sposób mówić o sukcesie? To nie te kategorie. Ta scena nie jest promowana w mediach i nie stoją za tym ogromne pieniądze. Nie możemy mówić na przykład o sukcesie Tomka Kamińskiego i jego piosenki „Ty tylko mnie poprowadź”, bo to nie jest mój sukces. Tu bym odesłał wszystkich do listu Ojca Świętego do artystów. Obserwujmy działanie Boże w naszym życiu. Wracając do twojego pierwszego pytania – czy nadszedł czas na nowego Tomka Kamińskiego – każdego dnia coś się we mnie zmienia, każdego dnia działa we mnie, w nas Bóg. Chrześcijaństwo jest sposobem na wygranie życia.

I chcesz to mówić ludziom na swoich koncertach?

Zamierzamy jeździć po Polsce i poza nią, bo już mamy propozycje. Chcę promować kult Matki Bożej, a szczególnie Jej Skępskiego wizerunku. Mam świadomość, że trzeba to dary, które otrzymaliśmy od Boga, nieść dalej. Misyjność Kościoła jest bardzo ważna, szczególnie w naszych nowych, trudnych czasach. Ale trzeba to robić profesjonalnie. Nie ma nic gorszego, niż chrześcijanin, który swoje zadania wykonuje byle jak.

rozmawiała: Patrycja Michońska

On mnie i tak znokautował...



z Adamem Szewczykiem

rozmawia Marcin Jakimowicz

Gdy spotkaliśmy się przed rokiem, Adam wyglądał raczej jak wrak, nie jak człowiek. Ze mną też nie było najlepiej. Od razu staliśmy się sobie bliscy. Zawsze to lepiej podołować razem. Na moich oczach Adam doświadczył przemiany. Bóg zrobił mu niesamowity prezent...

Śpiewałeś o Bożej miłości nie doświadczając jej z dnia na dzień. To niesamowicie trudne. To taka droga pod prąd. Jak się wtedy czułeś?

Żyłem we wspólnocie Kościoła otoczony zewsząd ludźmi, którzy tryskali wiarą i dawali poruszające świadectwo. Miałem spory problem: kompletnie niczego nie odczuwałem. Nie potrafiłem doświadczyć tego, o czym opowiadali i o czym sam pisałem piosenki. Niby słyszałem słowa Jezusa: „błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”, niby wiedziałem, że wiara to nie emocje, uczucia, ale raczej jakaś wewnętrzna gotowość i dyspozycja i że taka postawa jest tym bardziej cenna i miła Bogu, im bardziej oparta jest na woli, nawet wbrew emocjom i odczuciom, ale...

Nie zazdrościłeś innym muzykom przeżywania wiary?

Zazdrościłem. Zazdrościłem przede wszystkim tym, którzy doświadczyli Boga w namacalny sposób, poprzez objawienie. Mojżesz, Faustyna to dla mnie „wariaci”. Jeśli ktoś doświadczy Boga na takiej płaszczyźnie jak oni, dla świata staje się wariatem. Bóg przewartościowuje wszystko i wywraca wówczas świat do góry nogami. Ja nie odczuwałem niczego. Teżniłem za dotykem Boga, który uleczy mą nędzniętką wiarę.

Prosiłeś o to?

Wiesz, non stop o coś prosisz, przepraszasz, dziękujesz, ale Bóg i tak zazwyczaj działa w sposób niespodziewany. Jego ruchy są zaskoczeniem. Nigdy nie spodziewasz się, w

jaki sposób i kiedy Bóg zadziała w twoim życiu. Nie da się tego przewidzieć, nie sposób rozszyfrować logiki Jego działania. Można jedynie ślepo zaufać i czekać na to, co się będzie działo.

Czekałeś. Co się działo?

Najpierw trafiłem do wspólnoty modlitwowej. To była pierwsza potrzeba, bo byłem samotnym strzelcem. Łaziłem rankiem do kościoła na różaniec. Siedziałem w ławce sam, otoczony babkami. Nie czułem z nimi żadnej wspólnoty, ale przychodziłem, bo czułem potrzebę modlitwy. Bóg postawił na mojej drodze księdza Adama, on wskazał mi waszą wspólnotę. Zacząłem się modlić, na tyle, na ile umiałem.

I wtedy ni stąd, ni zowąd w nasze ręce wpadła książka o Medjugorcie.

Tak, to był zbiór świadectw ludzi dotkniętych przez Boga. Każde świadectwo było inne, ale wszystkie miały wspólny mianownik: wszyscy przez ręce Maryi doświadczyli mocy Bożej miłości. Czytałem i pojawił się głos: „Muszę tam pojechać”. Tylko tyle.

Planowałeś coś?

Nie, nawet nie zdążyłem. Dostałem od jednej znajomej krótką totalnie zaskakującą informację: nie pytając się mnie o nic, zapisała mnie na pielgrzymkę do Medjugorcie. Nie pytała mnie, czy mam czas, ochotę, pieniądze. Było ostatnie wolne miejsce i pchnięta jakimś impulsem kazała umieścić na liście moje nazwisko. I w taki właśnie sposób, chcąc nie

chcąc, zostałem uczestnikiem pielgrzymki i rekolekcji z o. Jozą Zovko. Nie wiedziałem, co mnie czeka, ale czułem głęboko, że to było zaproszenie Maryi. A Jej się nie odmawia.

Oczekiwałeś czegoś po tym wyjeździe czy pojechałeś pełen rezygnacji?

Miałem spore oczekiwania i nadzieje. Pragnąłem Bożego dotyku. Dojechałem na miejsce. Wtopiłem się w modlitwę. Pamiętam, że gdy odmawialiśmy różaniec i byliśmy przy tajemnicy Ukoronowania, podeszła do mnie znajoma i mówi: „Adam, widzisz ten biały dom po drugiej stronie ulicy?” Po chwili wypatrywania mówię: „Widzę”. A ona na to: „To tam za 20 minut objawi się Matka Boża”. Zatkalo mnie. Wiedziałem, że to miejsce słyńie z objawień, ale nigdy nie czułem tego tak realnie, tak blisko. W mojej głowie pojawiło się pytanie: „Czy ja w to wierzę?” Kiedy kładłem się spać, modliłem się już do Maryi, jako gospodyni tego miejsca. Prosiłem: „Mamusiu, przejechałem taki kawał drogi, bo uwierzyłem, że to Ty mnie zaprosiłaś. Nie, nie wymagam, byś mi się objawiła, choć nie miałbym nic przeciwko. Przybywam do Ciebie, by prosić Cię o pomoc w moim nawróceniu, uzdrowieniu i rozeznaniu mojej dalszej drogi życiowej, która się tak pogmatwała”. Następnego dnia pobudka około piątej nad ranem. Kolejny cel miał zostać osiągnięty jeszcze przed śniadaniem – droga krzyżowa na górze Krizevac. Wspaniałe przeżycie. Znów piękna pogoda. Na szczycie góry wielki, kilkumetrowy, betonowy krzyż. Znajoma szepce: „Jak

podjedziesz do krzyża, to z całych sił przytul się do niego i z serca zawierz wszystko Jezusowi". Zadnych pytań. Chyba z 15 minut trwałem przyklejony do betonu.

W końcu zaczęły się wasze rekolekcje...

Tak, i już na samym początku przejechałem się... Z o. Jozo Zovko mieliśmy się spotkać dopiero o 16.00. Wybiła czwarta, wszyscy zajęli swoje miejsca. Nagle tłumaczka oznajmia nam, żeby ucihły wszystkie rozmowy, gwar. Mówi, że o. Jozo lubi ciszę, gdy wchodzi do sali. Nie spodobało mi się to, ale spotęgowało napięcie wyczekiwania. Nagle bezszelestnie wszedł do sali franciszkanin w brązowym habitcie, odwrócił na chwilę głowę w naszym kierunku i jakby od niechcenia skinął w dół. Oto nasz rekolekcyjista – ojciec Jozo Zovko. „Co jest?”, pomyślałem – „zamiast uśmiechu – kamienna twarz, zamiast życzliwości – dystans, zamiast otwartości – powściągliwość. I jeszcze to gwiazdorskie wejście”. Nie tak sobie wyobrazałem tego człowieka.

Czułeś się zawiedziony?

Tak. Ale w porę przypomniałem sobie wtedy tytuł mojej piosenki: „Kto sądzi, ten błądzi” i postanowiłem, że do końca rekolekcji powstrzymam się od jakichkolwiek ocen. I chwala Bogu! Dzisiaj dziękuję Duchowi Świętemu, że w postanowieniu wytrzymałem. Okazało się, że zupełnie mylnie oceniłem tego Bożego człowieka. Pierwsze spotkanie to w zasadzie taki wieczorek zapoznawczy. Każdy z grupy dostawał mikrofon i na stojąco się przedstawiał: imię, nazwisko, zawód, sytuacja rodzinna, itp. Trudne doświadczenie, nie powiem. Zwłaszcza dla tych, którzy nie mają się za bardzo czym pochwalić

W końcu mikrofon dotarł do ciebie...

Tak. Wstaję i mówię drżącym głosem, chcąc jednak sprawić wrażenie spokojnego:

„nazywam się Adam Szewczyk. Przyjechałem z Siemianowic. Jestem muzykiem. Mam dwojkę dzieci. Kościół orzekł nieważność mojego małżeństwa. Pragnę wewnętrznego uzdrowienia i rozeznania, co do dalszej drogi życia. Od grupy oczekuję akceptacji”. Usiadłem. Poszło. Serce wciąż mi waliło, ale cieszyłem się, że powiedziałem o sobie trochę prawdy. Jak się później okazało, te rekolekcje były rekolekcjami prawdy.

Nagrywałeś te rekolekcje?

Nie! O. Jozo powiedział, żeby niczego nie notować i niczego nie nagrywać. Powiedział, że na to, co się tutaj będzie działo trzeba otworzyć serce. Powtarzał, że modlitwa jest owocna tylko wtedy, gdy modlisz się sercem. On sam modlił się w specyficzny sposób: w taki jakiś dziecięcy, pełen zaufania i pokoju, zadziwienia... Tembr jego głosu do końca życia będzie brzmiał w moich uszach... I właściwie trudno mi cokolwiek opowiedzieć o tych rekolekcjach. Kulminacją była Msza święta oraz błogosławieństwo z modlitwą o uzdrowienie i wylanie darów Ducha Świętego.

To był przełom?

Tak. Ostatni dzień. Staliśmy w kościele. Ela – znajoma, która mnie w to „wciągnęła” – powiedziała: „Nie zdziw się, gdy zobaczysz ludzi padających po błogosławieństwie na ziemię. Takie rzeczy się tu dzieją”. Było trzech kapłanów. Nakładali ręce i błogosławili. Dwaj księża z Polski i o. Jozo, stojący jako trzeci. Wszyscy rzucili się do niego. Przeczuli, że jego błogosławieństwo jest mocniejsze? Nie wiem. Sam miałem takie myśli, ale gdy zobaczyłem ten owczy pęd i spostrzegłem, że polscy kapłani poczuli się jakby odepchnięci, głupio mi było stanąć w kolejce do o. Zovko. Podszedłem do Polaka. I w momencie błogosławieństwa ścięło mnie. Zaczęłem płakać. Rozlał się we mnie taki totalny pokój i zachwyt i zaowocowało to płaczem. Niesamowity szloch na giga-skale, nie do opanowania. Klęknąłem, bo nie miałem siły i opierałem się o ziemię. Moje okulary wyglądały jak samochodowa szyba w czasie deszczu. Wydawało mi się, że to koniec. I nagle poczułem na ramieniu rękę, odwróciłem się i zobaczyłem Elę, która mówi: „Adam, to nie jest ode mnie, ale ja czuję, że muszę cię zaprowadzić do ojca Jozo”. Prowadziła mnie jak niewidomego, nie widziałem niczego. Stanąłem w kolejce. Gdy zakonnik położył na mnie swe dłonie, wszystko, co przeżywałem, spotęgowało się. Zaczęło się beczenie i przeżywanie Bożej miłości na niespotykaną dotychczas skalę. Trwało to parę godzin. Byłem totalnie roztrzęsiony.

W jaki sposób odczuwałeś Bożą obecność?

Miałem wrażenie, że mówi do mnie jakiś głos: „Stary, czy ty widzisz, co tu na ciebie czeka? Schowaj te swoje problemy i swoje grzechy, bo one nie mają szans przy mojej miłości. Ona zakrywa wszystko”. Płakałem nad swoją nędzą, zobaczyłem, jakim świństwem jest ranić tak doskonałą miłość. I jednocześnie płakałem ze

szczęścia. Do tej pory wierzyłem, że Bóg wybaczył mi wszystko, a teraz to poczułem. Miałem wrażenie, że Boża miłość miażdży całą moją nędzę. Był to więc też płacz upojenia szczęściem. Tak jakby Pan Bóg wyjął mnie na chwilę z tego świata, z przeżywania doczesności i wsadził na moment do nieba. A jestem przekonany, że był to jedynie odprysk promyka tej miłości. Ale on mnie i tak znokautował...

Przestałeś się bać?

Tak! Słyszałem: „Wróć do swoich problemów i ufaj. Ja ci wybaczam”. Wróciłem do rzeczywistości...

Wróciłeś przemieniony. Jechałeś oskarżając się, że jesteś totalnym nieudacznikiem. Nie chciało ci się żyć...

...a tam, mimo swej nędzy, poczułem się cenny w oczach Boga. On uzdrowił mą niską samoocenę, a nawet pogardę, którą nosilem w sobie. Skoro jesteś kimś, kogo kocha Bóg, to nie możesz być byle kim!!! I nikt nie może ci wmówić, że jesteś śmieciem, który nie zasługuje na miłosierdzie. Jak już mówiłem, ja w życiu nigdy niczego nie doświadczałem. Raz jeden doświadczyłem: słyszałem głos Boga mówiącego: „Gdybyś wiedział jak cię Kocham, płakałbyś z radości”.

Zmieniło się twoje przeżywanie muzyki, pisanie piosenek, granie koncertów?

Tak. Staram się, by każdy koncert był modlitwą.

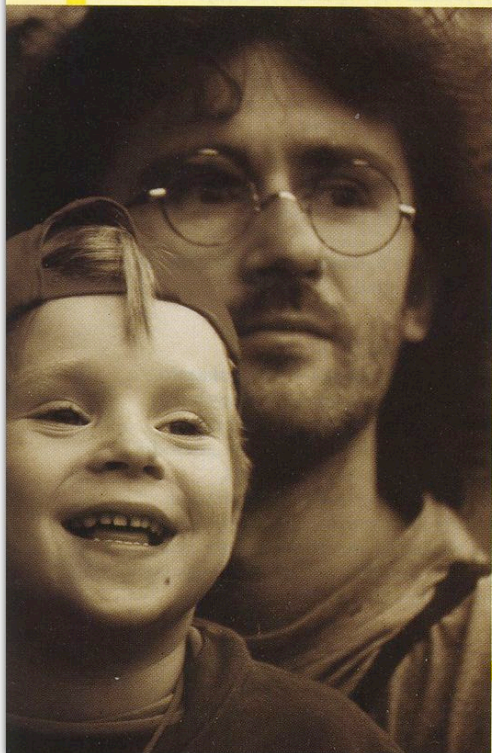
Co to znaczy? W RUaH to norma, mówią tak wszyscy i robi się z tego slogan...

Modlitwa to nic innego jak gadanie do Kogoś. Ja zamykam oczy, tak, by ludzie przestali mnie rozpraszać. Modłę się słowami swoich piosenek, a gdy Magda mówi świadectwo, modłę się do Ducha Świętego, by ją prowadził...

I prowadzi?

Opowiem ci o jednym wydarzeniu. To był jeden z pierwszych koncertów po przyjeździe. Impreza ewangelizacyjna i organizator bardzo, bardzo nas prosił, by było również świadectwo. Mówię: „Magda, powiedz coś ze sceny, bo bardzo o to proszą”. A ona najężyła się i mówi: „Dziś trudno mi będzie coś powiedzieć, tak na trzy-cztery. Nie czuję tego. Nie umiem tak na zawołanie...” Gramy piosenkę za piosenką, a Magda nic nie mówi. Zawsze gdzieś w połowie koncertu coś opowiadała, a tu nic. Zima. A ja się cały czas modłę, by Duch Święty ją rozkręcił. Gramy ostatnią piosenkę, przy której zawsze przedstawia się zespół i zegnamy się z publicznością i nagle słyszę, że Magda zaczyna gadać. Zaczęła prosić Ducha Świętego o pomoc, o prowadzenie. Tak po prostu, do mikrofonu. Zapłakała. Mówiła o swojej nędzy, dziękowała Bogu za to, że ją uzdrowia i prowadzi. Poczulem, jak w naszą bezradność wkracza siła Bożej łaski. Byłem wdzięczny, cieszyłem się jak dziecko. Bóg wysłuchał mnie w taki prosty sposób: „mówisz-masz”. ■

rozmawiał: Marcin Jakimowicz
fot. z archiwum Adama Szewczyka



Sarmacja Wniebowzięta

3.

pisze Jacek Kowalski



Zasypanie

Ponad sto sześćdziesiąt lat temu, gdzieś niedaleko Puszczy Nalibockiej, nad Niemnem w dawnym Wielkim Księstwie Litewskim, mały Ludwik Kondratowicz, szlachecki syn, gnał z wiejskimi dziećmi na pastwisko:

Aż za wioskę, aż za zboże,
Na wygonie lub ugorze,
Koniec w paszę z rąk
I już chłopcy w jednej chwili
Stosy chrustu nanosili
I zasiedli w krag...

Ta scena utkwiła Ludwikowi w pamięci. Mnie również. Czytam ją na kartach jego staroświeckiej, poetyckiej powieści, którą zrymował już jako człowiek dojrzały, siedząc na wsi pod Nieświeżem, i widzę ją na staroświeckiej rycinie Michała Andriolliego. Czytam dalej:

Na rośnej trawie rozścielamy suknie,
Zjemy ziemniaki i chleba po kęsie.
I chór – Dobranoc, o Jezu! – jak huknie
To aż się echo w olszniaku zatrzęsie.

„Dobranoc, o Jezu!...” Wróciłem do tych rymów, kiedy dwa miesiące temu wędrowałem na Białoruś, czy raczej na dawną Litwę, na dawne Wielkie Księstwo. Jechałem tam, gdzie mój ojciec, też jako mały chłopiec, w gromadzie innych małych chłopców biegał boso nad Niemnem, i tam, gdzie mój stryj jako „antysowiecki” ułan uganiał się po polnych drogach. Na Litwę, o której gorzko mówił Kondratowicz: „Twoja ziemia posępna i niebo bez blasku” i gdzie

O miłe w wiosce był dom plebana:
Mała świetlica w ziemię schowana,
Krzyżyk się wznosił na facyacie
I człowiek boży mieszkał w tej chacie.

To było pisane gdzieś około 1846 roku. Wiedziałem, że to wszystko przepadło, oprócz „nieba bez blasku”, że sowiecki walec przejechał się po wszystkim i po wszystkich równo i gładko, i że wszystko zrównał z ziemią, że nie zostali ani chłopcy, ani dom plebana, ani krzyżyk.

Tymczasem nie. Myliłem się.

Stoją nadal drewniane chaty „w ziemię schowane” (choć klecone już za sowietów) i gdzieś „krzyż się wznosi na facyacie”, i gdzieś jest „dom plebana”, w którym mieszka „człowiek boży”, katolicki. Są młodzi chłopcy, którzy pieką kartofle, i gdzieś mówią po polsku. Już to wszystko mnie pokrzepiło i natchnęło otuchą, choć na dzisiejszej Białorusi życie jest raczej szare i beznadziejne (przynajmniej patrząc z naszej, dzisiejszej, polskiej perspektywy). Jednak największe było moje zdumienie, kiedy kilka starszych pań, zgromadzonych w Domu Polskim, „huknęło”:

Dobranoc o Jezu! o miłości moja!
Niech w Twych ręku usnę ja, lepianka Twoja,
Niechaj mi się zawsze śni o Tobie,
Niechaj rozmawiam z Tobą dziś sobie,
O Jezu me kochanie!

„Dobranoc, o Jezu!” dokładnie to samo, co śpiewał młody Kondratowicz. Nie do wiary! Nadal!

Poczułem dreszcz emocji.

Zacząłem dopytywać, co to za piosenka. A więc okazało się, że „stara”, że dość lubiana przez grono starszych pań, ale niestety niezbyt uwielbiana przez młodych i przez młodego księdza, który tu przyjechał z Polski, bo „melodia jakaś dziwna, jakby walczyk”. Zbyt przedwojenna. Mną jednak wstrząsnęło nie dlatego, że panie śpiewają nadal to, co śpiewał młody Kondratowicz i nawet nie dlatego, że to piosenka wcale nie sprzed wojny, ale taka, która była dla Kondratowicza równie stara, jak dla nas jego wiersze. Wstrząsnęło mną dlatego, że po raz kolejny

przekonałem się, jak dziwnymi drogami chodzi Boska Opatrzność i ludzka sława.

Otóż o tę wzruszającą pieśń, – a raczej o ten wzruszający wiersz – toczą w niebie spór dwaj staropolscy poeci, co więcej, dwaj zakonnicy – jezuita, Polacy-Litwini, których przez ponad dwieście lat ośmieszano i obrzydzano. Byli to ksiądz Dominik Rudnicki SJ i ksiądz Józef Baka SJ. Obaj wydali owo „Wesołe zasypianie z Jezusem” (pewnie już wówczas popularne i śpiewane) jako swoje, we własnych zbiorach poezji: pierwszy w 1741, drugi w 1755 roku.

Z wierszy Baki śmiał się do rozpuku król Staś Poniatowski (niechaj mu urna lekka będzie), któremu czytano je podczas obiadów czwartkowych, jako kolosalną grafomanię i karkołomne bzdurstwa. Tymczasem, tak jak zapowiadali obaj księża:

Królu, zgaśniesz, cóż zostanie
Przy popiele, przy tumanie?
Po tobie, ho w grobie
Niedola, niewola!

No i król Staś zgnił (i to – jak na urągowisko – w ziemi Wielkiego Księstwa Litewskiego) i nic z niego nie zostało, a wiersze Baki i Rudnickiego nadal, jak widać, ludzie śpiewają, na przekór modzie i gustom.

Czy jest się czemu dziwić?

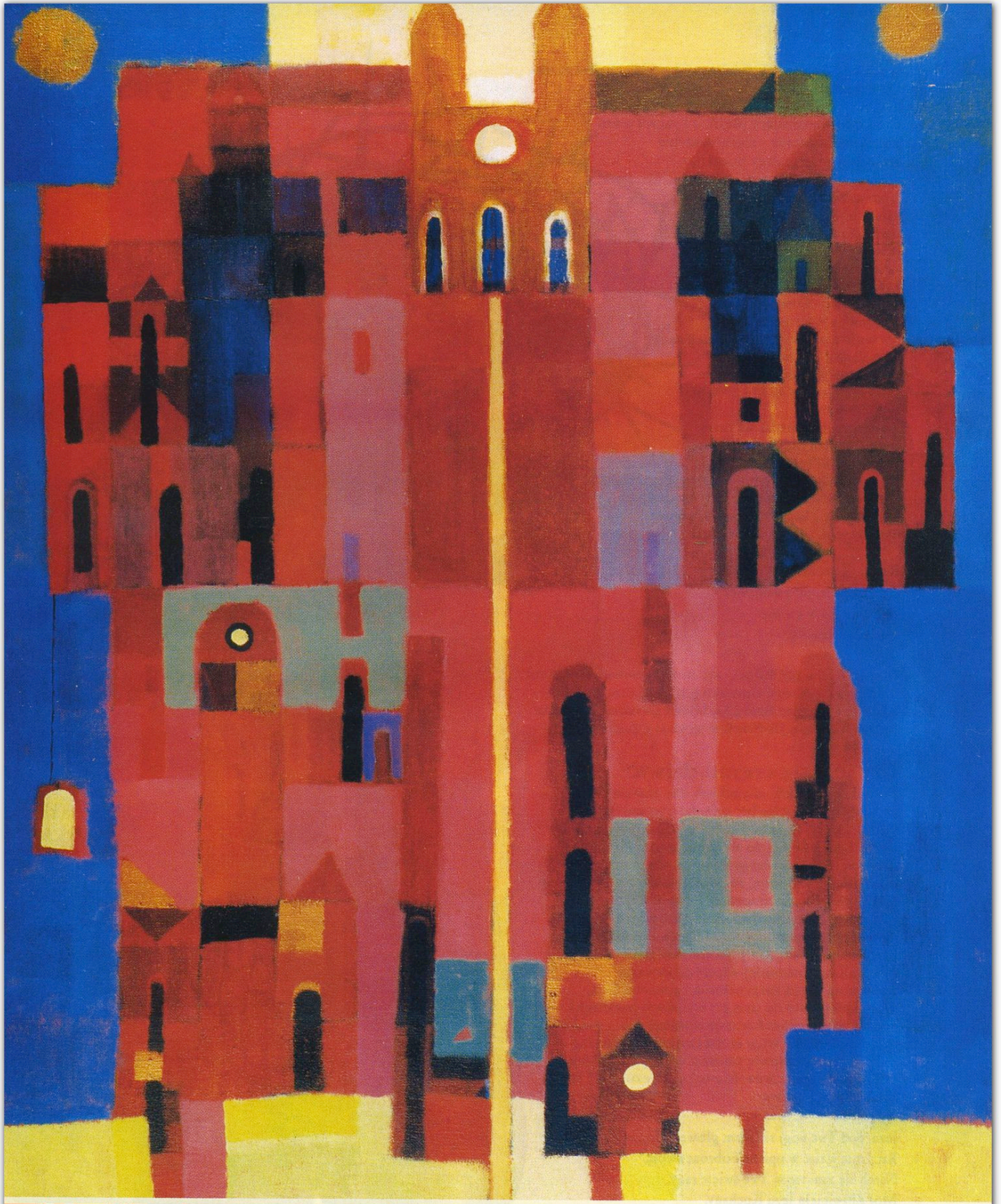
No cóż, oczywiście chciałbym, aby czytelnicy się zadziwili – ale wcale nie tym, że wiersze Baki (lub Rudnickiego) nadal się śpiewa. Raczej wypadałoby wyrazić zdumienie, że się temu jeszcze w ogóle dziwimy. Powinno bowiem być dla nas rzeczą normalną i naturalną, że Sarmacja trwa; a tymczasem nam – kiedy to dostrzeżemy – nagle wydaje się to niezwykle i nieprawdopodobne. Cóż w tym, proszę, dziwnego, że dobra poezja i żarliwa modlitwa przekazują się same z pokolenia w pokolenie? Zresztą przecież mniej więcej co czwarta popularna pieśń (przynajmniej spośród tych, które śpiewa się do dziś po wiejskich parafiach) pochodzi z czasów Rzeczypospolitej Szlacheckiej. Tak więc ta Rzeczypospolita wciąż jeszcze żyje w śpiewie unoszącym się z polskich kościołów, wciąż „wesoło zasypia z Jezusem”, to znaczy trwa i czuwa:

Jezu, pod Twe nogi składam głowę moję.
Racz mię wziąć w opiekę i obronę swoję.
Niech się zanurzę w Twe święte rany,
Mój Zbawicielu Jezu Kochany,
Niech w nich dzisiaj zasypiam. ■

Jacek Kowalski



foto. G. Giebert



niebo leży bardzo blisko

z TOMKIEM BUDZYŃSKIM

o malarstwie rozmawia ks. Grzegorz Ułamek

Jesteś wszechstronnym artystą, większość ludzi zna cię z twoich muzycznych działań i fascynacji, z Armii i 2 Tm 2,3. Nie wszyscy jednak wiedzą o twoich obrazach, wierszach no i pomysłach na film...

Jestem z wykształcenia plastykiem, a to, że stałem się wokalistą, to tylko przypadek. Ukończyłem Liceum Plastyczne w Nałęczowie, a potem studiowałem jakiś czas historię sztuki na KUL, dopóki mnie z niego nie wyrzucili. Wtedy właśnie nikomu nieznanemu zespołowi Siekiera odniósł wielki sukces na festiwalu w Jarocinie w 1984 roku, no i otworzyła się przede mną droga, którą idę do dziś. Stałem się muzykiem i robię to już prawie od dwudziestu lat. Ale w swojej głębszej naturze jestem malarzem, ja myślę obrazami, a moje piosenki są w zasadzie opisami pewnych wizji plastycznych. Śpiewałem o tym, co chciałbym namalować. Jednak są takie wizje, które zdecydowanie lepiej wyglądają na płótnie, dlatego wciąż zajmuję się malarstwem i grafiką. Robię okładki płyt, projekty plakatów, zajmuję się także malarstwem sztalugowym. W zasadzie, tak jak nieregularnie piszę i komponuję, tak nieregularnie maluję. Ale przez ostatnie lata nazbierało się trochę malarstwa. I zaczęto mi proponować wystawy.

Twoje obrazy to przekonujące kompozycje, wyraziste barwy, a wszędzie mnóstwo figur, zwłaszcza trójkątów. Czy trójkąt jest najdoskonalszą figurą???

Ten trójkąt, który tak często się pojawia na moich obrazach, chodzi za mną już od wczesnego dzieciństwa. Nie oznacza to, że jest najdoskonalszą figurą, ale na pewno wyraża w sposób najbardziej prosty jakąś najgłębszą treść mojej duszy, jest formą archetypową.

Jakie tematy malujesz? Co najbardziej lubisz malować?

Pagórki, drzewka i domki, kwadraty, trójkąty i linie... to mi zupełnie wystarcza. Są to najczęściej pejzaże z okolic mojego dzieciństwa i młodości. Miejsca nacechowane cudownością i tajemnicą, którą tak mi się zdawało – tylko ja potrafiłem dostrzec, podczas, wydawać by się mogło, banalnej podróży autobusem na trasie Kazimierz Dolny – Nałęczów.

Większość twoich tematów (Góra Synaj, Arka, Anioł, Jezus) to tematy sakralne... Bardzo mi się podoba obraz Jezusa, przed którym stoi kielich... Kiedy malarstwo jest sakralne?

Rzeczywistość, która nas otacza, pełna jest wielkich światła, niebo leży bardzo blisko, czasem na wyciągnięcie ręki. Malarstwo i sztuka w ogóle chce otworzyć okno na tamten świat. Okno do nieba. Wtedy malarstwo jest sakralne. Wcale nie jest tak, że namalowało się Jezusa i od razu obraz jest „sakralny”. Można namalować stu Jezusów i nic z tego nie będzie. Czasem wystarczy namalować drzewo i obraz będzie sakralny. Tu chodzi o znalezienie przejścia do rzeczywistości nadprzyrodzonej, a temat nie ma nic do rzeczy. To właśnie znaczy malować IKONY! Sadzę, że np. ostatnie obrazy Van Gogha są bardzo „sakralne”.

Czego brakuje twórczości sakralnej w Polsce?

Widziałem niewiele prawdziwych dzieł. Na pewno twórczość Jerzego Nowosielskiego, szczególnie malowany przez niego kościół w Wesolej pod Warszawą. No i w muzyce wspaniały H.M. Górecki. Jest to sztuka na najwyższym poziomie i zdarza się rzadko.

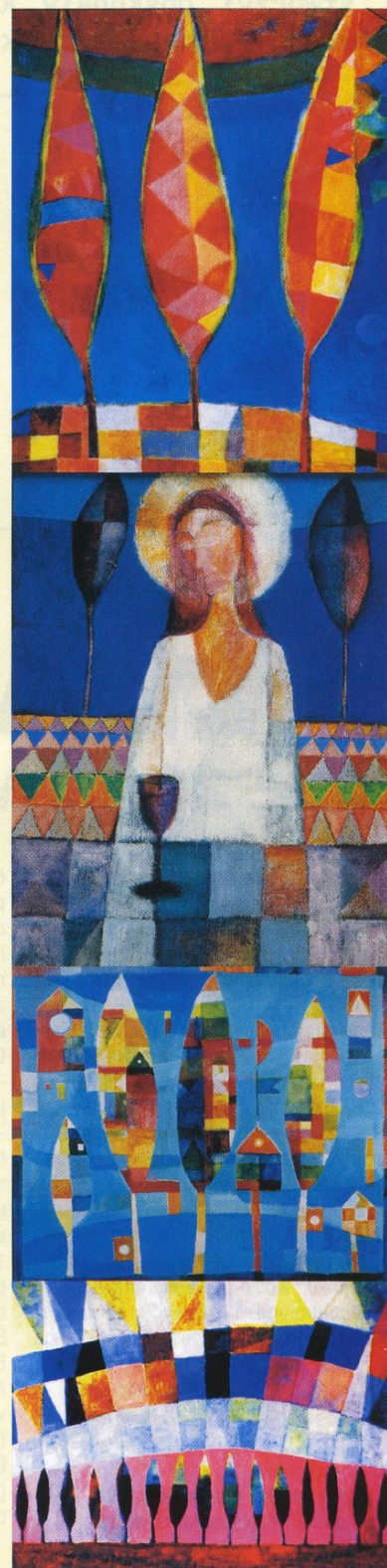
Ostatnio otwierałeś swoją wystawę na KUL-u. Jak te prace były odbierane?

Co ciekawe, zaproponowano mi wystawę w miejscu, gdzie kiedyś studiowałem. Cieszę się po latach, bo przyszło dużo ludzi, wielu starych znajomych. Myślę, że dla wielu moje obrazy były sporym zaskoczeniem, dla mnie w swojej masie również! Z tego, co ludzie mówili, to spodziewali się oni czegoś bardziej mrocznego, a tu tyle wesołych kolorów!

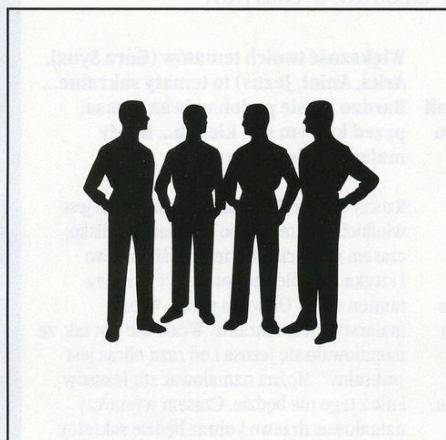
Nad czym teraz pracujesz?

Pracuję teraz nad obrazem wielkiego drzewa Mallornu z Lorien. Moja córka Nina cały czas prosi mnie, abym namalował jej drzewa z Lorien. Ostatnio namalowałem też bajkowy samolot dla mojego synka Stasia. Dzieci cały czas towarzyszą mi podczas malowania, zaglądają przez ramię i nieustannie komentują to, co powstaje. To najlepszy i najsurowsi krytycy! Maluję dotąd, aż one powiedzą: Tato! Wspaniale!!!

rozmawiał Grzegorz Ułamek



„Człowiek, natura, technologia” to motto wystawy Expo 2000, do której grupa Kraftwerk nagrała krótki utwór za... 400 tysięcy DM. Dużo to czy mało? Nieważne. Skandal w Niemczech był wówczas gigantyczny i stworzył doskonały klimat do wprowadzenia na rynek w tym roku udanego, dwunastego z kolei albumu tego legendarnego zespołu.



4.

KRAFTWERK

maszyny w służbie człowieka

Wchodząc na oficjalną stronę internetową zespołu (www.kraftwerk.com) naszym oczom ukazuje się antena emitująca fale radiowe. Jeśli nasz komputer wyposażony jest w kartę dźwiękową i głośniki, usłyszymy również jednostajne analogowo-syntezytorowe sygnały. W nieskomplikowanym menu, oprócz kilku zaskakujących niespodzianek, znajdziemy jedną, która szczególnie cieszy. Otwierając okienko „The Robots” widzimy cztery roboty, a pod nimi przesuwający się napis cyrylicą „Я твой слуга. Я твой роботник” (Jestem twoim sługą, jestem twoim robotem). Oczywiście, każdy robot wydaje z siebie charakterystyczny dźwięk! Jak to miło pod koniec 2003 roku, kiedy poważnie mówi się o nanotechnologii i „żywych robotach” zobaczyć, że członkowie zespołu, bez którego nie byłoby dziś ani techno, ani hip-hopu, wyznają zdrową hierarchię, wedle której to maszyna służy człowiekowi, a nie odwrotnie.

Kto wybudował „elektrownię”?

Na temat historii Kraftwerk (z jęz. niem. „elektrownia”) napisano już chyba wszystko.

Ograniczę się więc jedynie do kilku podstawowych faktów. Wszystko zaczęło się od spotkania dwóch studentów – Ralfa Hüttera i Florianą Schneidera. Uczęszczali oni razem na kurs kompozytorski i mieli podobne zainteresowania muzyczne. Intrygowały ich dzieła Karlheinz Stockhausena i Johna Cage’a, czyli muzyka konkretna i elektroakustyczna. W „popkulturowym” tle zaczęła już błyszczeć gwiazda muzyki elektronicznej – Tangerine Dream. Klimat był odpowiedni. Obaj panowie postanowili więc założyć zespół. Mieli już nawet podstawowe umiejętności jeden grał na fortepianie, drugi uczył się gry na flecie. Formacja powstała w 1970 roku w Düsseldorfie na początku przyjmując nazwę Organization. Po krótkim czasie pojawił się w jej miejsce Kraftwerk. Skład zespołu wielokrotnie zmieniał się. Elektrownię współtworzyli Klaus Dinger i Andreas Hohman (późniejsza, nie mniej wpływowa grupa NEU), Conny Plank (realizator pracujący m.in. z Ultravox, D.A.F., Eurythmics), Emil Schult (autor image’u grupy) i wreszcie Klaus Roeder, Karl Bartos oraz Wolfgang Flür. Temu ostatniemu cała

muzyka rozrywkowa końca XX wieku zawdzięcza charakterystyczne brzmienie elektronicznej perkusji, którą domowymi sposobami on sam skonstruował. To właśnie Hütter, Schneider, Bartos i Flür stworzyli 5 płyt, które stały się punktem wyjścia dla większości gatunków muzycznych, opierających się na instrumentarium elektronicznym.

Cywilizacyjne soundtracki

Kraftwerk jest fenomenem nie tylko muzycznym. Zespół stworzył wizerunek, który już przez samą formę występów scenicznych, wywiadów, okładek płyt po swoim rozprawił się ze zdobyciami techniki XX w. Jak się wydaje, Niemcy nie poprzestali na artystycznym opisie, lecz wyraźnie ustosunkowywali się do otaczającego ich świata. Pierwszy – nie w sensie chronologicznym, bo do 1973 roku grupa wydała 4 mało komercyjne płyty – „mocny” album ukazał się w 1974 roku i nosił tytuł „Autobahn” (z jęz. niem. *autostrada*). Na krążku została umieszczona oryginalna kompozycja pod tym samym



tytułem i to ona spowodowała pierwszy ogromny sukces zespołu. Utwór jest bardzo długi, monotony i momentami wręcz... nudny. Wydaje się, że efekt znudzenia słuchacza był przez kompozytorów zamierzony, jest to bowiem swoisty dźwiękowy dziennik podróży, oddający kondycję człowieka, który godzinami podróżuje idealnie gładką, perfekcyjną autostradą (kto był w Niemczech Zachodnich, wie o co chodzi). Banalna konstatacja? A może niedostatecznie dotąd wyrażona smutna strona współczesnych podróży? Rok później zespół wydał kolejną doskonałą płytę, która po wielu latach inspirowała niezliczoną rzeszę twórców tzw. *independent dance music*. „Radio-Activity” to muzyka inspirowana energią atomową. Pojawiają się tu dźwięki licznika Geigera oraz inne odgłosy kojarzące się z radioaktywnością. W jednym z lakonicznych tekstów można usłyszeć nawet nazwisko polskiej noblistki Marii Curie-Skłodowskiej. W 1977 światło dzienne ujrziała następna wypowiedź Kraftwerku nt. podróży – tym razem podróży koleją trans-europejską „Trans-Europe Express”. Ciekawe, że na wszystkich omawianych wyżej płytach, oprócz ewidentnych eksperymentów brzmieniowych, pojawiają się doskonale, wpadające w ucho przeboje. Ten komercyjny rys twórczości Niemców wpłynął, jak sądzę, na dobry odbiór ich płyt (niekiedy trudnych) nie tylko wśród wymagających krytyków, ale i zwyczajnych „zjadaczy popkultury”. Potwierdzeniem poziomu zespołu jest klasyczny już dzisiaj album „The Man Machine” (1978), który zawiera takie przeboje jak „The Robots” i „The Model”. Wydawnictwo jest rodzajem kosmopolitycznego manifestu (tytuł na okładce w 4 językach), zawierającego, wyrażone w oszczędnych tekstach i przepojonej elektroniką muzyce, przesłanie o zdominowanym przez roboty i odhumanizowanym świecie. Kropkę nad „i” postawiła płyta „Computer World”. Tutaj po raz pierwszy w twórczości zespołu pojawia się zarówno fascynacja, jak i strach przed zapośredniczeniem uczuć ludzkich w przekazie zero-jedynkowym.

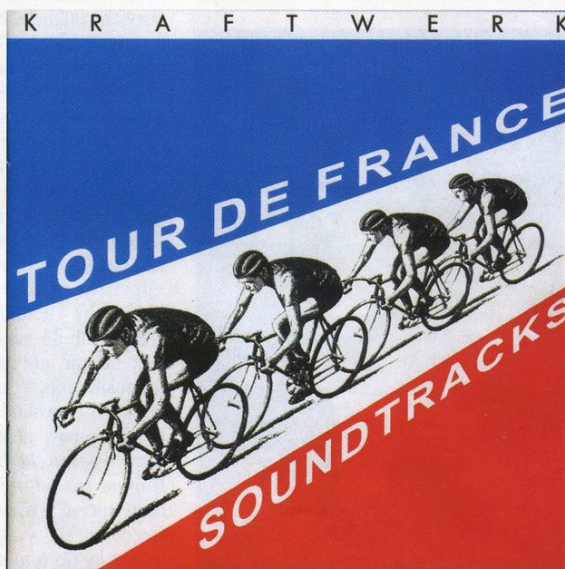
Prowokacje robotów

Artystyczna taktyka Kraftwerk wielokrotnie wywoływała kontrowersje. Zespół często występował na koncertach pod postacią czterech, rytmicznie poruszających się robotów. Podobno kiedyś odbyły się równocześnie dwa koncerty – podczas jednego wystąpili prawdziwi muzycy, a na drugim roboty. Legendą obrosły również słynne wypowiedzi Ralfa i Floriana, takie jak: „*Nie jesteśmy kompozytorami, nie jesteśmy muzykami, jesteśmy pracownikami*” albo „*Zamiast uczłowieczyć maszynę – zmechanizowaliśmy siebie*”. Jednak wszystkie te prowokacje, z dzisiejszej perspektywy jakże niewinne, miały na celu ciągle obnażanie absurdów technicyzowania

wszystkiego, co możliwe i niedostrzegania przy tym człowieka z jego potrzebami i wrażliwością. „*My przecież też mamy dusze. Nawet jeśli są one elektroniczno-matematyczne*”.

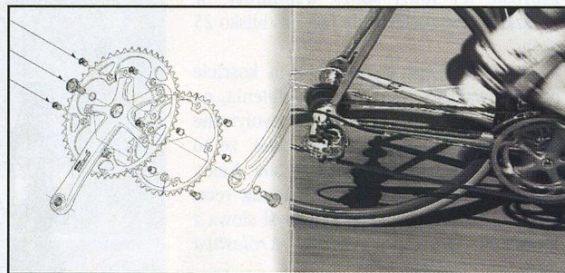
W 2003 roku Kraftwerk znowu prowokuje. Po 12 latach artyści wydali krążek pt. „Tour de France”. Ukazał się on w setną rocznicę najsłynniejszego wyścigu kolarskiego świata. Płyta od strony muzycznej będąca hołdem mistrzów dla swoich uczniów spod znaku ambitnego techno zawiera kompendium wiedzy o kolarstwie. W książeczce znajdują się rysunki techniczne rowerów, przrzutek, dokładna trasa wyścigu, a teksty traktują o sposobie medialnego relacjonowania poszczególnych etapów, kondycji kolarzy, itp. Płyta prawdopodobnie nigdy nie znalazłaby się w sprzedaży, gdyby nie fascynacja członków Kraftwerk kolarstwem (maxisingiel „Tour de France” ukazał się już w 1984 roku). Tutaj jednak pewna uwaga – kolarstwo przedstawione na ostatniej płycie *Elektronen* znowu jawi się jako głos w sprawie odhumanizowania współczesnego sportu zawodowego – kolarze szprycowani „magnezem, wapnem i witaminami A, B, C, D, E” mają więcej wspólnego z robotami zaprogramowanymi na wygraną niż sportowcami...

Marek Horodniczy
homar242@wp.pl



Lista (oczywiście niepełna) artystów, dla których Kraftwerk był jedną z najważniejszych inspiracji:

Gary Numan, Depeche Mode, Front 242, Ultravox, OMD, Eurythmics, Africa Bambaata, Juan Atkins, Autechre, Aphex Twin, LFO, To Rococo Rot, Tortoise, Soft Cell, David Bowie, Human League, Daft Punk, Mouse On Mars, Carl Craig...



Dziewiczy Orszak Baranka **świadectwo**

Jeszcze całkiem niedawno trudno byłoby mi uwierzyć, że zwykły, przeciętny człowiek jest w stanie przyczynić się do nawrócenia alkoholików, narkomanów i innych zagubionych w świecie ludzi, jak to jest opisane w amerykańskich, opartych na faktach książkach. Raczej sceptycznie i z cieniem uśmiechu podchodziłam do akcji ewangelizacyjnych, których podejmują się tacy całkiem zwyczajni ludzie. Co innego „wielkie osobistości”, których nauczania gromadzą tłumy. Tymczasem Jezus sam uświadomił mi, że nie mam racji. Jego wezwanie „Idźcie na cały świat i głosście Ewangelię wszelkiemu stworzeniu” jest przecież skierowane do każdego. Przez wszystkich Duch Święty może tak samo działać. Uświadomił to całej naszej nowotarskiej wspólnoty „Dziewiczy Orszak Baranka”.

Nasza działalność trwa już 5 lat, zaczęliśmy będąc w Oazie, obecnie jesteśmy wspólnotą ewangeliczną. Na początku tych wakacji otrzymaliśmy salkę przy parafii św. Katarzyny w Nowym Targu, gdzie organizujemy spotkania modlitewne. Jesteśmy także zespołem muzycznym (druga płyta od jakiegoś czasu jest w drodze). Większość z nas to studenci i w związku z tym



podczas roku szkolnego spotykamy się również w Krakowie. Wielokrotnie rozmawialiśmy z młodzieżą na ulicach, na rynku, w parku i opowiadaliśmy im o Jezusie, naszym życiu, a także zapraszaliśmy na rekolekcje organizowane przez nas w Łomnicy, pod Nowym Sączem. Wyjeżdżamy tam już od początku naszego istnienia, ale dopiero w tym roku zrodził się pomysł, by zaprosić też ludzi spoza wspólnoty. W związku z tym znalazło się tam nas blisko 25 osób.

Każdego wieczora w miejscowym kościele organizowaliśmy modlitwy Uwielbienia, na które przychodziły głównie dzieci zwoływane przez nas z ulicy. Bóg ukazał nam, że to właśnie w nich jest największa siła. Kiedy tańczyły z nami, modliły się wznosząc ręce, od razu nasuwały się nam na myśl słowa z Ewangelii: „Kto nie przyjmie Królestwa Bożego jak dziecko...”

Myszę, że nic nie bylibyśmy w stanie zrobić bez oddania się Bogu w modlitwie. Najbardziej doświadczyłam tego na ewangelizacji w Krynicy, dokąd pojechaliśmy w ramach rekolekcji. Gdy przed rozpoczęciem „akcji” stanęliśmy razem we wspólnej modlitwie, poczułam ogromną moc. Nic już wtedy nie było straszne. Nieporozumienia, zniechęcenie, urazy wszystko zniknęło. Byliśmy gotowi stać przed Panem i wysławiać Go. Już wraz z pierwszymi dźwiękami zespołu można było odczuć obecność Ducha Świętego. Napelił nas ogromną radością i wolnością.

Kiedy Szymek nasz lider mówił, że tak jak Jezus uwolnił Łazarza z bandażu, tak i teraz może uwolnić ze wszystkiego, co nas ogranicza (na tę chwilę, nasz przyjaciel Kornel stał się owiniętym w bandaż Łazarzem), zobaczyliśmy, że jedna z osób zgromadzonych na deptaku robi notatki. Pojawiało się coraz więcej młodzieży. Podchodzili do nas i pytali, co mają zrobić, żeby nie pić, nie palić. Mówili, że nie mają takiej siły woli, by to przerwać. Ale przecież Jezus może uwolnić i z tego. Jeśli tylko Go o to poprosimy, powie - „Rozwiążcie go i pozwólcie mu chodzić”.

Innym razem mieliśmy także okazję doświadczyć, iż prawdą było, że Jezus zawsze znajdował się w miejscach, gdzie najmniej można by Go o to podejrzewać. Wróciliśmy ze wspólnego wyjazdu w Góry Stołowe i czekając na pociąg, na dworcu w Wrocławiu, spontanicznie zaczęliśmy Uwielbienie. Nie mieliśmy perkusji ani basu, jak w Krynicy, nie było mikrofonów ani wzmacniaczy. Byliśmy wymęczeni po kilkudniowych górskich wędrowkach, głodni i przygnębieni. Siedzieliśmy na schodach, bo nie było wolnych ławek. Ale czy to nam przeszkodziło

w oddaniu chwały Jezusowi? Wręcz przeciwnie. Dostaliśmy ponadnaturalne siły, bo „moc w słabości się doskonali”.

Modliliśmy się z całego serca. Powoli zaczęli podchodzić do nas bezdomni i chorzy. Opowiadali nam tragiczne historie swojego życia, a my w zamian mówiliśmy im o wszechogarniającej i ozdrowieńczej miłości Chrystusa. Jego Duch unosił się nad nami. Przemawiał do nich poprzez nas.

Pewien znajomy spytał mnie później, czy, mówiąc szczerze, były jakiegokolwiek efekty tej akcji? Oczywiście, „fajna sprawa i w ogóle...podziwiam, ale... czy to komuś pomogło?” Trudno odpowiedzieć na takie pytanie, bo naszym zadaniem nie jest przecież zdobywanie punktów im gorszy przypadek, tym większy bonus. My zasialiśmy ziarno, resztę pozostawiliśmy Duchowi Świętemu. On najlepiej wie, jak dotrzeć do tych ludzi i wydać plon stokrotny. Spotkałam się z opiniami, że ludzie podziwiają naszą odwagę, siłę charakteru, umiejętność i indywidualność w wyrażaniu poglądów. Jednak to przecież nie są NASZE poglądy, czy NASZA zasługa. Jesteśmy tylko naczyniami, instrumentami. Poznaliśmy, jak Jezus może działać w naszym życiu, w najdrobniejszych, codziennych sprawach i nie potrafimy nie mówić o tym. To nie my tu jesteśmy „kuuul”, bo jesteśmy oryginalni i mamy własne zdanie. To nie nasze zdanie, tylko prawda, którą poznaliśmy i chcemy ją ogłaszać, aby „wszyscy, co ich zobaczą uznali, że oni są błogostawionym szczepem”.

Kasia Cudzych

od Redakcji: więcej informacji o grupie Dziewiczy Orszak Baranka znaleźć możesz na stronie: www.dob.kdm.pl





Jesteś tym, czego słuchasz

refleksje na marginesie koncertu 2 Tm 2,3 w Szczecinie

„Agnieszka już dawno tutaj nie mieszka...” – Nie mogłam wyjść z podziwu, gdy ostatnio usłyszałam gromadkę dzieci wyśpiewujących słowa tejże piosenki (w dodatku w całości!) na całe gardło na placu zabaw. Pomyślałam, że strasznym jest fakt, iż takie teksty zagnieżdżają się bezkarnie w umysłach małych dzieci. O ile muzykę możemy rozpatrywać jeszcze na płaszczyźnie różnic gustu, o tyle teksty piosenek bywają często obiektywnie wartościowe lub przeciwnie – nawet destrukcyjne, szczególnie dla młodych ludzi.

Przyp. red.: dla niezorientowanych cytujemy tekst piosenki, którą spopularyzowały media w ostatnim czasie:

AGNIESZKA (sl./muz.: Adam Konkol)

Było ciepłe lato choć czasem padało
Dużo wina się piło i mało się spało
Tak zaczęła się wakacyjna przygoda
On był jeszcze młody i ona była młoda
Zakochani przy świetle księżycą nocami
Chodzili długimi, leśnymi ścieżkami
Tak mijaly tygodnie lecz rozstania nadszedł czas
Zawsze mówił jedno zdanie

„Moje śliczne ty kochanie”

Ostatniego dnia tych pamiętnych wakacji
Kochali się namiętnie w męskiej ubikacji
I przysięgli przed bogiem miłość wzajemną
Że za rok się spotkają i na zawsze ze sobą już będą.
Tesknął za nią i pisał do niej listy miłosne
W samotności przeżył jesień, zimą, wiosnę
Nie wytrzymał do wakacji postanowił ją odwiedzić
Bo nie dostał już dawno od niej żadnej odpowiedzi
Gdy przyjechał do jej domu
po dość długiej podróży
Cieszył się że ją zobaczy
w końcu tyle dla niej znaczył

Lecz gdy ona go ujrzala szybko się schowała
Drzwi mu matka otworzyła i tak mu powiedziała
Agnieszka już dawno tutaj nie mieszka (3x)

Rozczarował się bo takie są zawody miłosne
Cierpiał całą jesień, zimą no i wiosnę
A gdy przeszło mu zupełnie pojechał na wakacje
W tamto miejsce by zobaczyć tę pamiętną ubikację
Tak się stało ze przypadkiem ona też tam była
Ucieszyła się ogromnie gdy go tylko zobaczyła
Zapytała się czy w sercu jego jest jeszcze Agnieszka
Odpowiedział jednym zdaniem
„Moje śliczne ty kochanie”
Agnieszka już dawno tutaj nie mieszka (3x)

Na ten temat w ciekawy sposób wypowiedziała się Beata Kozak, perkusistka zespołu 2 Tm 2,3, na spotkaniu z jego fanami przed koncertem w Szczecinie 15.03. br.

– Wychowałam się na muzyce czadowej i nigdy nie zwracałam uwagi na teksty. Zawsze mówiłam sobie, że ta muzyka mnie najbardziej porywa. Teraz widzę, że jest w niej jakaś duchowość, którą dostrzega się na pewnym etapie, etapie doświadczania Pana Boga. Na początku to nie ma znaczenia, kto o czym śpiewa, czym się kieruje, co ma w głowie i w sercu, kiedy pisze te teksty, robi muzykę. Dopiero wtedy, kiedy człowiek jest już trochę dalej w postrzeganiu Pana Boga, gdzieś odzywa się ta duchowość. Dopiero teraz mogę powiedzieć, że to jest szalenie ważne, czego człowiek słucha i czym się karmi.

Wieczorem odbył się koncert Tymoteusza, podczas którego zespół dał dowód na to, że z wielką pieczołowitością podchodzi nie tylko do muzyki, ale i do tekstów utworów. W odważny sposób traktują one o sprawach wielkich, w dodatku w godny ich sposób. I w muzyce, i w słowach, które współgrając ze sobą tworzyły atmosferę koncertu, dało się odczuć po prostu piękno – nie powielające wzorców, prawdziwe, głębokie.

Koncert miał miejsce w Katedrze, której nastrój potęgował to wrażenie. Warto też dodać, że zagrany został akustycznie (ze względu na Wielki Post), więc różnił się od poprzednich, na których byłam. Nie stracił przy tym na wartości muzycznej, a tej w przypadku koncertów 2 Tm 2,3 nigdy nie można było podważyć. Budującym jest fakt, że owo wydarzenie zgromadziło w kościele około tysiąca ludzi, których obecność zaświadczyła o tym, że to, co głębokie i wartościowe, wciąż pociąga i jest potrzebne (szczególnie ludziom młodym). *Zespół tym razem skupił szczególną uwagę publiczności na treściach, które przekazuje jego muzyka, bez często towarzyszącej jego koncertom „ostrej atmosfery”. Poruszające wszystkich ciekawie wyciszzone aranżacje wiecznych „przebojów” zespołu, podsumowała koncert Kasia, jedna z uczestniczek wydarzenia. Słyszałam też mnóstwo innych głosów, niektórych spontanicznie entuzjastycznych, innych wyrażających z pełną powagą ogromny podziw dla muzyków w kontekście tego koncertu. Wśród nich przewijały się nieustannie dwa pytania: Kiedy będzie można posłuchać Tymoteusza po raz kolejny w Szczecinie? oraz Kiedy wyjdzie płyta zespołu?*

Na wcześniej wspomnianym już spotkaniu z muzykami obecny był Stopa, który przedstawił plany zespołu na najbliższy czas: *W tej chwili nie nagrywamy nowej płyty, oprócz akustycznej, tworzonej podczas obecnej trasy, ale są plany, żeby nagrać nowy materiał. To nie jest tak, że zespół nagrał trzy płyty i stanął w miejscu. Mamy wiele innych zajęć, gramy w różnych zespołach. Natomiast koncerty grane na tej*

trasie, w ten akustyczny sposób, są dla nas wiatrem w plecy...

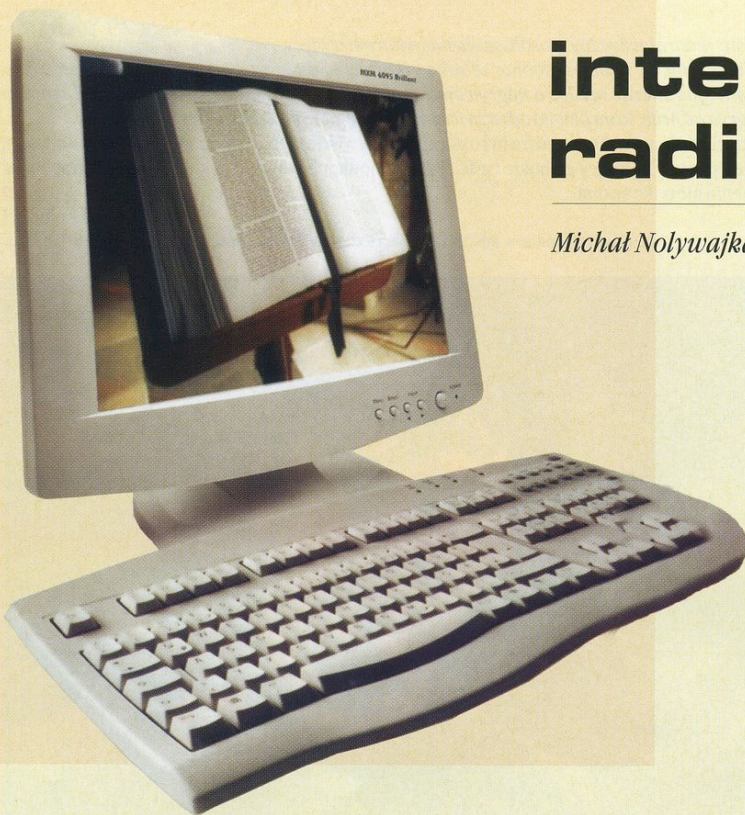
– To jest tak, że nam jest dobrze ze sobą i ta trasa to duża zachęta do tego, żeby wrócić do domu i już zacząć myśleć o nagrywaniu nowej płyty. Ja myślę, że jak tylko Robert skończy nagrywać Arkę, to na pewno od razu weźmiemy się za Tymoteusza – dodała Beata.

Szczeciński koncert Tymoteusza był ostatnio wyjątkowym wydarzeniem w mieście. Pełen prawdy i niosący głębokie treści. I za ten nonkonformizm dziękuję muzykom zespołu, w imieniu nie tylko swoim.

Ewa Kołodziej

Zdjęcia (wykonane w kościele św. Wojciecha we Wrocławiu w marcu 2003): M. i S. Witwicy





internetowe radiostacje

Michał Nolywajka

Gdy jeden z naszych dobrych RUaHowych znajomych przesłał mi Internetem tekst zatytułowany „Czy nadal czujesz się młodo?“, potraktowałem całą sprawę jako jeszcze jeden z niezliczonych żartów, od którego sieć wprost pęka w szwach. Faktycznie, tekst był śmieszny, a cały dowcip opierał się na wykazaniu, że dzisiejsi trzydziestolatkowie to dinozaury wciąż upajające się wspomnieniem posiadania w pierwszej klasie podstawówki upragnionego piórnika made in China, dla których dwukasetowy magnetofon był w swoim czasie czymś w rodzaju złotego runa, a wejście na „Gwiazdne wojny” oznaczało szczyt przeżyć kulturalno-estetycznych. Nawet się uśmiełem, ale gdzieś w zakamarkach świadomości pojawiła się złośliwa i uporczywa myśl, że owszem, może to i zabawne, ale jeszcze bardziej prawdziwe. W porównaniu do dzisiejszych hip-hopowców jestem żywą skamieliną, której najwyraźniej bliżej do własnej babci niemogącej nadziwić się walkmanowi, niż do pokolenia mojego brata, które słucha już wyłącznie MP3 przez najnowszy model telefonu komórkowego.

Tyle tytułem wstępu, a teraz przechodzę do rzeczy. Jakiś czas temu na polskich stronach internetowych pojawiło się zjawisko interesujące, a dla pokolenia piórnikowców made in China wręcz elektryzujące. Grupy zapaleńców postanowiły wykorzystać możliwości współczesnej techniki i stworzyć internetowe radiostacje grające tylko i wyłącznie muzykę chrześcijańską. Gdy się o tym dowiedziałem, byłem zachwycony.

Po osobistym rozczarowaniu siecią rozgłośni, które w założeniu miały być chrześcijańskie, a okazały się być boleśnie komercyjne, nie wspominając już o radiostacji, której mimo najszczerzej chęci i wysiłków słuchać po prostu nie jestem w stanie, nowa propozycja wspólnoty misyjnej ICPE oraz ekipy skupionej wokół TanRadia wydała mi się objawieniem. Zresztą nie tylko mnie. Nasi bliscy znajomi założyli sobie sztywne łącze

głównie po to, żeby „nareszcie posłuchać dobrego chrześcijańskiego przekazu”.

Oczekiwania były więc ogromne, a i nisza rynkowa, używając obmierzłego języka marketingu, niczego sobie.

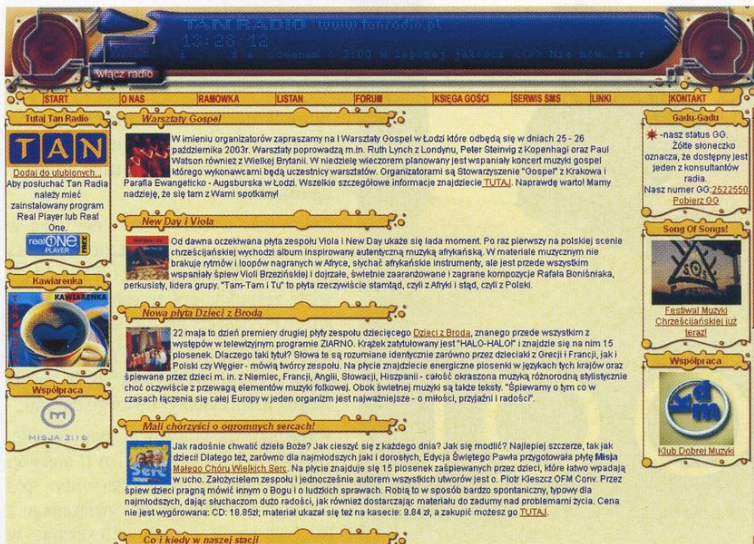
Internet ma więc chrześcijańskie radiostacje działające, co trzeba podkreślić, legalnie, z zachowaniem wszelkich zasad i praw.

TanRadio i Radio Omega opisują wszystko na swoich stronach zapewniając, że ich funkcjonowanie nie ma nic wspólnego z piractwem czy nielegalnym wykorzystywaniem sprzętu. I to jest chyba pierwszy krok w stronę profesjonalizmu, który przecież zaczyna się od rzetelności i uczciwości.

Wystarczy więc tylko ściągnąć odpowiedni program i już można słuchać, ile dusza zapagnie! A słuchać można praktycznie non-stop. Radio Omega (www.omega.icpe.pl)

zadbało o to, żeby na internetowej antenie ciągle coś się działo. Jest więc Worship Cafe wypełniona pieśniami uwielbienia i chwały z całego świata, lista przebojów Top Ten, zawierająca najpopularniejsze utwory radiostacji, Studio Omega z muzyką CCM wszelkiej maści i koloru oraz, co wyjątkowo cenne, świadectwami i krótkimi katechezami i nadawanymi w paśmie południowym.

Na Boże Narodzenie zaplanowano rozpoczęcie emisji cyklu Focus on Spirituality (Spojrzenie na duchowość), który w skondensowany i kompetentny sposób omawia różne aspekty chrześcijańskiej duchowości. Na razie nieregularną pozycją ramówki jest Saturday Night Live – sobotnie programy na żywo, w czasie których koncerty transmitowane są wprost ze studia Omegi. W maju tego roku można było w ten sposób usłyszeć występ brytyjskiej piosenkarki Sue Rinaldi. Z pozycji Praise Afternoon cieszą się zapewne wszyscy fanatycy ojczyznojęzyka świętego Tomasza Moora, bowiem przez dwie godziny radio nadaje w języku angielskim. Można posłuchać między innymi programów publicystycznych dotyczących sytuacji chrześcijan na świecie, przygotowanych przez United News and Information w Waszyngtonie. To, co dla niektórych jest atutem, dla wielu może być głównym zastrzeżeniem wobec radia. Można się zastanawiać, jaki jest sens przekazu w języku, którego spora część polskich słuchaczy po prostu nie rozumie. Oto w jaki sposób Jacek Dudzic, dyrektor Omegi, tłumaczy fakt nadawania w języku angielskim: „Radio nadające w Internecie nie zna granic, więc ze swej natury powinno być



międzynarodowe, jeżeli nie realizuje typowo lokalnego programu, który przyciągnie odpowiednią ilość słuchaczy. W innym przypadku możemy mówić o hobby, a nie o faktycznej emisji programu. Weźmy pod uwagę jeszcze jeden istotny fakt. Aby słuchać radia w Internecie, trzeba mieć co najmniej SDI, DSL albo Neostredę. Wątpię, że ktoś korzystający z numeru dostępowego TP.SA miałby być naszym stałym słuchaczem. W związku z tym „modemowcy” to nie jest nasza grupa docelowa (tzw. target group), my chcemy docierać do ludzi, którzy będą nas słuchać przynajmniej dwie, trzy godziny dziennie. I tak, od 7:00 do 15:00/16:00 nasi słuchacze to z reguły Polacy i w niewielkim stopniu mieszkańcy krajów Azjatyckich. Po południu zaczyna się pasmo amerykańskie, a wynika to z różnicy czasów. Po godzinie 17:00 słuchacze z Polski to pojedyncze osoby. Nasza ramówka więc i konsekwentne używanie języka angielskiego po prostu odpowiada sytuacji, jaka ma miejsce. Stąd też i nasza strona internetowa jest prowadzona w dwóch językach.

Po drugie, nasze radio nie ma charakteru ściśle ewangelizacyjnego. Swoją program kierujemy raczej do chrześcijan, których chcemy umocnić dobrą muzyką, uwielbieniem i słowem zachęty”.

Tak więc Omega może być bardzo atrakcyjna dla słuchacza międzynarodowego interesującego się na co dzień zarówno muzyką CCM, jak i życiem Kościoła na świecie. Będzie on z wielką przyjemnością słuchać „swoich” wykonawców i cieszyć się, że ma możliwość śledzenia istotnych wydarzeń z życia Kościoła. Kto jednak nie jest „kościelny”, ten zdeklarowanym słuchaczem Omegi raczej nie zostanie. Odmienną wizję radiostacji chrześcijańskiej prezentują twórcy **TanRadia** z jego duchowym opiekunem o. Robertem Wawrzenieckim OMI na czele. **TanRadio** zaistniało w Internecie w sierpniu 2001 i

było pierwszym radiem tego typu nadającym muzykę chrześcijańską dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jak można przeczytać na stronie radiostacji www.tanradio.pl, kładzie ono nacisk na wykonawców polskich. Według zamieszczonej na stronie www.tanradio.pl playlisty, rodzimi artyści stanowią na niej przeważającą większość. Emitowana jest nawet specjalna Polska godzina w **TanRadio**, w czasie której prezentowana jest twórczość Polskich artystów chrześcijan. W przeciwieństwie do **Omegi**, **TanRadio** kieruje swój program zarówno do tych, którzy już znają Jezusa, jak i do tych, którzy dopiero nieśmiało wyruszają na drogę poszukiwania Prawdy.

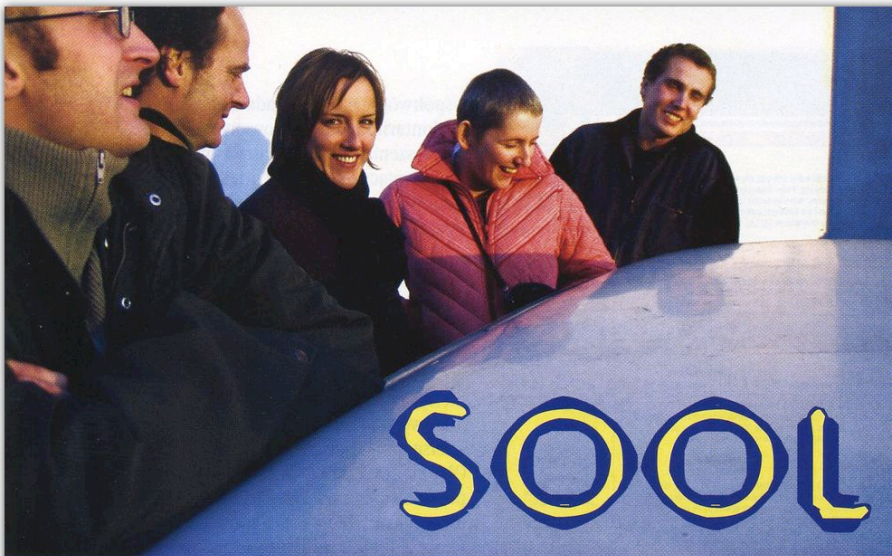
Więcej jest tu słowa mówionego, a to za sprawą audycji autorskich i komentarzy radiowców. Osobiście bardzo spodobał mi się pomysł audycji hip-hopowej, prowadzonej przez chłopaków z zespołu Evident. Można mieć wiele zastrzeżeń do hip-hopu i wymądrzać się nad muzycznym ubóstwem tego gatunku, ale faktem jest, że kto autentycznie jest zainteresowany nauką języka współczesnej młodzieży, ten obowiązkowo powinien przyjrzeć się „rymowaniu”. Okazuje się bowiem, że istnieje dość sporo hip-hopowców, którym bynajmniej nie zależy na upakowaniu w swoich tekstach maksymalnej dawki buntu z domieszką postawy „totalna olewka”. Kto nie wierzy, niech posłucha pozytywnego hip-hopu w **TanRadio**!

Obie radiostacje mają na swoich stronach forum dyskusyjne, umożliwiające słuchaczom wymianę poglądów i komentowanie programu radiowego, a co za tym idzie, jego współtworzenie. Obok wyrazów modlitewnego poparcia, a czasem i zachwytu nad programem, można tam także znaleźć konkretne propozycje takie, jak na przykład audycja poświęcona twórczości zespołów amatorskich. Wszelka konstruktywna krytyka, jak i dobre pomysły są przez redakcję mile widziane, tym bardziej, że ekumeniczny zespół

współtwórców radia składa się z zapalców-wolontariuszy zafascynowanych możliwością głoszenia Dobrej Nowiny w Internecie. Obserwując poczynania chrześcijańskich radiostacji w sieci, można zadawać sobie pytanie, czy są one zwiastunem nowej ery w głoszeniu Ewangelii. Ten tekst kończę pod wieczór niedzieli misyjnej. W uszach jeszcze do teraz brzmia mi słowa Ojca Świętego, który w orędziu przygotowanym specjalnie na ten dzień zauważa, że dane jest nam żyć w czasach, w których jak nigdy dotąd, dzięki niesłychanemu rozwojowi środków masowego przekazu, chrześcijanie mają szansę przybliżyć światu oblicze swojego Oblubieńca. Fakt ten przekonuje, że ciągle poszukiwanie skutecznych i nowych form ewangelizacji jest zawsze aktualne. Wydaje mi się jednak, że jeśli rewolucyjności upatrujemy w samej tylko technologii przekazu, to popadamy w logikę dinozaurów, dziwiących się, że *takie cuda są dziś możliwe*. Przecież dla wielu bardzo młodych ludzi Internet i jego olbrzymie możliwości to nic nadzwyczajnego, to normalka, coś, co istnieje niemal od zawsze. Dla nich pojawienie się internetowych radiostacji nie będzie szokiem. To, co ma szansę ich zaskoczyć i rozpocząć prawdziwą rewolucję, to treści przekazywane w sposób atrakcyjny, autentyczny i przekonujący. Święty Paweł już dawno wpadł na pomysł, że Ewangelii trzeba głosić na dachach, a więc wszędzie tam, gdzie się da z nią dotrzeć. Twórcom **Omegi** i **TanRadia** bardzo dobrze udało się zawędrować na wirtualne rozdroża Internetu i za to należą im się gratulacje. A że sam zapal i dobre intencje to jeszcze nie wszystko, dlatego zamiast tak ulubionego przez nasz naród polowania na błędy, potknięcia czy programowe niewypały, proponuję szczerą modlitwę w intencji Internetowych ewangelizatorów. Mogłaby ona brzmieć mniej więcej tak: *Panie Jezu, wierzymy, że to Ty sam dajesz dziś tyle sposobów na głoszenie Dobrej Nowiny we współczesnym świecie. Pobłogosław tym, którzy chcą opowiadać o Twoim zbauieniu poprzez muzykę i słowo w Internecie. Oby zawsze mieli dobre pomysły, pokorę w przyjmowaniu krytyki i sugestii oraz pragnienie bycia coraz lepszymi radiowcami na Twoją chwałę. Amen.* ■

Michał Nolywajka





CZEKAMY NA OTWARTE DRZWI

Lipiec 2003. Spotkania Muzyków Chrześcijan w Gródku n/Dunajcem „Strefa Chwały”. Jedno ze spotkań modlitewnych prowadzi debiutujący zespół SOOL. Na scenie muzycy skądinąd znani już w tym środowisku, jednak nie występujący dotąd razem. Uszom zgromadzonych daje się słyszeć interesująca muzyka, w której pobrzmiewają echa jazzu i soulu. Od razu porwya wszystkich. Nie byłoby tak, gdyby nie obecny w niej Duch, a pieśni nie niosły treści, które uczestnicy Spotkań od razu rozpoznają jako swoje.

z muzykami nowej grupy **SOOL** rozmawiają Agnieszka i Iwona Pająk:

Kochani, na dobry początek: kto tworzy zespół SOOL i z jakich środowisk muzycznych się wywodzicie?

Basia Włodarska (wokół): Mieszkam w Bielsku-Białej, pochodzę z Dąbrowy Górniczej. Śpiewam m.in. w chórze Trzecia Godzina Dnia, współpracowałam z zespołem Mateusza Otremba, zajmuję się prowadzeniem uwielbienia w swoim kościele. Studiowałam wokalistykę na wydziale Jazzu i Muzyki Rozrywkowej Akademii Muzycznej w Katowicach.

Joanna Gajda (klawisz): Ja też skończyłam V Wydział. Na co dzień gram jazz, akompaniuję wokalistom na studiach wieczorowych w Katowicach. Moje dotychczasowe doświadczenia „medialne” to pojedyncze trasy lub koncerty z różnymi muzykami, między innymi z Mate.O. Trudno tu jednak mówić o dłuższej współpracy. Ostatnio gram w jazzowej formacji Asaf z Piotrem Jankowskim, Maćkiem Sikalą i Michałem Barańskim - muzykę inspirowaną Panem Bogiem i chrześcijaństwem.

Robert Cudzych (gitara): Cieszę się, że mogę grać w SOOL, ponieważ pełnię tu rolę inną niż w New Life 'M i zespole uwielbieniowym, który ostatnio tworzymy z Piotrem Plechą. Tu jest taka

specyficzna atmosfera, liderkami w grupie są dwie panie i jest bardzo miło (śmiech).

Mateusz Cudzych (bas): Nie studiuję w Katowicach, nie studiuję jazzu (śmiech). Studiuję leśnictwo. Wywodzę się z dursztyńskiego środowiska muzycznego. Graliśmy w domu razem z tatą i dwoma braćmi. Odczuwam wielką radość z bycia w SOOL, bo gram tu to, o czym zawsze marzyłem i to z fajnymi ludźmi, a w dodatku chodzi o coś więcej niż tylko muzykę.

Kamil Cudzych (perkusja): W liceum grałem w różnych zespołach, ale to było półserio, raczej jakieś młodzieńcze eksperymenty. Cały czas się uczyć (m.in. w zespole SOOL!). Jeśli chodzi o współpracę z innymi muzykami, to jeszcze wszystko przede mną.

Wasza nazwa wiele mówi o charakterze zespołu, ale czy moglibyście podzielić się tym, dlaczego chcecie poruszać takie tematy?

Basia: Na pewno nie jest tak, że wymyśliłmy sobie tematykę na siłę. To naturalny efekt tego, co dla nas ważne i co dotyczy nas na co dzień. Na przykład dla mnie ważne jest to, że Pan Bóg jest dobry, a mnie się to nie udaje, jest silny, a ja jestem słaba, On jest radością, a ja przeważnie nie jestem w stanie sama z siebie wykrzesać

optymizmu. Chcę, żeby Bóg oddziaływał przez nas i naszą muzykę na ludzi.

Wnioskuje, że skoro gracie razem, to aby przekaz był autentyczny i szczerzy, musicie się z nim wszyscy zgadzać...

Asia: Tak. Chodzi o to, żeby stać w jedności, bo jakieś sztuczne opcje są nietrwale. Ktoś tam się spotyka i udaje, wiele zespołów gra ze sobą na siłę i w końcu prędzej czy później się rozpadają.

Robert: Może być też tak, że my do tych tekstów będziemy dorastać, bo to rodzaj czegoś, czym żyjemy i do czego dążymy.

Mateusz: Nie grałbym w tym zespole, gdyby chodziło w nim tylko o muzykę. Jest coś fajnego w tym, że robimy coś czystego i ciekawego, coś związanego z Bogiem, podczas gdy mieszkając w Krakowie, widzę brudne miasto, w którym panuje „świat”, krzykliwy grzech i myślenie głównie o własnych przyjemnościach.

Wasze inspiracje muzyczne i pare słów na temat brzmienia.

Kamil: Wiadomo, każdy wyrasta z czego innego, znaczenie ma tu też doświadczenie. Ja jeszcze, z racji mojego wieku, nie mogę dokładnie powiedzieć, co wnoszę w ten zespół, ale w przypadku Asi czy taty jest zupełnie inaczej. Chciałbym się zawsze wzorować na lepszych ode mnie.

Basia: Ja nie szufladuję muzyki na style i gatunki, słucham bardzo różnej muzyki, mogłabym tu sporo wymieniać. Właściwie każdy z nas wnosi we wspólną muzykę to, co jest echem tego, kim jest, echem wszystkiego, co przeżył i kiedykolwiek słyszał w życiu i co poruszyło go do głębi. Ważne, aby to było naturalne i szczerze. Nie jest tak, że na przykład teraz postanawiamy grać funky czy soul, to byłoby sztuczne. Każdy jest sobą i wnosi coś charakterystycznego. Tak naprawdę, zanim jeszcze zaczęliśmy grać razem, były już jakieś pomysły muzyczne i piosenki, ale nie wiedziałam jak to zabrzmieć i do końca nie potrafiłam sobie wyobrazić, co z tego wyjdzie.

Asia: Bardzo bym nie chciała, żeby ta muzyka brzmiała jak wszystko, co gdzieś tam dookoła pobrzmiewa, ale żeby była trochę stąd. Żeby ludzie, którzy będą jej słuchali, mogli się z nią utożsamić. Nie lubię takiej proamerykańskiej sieczki, strasznie mnie to denerwuje, chociaż oczywiście muzyka amerykańska jest wzorem, jeśli chodzi o technikę. To coś, z czego warto brać przykład i wszystkie kwestie związane z „obudową” mają w niej swoje źródło, ale mimo to chciałabym, żeby nasza muzyka pobrzmiewała tym, skąd jesteśmy, gdzie mieszkamy, gdzie byliśmy, kogo spotkaliśmy...

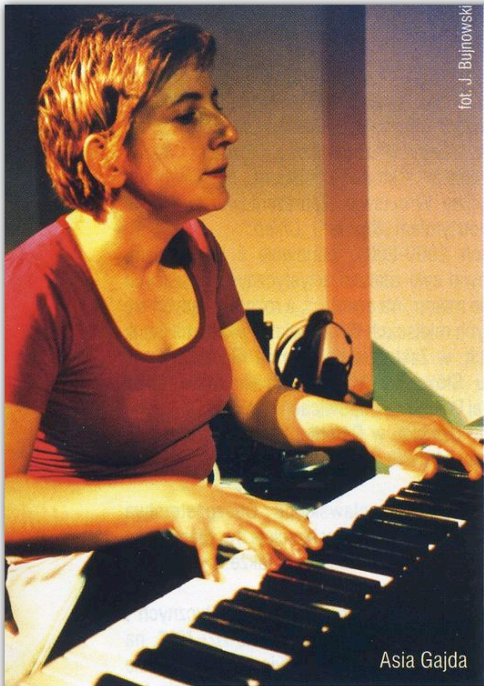


foto: J. Bujnowski

Asia Gajda

Robert: No, ale można jakieś ramy zakreślić, raczej na pewno nie zagramy heavy metalu czy muzyki operetkowej. Nasz obszar jest blisko jazzu, soulu, bluesa, funky.

Kto jest autorem tekstów i muzyki?

Basia: Na razie gramy piosenki moje i Asi. Na pewno z czasem będzie ich więcej. Chciałabym, by zespół przekazywał nie tylko to, co wymyśli jedna osoba, ale żeby w równym stopniu mógł się wyrazić w nim każdy z nas.

Robert: Napisałem trochę piosenek, zarówno tekstów jak i melodii, ale ostatnio jestem pod głębokim wrażeniem kompozycji dziewczyn. Oczywiście, słychać w nich dużą świadomość muzyczną, jednak melodia, którą odbiera słuchacz, nie jest jakoś specjalnie wyrafinowana czy zakręcona. Jest to bardzo ciekawe połączenie. Obserwuję pracę Joachima czy Marcina w New Life 'M i tutaj widzę, że są to czasami podobne obszary, ale dziewczyny wypełniają jakąś lukę.

Czy istnieją jakieś skonkretyzowane plany odnośnie nagrania materiału, wydania płyty?

Asia: Nie mamy bardzo konkretnych planów. Staramy się nie robić niczego za wszelką cenę. Pan Bóg ma na wszystko swój czas. Nie czujemy tego, że np. w tym tygodniu musimy nagrać płytę i będziemy teraz zbierać kieszonkowe, żeby na siłę wejść do jakiegoś studia. Po prostu na razie robiliśmy próby, razem się modliliśmy. Czekamy, tak naprawdę, na to, co Pan Bóg zechce z tym zrobić.

Basia: Chcemy, żeby ta muzyka jakoś naturalnie dojrzała, my także, by później ktoś, kto jej posłucha, nie poczuł, że została zrobiona na potrzebę chwili, szybko nagrana. Czas nagle, więc muzycy się spotkali i coś tam wymyślili. Jak Pan Bóg będzie chciał, to coś się wykluje...

Asia: Tak się dzieje w tym szybko działającym świecie: ktoś się pojawia, wydaje trzy płyty i znika, nikt o nim nie pamięta.

Pan Bóg objawia nam to, czego chce, przez nasze oczyszczone pragnienia. Czy macie wizję stylu waszej pracy: ma być bardziej koncertowy czy nagraniowy, festiwalowy czy uwielbieniowy?

Basia: Jesteśmy otwarci na to, gdzie Pan Bóg chce nas widzieć i może dlatego tak bardzo nie mamy sprecyzowanych tych rzeczy. Jest dla nas ważne, żeby przez muzykę komunikować się z ludźmi, przekazywać im ważne dla nas sprawy. Pewnie wolałabym grać dla ludzi, którzy mają zapotrzebowanie duchowe i muzyczne na taką właśnie muzykę, niż gdzieś tam jako „zapchajdziura” na jakimś przypadkowym festiwalu. Nie dzieliłabym muzyki na uwielbieniową i nieuwielbieniową. Jeśli chcę, żeby wszystko, co robię, było uwielbieniem Boga, to oddaję Mu to, co mam najcenniejsze, swoją pasję, swoją muzykę i uczucia, nawet kiedy w tekście piosenki nie ma typowych treści uwielbieniowych.

No właśnie... Jest wielu muzyków wierzących, a niekoniecznie wyrażających wprost swą wiarę przez śpiewane teksty. Także organizatorzy koncertów często wyznaczają ich zewnętrzny charakter...

Basia: Zależy, czy mówiąc o „uwielbieniowym charakterze” zespołu mamy na myśli wprowadzanie ludzi w uwielbienie poprzez modlitwę i śpiew, czy naszą postawę. Myślę, że niezbędna jest taka postawa – nawet jeśli śpiewamy i gramy o czymkolwiek, co nas dotyczy, to jest to nadal uwielbienie. Widzi to Pan Bóg, wiemy o tym my i być może ludzie też to słyszą.

Robert: Ja osobiście jestem mile zaskoczony taką zgodą i cierpliwością wszystkich w zespole, chęcią, by nie preparować sztucznie, nie wyprzedzać rzeczywistości koncertów i występowania. Jest dla mnie jakimś ewenementem, że próby trwają już od prawie roku, a oficjalnie jeszcze nigdzie nie graliśmy.

Niekiedy podejmowane są inteligentne działania „marketingowe”, ale warto poczekać na otwarte drzwi i poczuć, jak otwiera je Bóg.

Czego według Was potrzeba najbardziej do wykonywania muzyki?

Asia: Potrzeba wszystkiego po trochu, nie da się tego oddzielić. Przede wszystkim talentu – jakiejś iskry Bożej, potem pracy, sprzętu, dogodnych warunków, predyspozycji emocjonalnych.

Robert: Właśnie. Wierności wyrażającej się w tym, że człowiek nie przestaje grać, odczuwając w jakimś tam okresie niechęć do samego siebie. Bo zawsze przychodzi coś takiego, że mniej cenimy to, co sami robimy. Umieć przechodzić przez te ciemne okresy, lubić siebie, wierzyć temu powołaniu, które się odczytuje i nie rezygnować – to bardzo ważna cecha.

Mateusz: Dla mnie muzyka nie może być takim wyścigiem umiejętności: „mam idola i moim celem jest go prześcignąć”, nie można traktować muzyki jak sportu.

Asia: Dobrze, jeśli ktoś potrafi się wyłączyć i iść swoją ścieżką, choć wiadomo, że to jest trudne.

Jaka jest recepta na udane próby takiego „międzymiarowego” zespołu?

Mateusz: Najważniejsze to mieszkać po jednej stronie mapy, to jest na jej południu lub północy (śmiech).

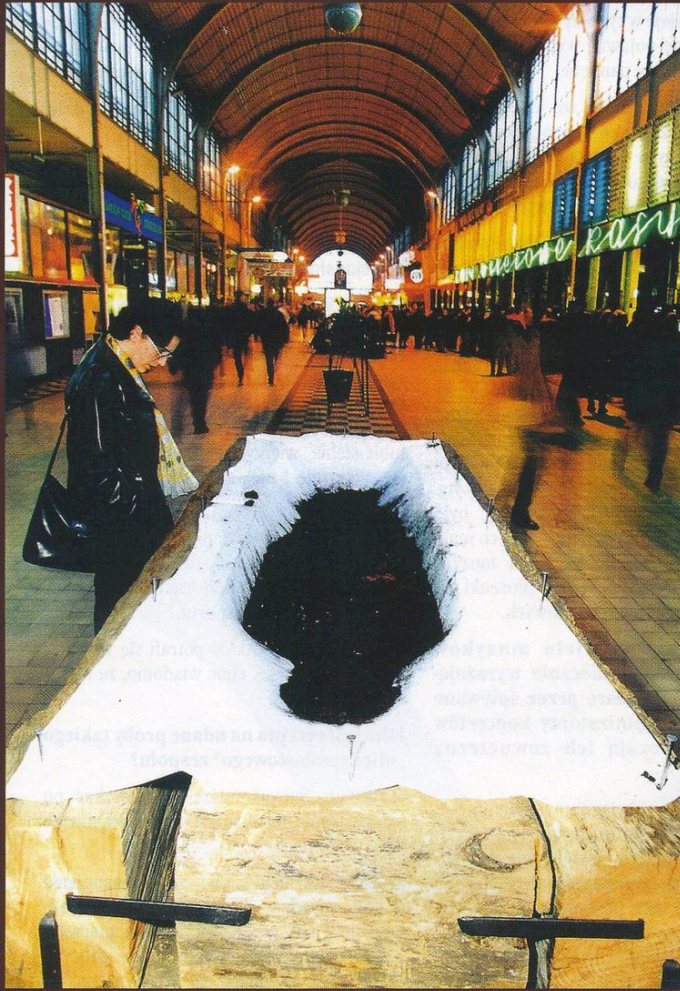
Robert: Słyszałem kiedyś ciekawe nauczanie o tzw. zasadzie pierwszych zobowiązań: zapisujesz coś w kalendarzu i to pierwsze zobowiązanie jest najważniejsze, choć to może być rzecz mała, np. masz zagrać na czyjejs Mszy weselnej, a dostajesz zaproszenie na koncert do USA. I pozostajesz, mimo pokusy, wierny pierwszemu zobowiązaniu. Więc próby mogą odbywać się pod warunkiem takiej wierności, lojalności. ■

rozmawiały: Agnieszka i Iwona Pająk



Basia Włodarska

foto: J. Bujnowski



galeria RUaH

Christos Mandzios

Dariusz Galewski

Christos Mandzios (ur.1954) jest adiunktem w pracowni rzeźby wrocławskiej ASP. Pochodzi z rodziny greckich emigrantów, którzy osiedlili się w Polsce po zakończeniu wojny domowej w Grecji, na początku lat 50.

Swoją przygodę ze sztuką, jak sam mówi, rozpoczął dosyć późno, bo w końcu lat 70., kiedy przygotowując się do egzaminów wstępnych na PWSSP kształcił się w Państwowym Ognisku Kultury Plastycznej w pracowni Janusza Halickiego i Andrzeja Żarnowieckiego. W roku 1979 został przyjęty do Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu na kierunek rzeźby Wydziału Malarstwa, Grafiki i Rzeźby. W czasie studiów był zaangażowany w działalność NZS, co po ogłoszeniu stanu wojennego doprowadziło do jego internowania. Uczelnię ukończył w 1985 roku, realizując pracę dyplomową u prof. Leona Podsiadłego. Od tego czasu rozpoczął samodzielną działalność artystyczną, która często przekraczała granice tradycyjnych technik rzeźbiarskich.

W 1992 roku, wraz z Mariuszem Mikołajkiem i Zbigniewem Milem, zorganizował wystawę „PKP: Popatrz Kiedy Przechodzisz, Popatrz Każdy Przechodzi...”, której miejscem był Dworzec Główny we Wrocławiu. Zaprezentował tam dwie prace pod tytułem „Brama” i „Chleb”.

W latach 2000-2001, ponownie z Mikołajkiem, zrealizował cykl zdarzeń artystycznych noszących wspólne miano „Na styku...”, a rozgrywających się w różnych miejscach Wrocławia: w Akademii Sztuk Pięknych, w Zakładzie Karnym na Kłęczkowie, na Dworcu Głównym PKP, w kościele Matki Bożej Królowej Pokoju na Popowicach (u ojców Oblatów), w Domu Dziecka, w Ośrodku Leczenia Uzależnień Młodzieży MONAR, a także w Muzeum Miejskim w Ratuszu.

Jako członek Wrocławskiego Duszpasterstwa Środowisk Twórczych przy kościele św. Marcina na Ostrowie Tumskim, uczestniczył także w wielu jego wystawach zbiorowych.

Od kilku lat, obok „zdarzeń paraplasytycznych”, realizuje cykl zatytułowany „CIEN-ko-RZEŻBY”, na który składają się smukłe i prawie płaskie postacie antropoidy – wykonane najczęściej w brązie lub szkłe. W pracach tych skupia się nad redukcją trójwymiarowości obiektów.

Pracuje w materiałach uznawanych za klasyczne dla rzeźby: marmur, brąz, granit, piaskowiec, drewno, szkło, stal, glina, gips, ale równocześnie używa materiałów niekonwencjonalnych, jak: ziemia, ziarno, rośliny, chleb, szary papier pakowy. Włącza do swoich kompozycji światło i cień, lustrzane odbicia przedmiotów, realizując tym samym cykl „zjawisk świetlnych”.

Od samego początku w twórczości artysty pojawiają się zainteresowania różnymi „przestrzenniami” naszej rzeczywistości. Jego punktem wyjścia jest zawsze sztuka, która wyraża się przez konkretne, choć niekoniecznie materialne dzieła. Przecież to właśnie z materii, jak mówi artysta: „może uwalniać się rodzaj ducha”. Dlatego sztuka ma podobny charakter jak religia. Dobra sztuka, według Mandziosa, ma w sobie coś z modlitwy, przypomina tytułową „Bramę”, przez którą wchodzimy w inny, metafizyczny wymiar rzeczywistości. Jest ona niczym grecka ikona, która według założeń teologicznych ma być oknem otwartym na Sacrum. Pracą zatytułowaną „Chleb” artysta pokazuje wypieczony przez siebie bochen chleba w kształcie i naturalnej wielkości człowieka. Podczas wernisażu wystawy na Dworcu Głównym w 1992 roku, zupełnie nieoczekiwanie, ludzie zaczęli go łamać, dzielić się nim i spożywać go.

Podobny charakter miała aranżacja grobu Pańskiego z cyklu „Realizacji Paschalnych” w 2001 roku, w kościele Oblatów na wrocławskich Popowicach. Postać symbolizująca Chrystusa wykonana była z chleba, którym w niedzielę Zmartwychwstania kapłani podzielili się z wiernymi. W tym „wydarzeniu” kryje się podstawowa dla Mandziosa prawda o roli artysty jako tego, który ma sugerować ludziom, że w potoczności i szarości naszego życia zdarzają się „cuda”, że to właśnie potoczność i codzienność jest tak bardzo ważna i istotna. Wcale nie wielkie i niesamowite wydarzenia... Rzeczy najwyklesze,



poprzez dyskretną ingerencję twórcy, mogą stać się znakami, symbolami czegoś, co istnieje ponad nami. Z tego założenia wypływa również przekonanie, że sztuka może być pewnego rodzaju liturgią, a więc służbą, w której istotne jest nieustanne „dzianie się”. Artysta uważa, że bardzo istotne dla jego twórczości są pogranicza sztuki, czyli te przestrzenie, gdzie sztuka styka się z „nieszuką”, gdzie sztuka się kończy, a może, paradoksalnie, właśnie zaczyna lub przybiera formę czegoś innego... Mandzios włącza do konkretnych działań elementy ruchu, dźwięku, muzyki i to, co szczególnie dla niego istotne – inne osoby. Zbliży się przez to do form związanych z teatrem i muzyką... W tego typu poszukiwaniach często pojawia się nieodparta pokusa szokowania i rozgłosu, której ulega wielu współczesnych artystów. Ale nie skandal i prowokacja są dla Mandziosa istotą sztuki. Jest nią uparte dążenie do odkrycia prawdy o człowieku i świecie.

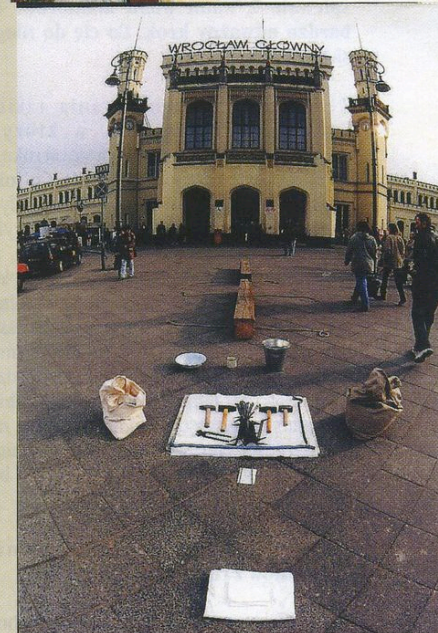
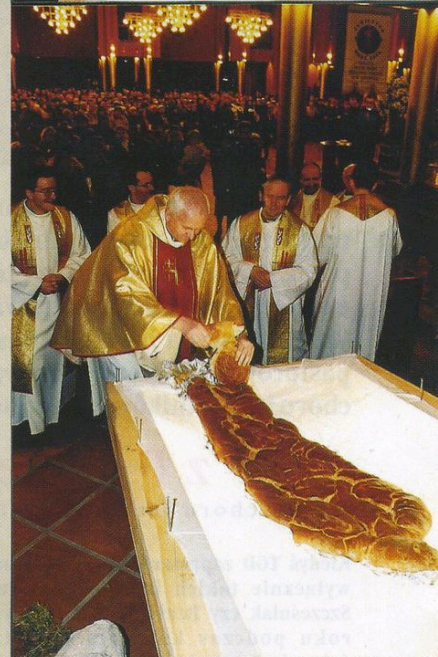
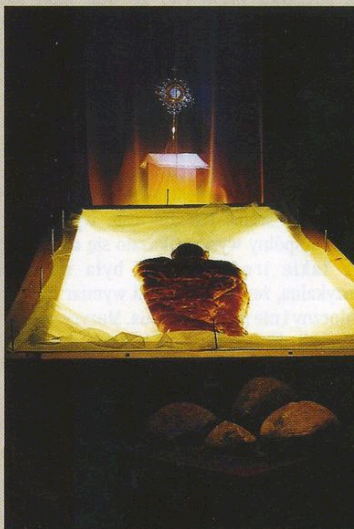
W jego poszukiwaniach sztuka musi mieć jakąś konkretną formę, która będzie czytelna, bez potrzeby tłumaczenia „co artysta miał na myśli”. Podczas cyklu „zdarzeń paraplasytycznych” – „Na styku”, które rozgrywały się między innymi w Wielkim Tygodniu 2000 roku w holu Dworca Głównego we Wrocławiu, dwaj bezdomni poproszeni o współpracę włączyli się w realizację zdarzenia „Sianie II”.... Podobnie resztą inni widzowie poproszeni o pomoc stali się jej uczestnikami. Wnosili na linach belki, worek ziemi, ziarna, wodę, młoty, gwoździe, klamry ciesielskie, białe płótno i ciągnęli na wózku mniejsze drewniane bele, z których artyści zbili później rodzaj stołu-sarkofagu. Następnie nałożyli nań białe płótno i przybili je

dużymi gwoździami. W tym czasie owi bezdomni wkroczyli z przeźroczystym, wyciętym z szyby śladem człowieka, który był przechowywany na Kolejowym Posterunku Policji. Złożyli go na przybitym płótnie, następnie sypali ziemię i siali ziarno. Po kilku dniach zboże wzeszło, przybierając kształt leżącego człowieka, a artyści dzieliłi je i wręczali podróżnym idącym na pociąg, jako symbol Zmartwychwstania i nowego życia. W wielu pracach artysty pojawia się coraz dalej posunięta redukcja przestrzeni, dlatego też jego rzeźby przybierają formę płaskich, wyciętych w materiale form antropomorficznych, które zyskały nazwę „CIEN-KO-RZEŻB”. Zupełnie podświadomie artysta sięga tutaj do swoich greckich korzeni i do tradycji malarstwa ikonowego, operującego przed wszystkim płaszczyzną.

W Wielki Piątek 2000 roku, w parafii OO. Oblatów na Popowicach we Wrocławiu, w kościele wypełnionym wiernymi, Mandzios z Mikołajkiem i miejscowymi kapłanami zaaranżowali inne z kolei „zdarzenie paraplasytyczne” pt.: „Wypalanie Bramy”, które autor zalicza zarówno do cyklu „Zjawisk świetlnych”, jak i „Realizacji Paschalnych”. W ustawianej pionowo drewnianej konstrukcji przypominającej rodzaj Bramy wypełnionej arkuszem zardzewiałej blachy, wypalali elektrodą ślad człowieka – Postać. Jak opowiada sam artysta, *sypali się stopy iskier, stopiony metal rozbrzygiwał się na posadzce kościoła, oślepiła światło luku elektrycznego, jęk przepalanej blachy, dymy, toskot upadającego wypalonego już Śladu... Po czym uroczystie ułożono go na białym płótnie, przeniesiono do kaplicy i złożono w grobie*. Tego typu zdarzenia artystyczne trudno sobie wyobrazić w większości naszych świątyni.

Mandzios nie dzieli sztuki na sakralną i świecką, bo dotyka ona często tych samych „miejsc”, co religia, może być jednak, artysta wyraźnie to podkreśla, albo dobra albo zła, *tertium non datur*.

Dariusz Galewski





nowi ludzie nowe drogi

fol. K. Raczyński

W czerwcu tego roku, w Zakościelu niedaleko Tomaszowa Mazowieckiego, odbyły się warsztaty muzyczne. Organizatorami byli chórzyści z Trzeciej Godziny Dnia. Impreza dość nietypowa, bo połączona z rekolekcjami, trwała trzy dni. Uczestniczyło w niej 120 osób z różnych wspólnot ewangelicznych i katolicy. Warsztaty prowadził Piotr Nazaruk, dyrygent chóru, a pomagali mu Mate.O, Natalia Niemen i Basia Włodarska. Część modlitewno-rekolekcyjną prowadziło dwóch pastorów, którzy stale towarzyszą TGD. Finałem tego spotkania był koncert w Łodzi z udziałem chóru i uczestników warsztatów. Dla TGD było to jedno z ważniejszych wydarzeń w 2003 roku.

z Piotrem Nazarukiem

szeffem chóru Trzecia Godzina Dnia, rozmawia Judyta Syrek

Kiedyś TGD zapraszało do współpracy wyłącznie takich ludzi jak Mietek Szcześniak czy Beata Bednarz, w tym roku podczas koncertu w Łodzi śpiewało z wami wielu amatorów. To bardzo odważny krok. Co cię do niego skłoniło?

Z zamiarem zorganizowania takich warsztatów i koncertu, w którym zaśpiewałby duży chór, nosiłem się od roku, a impulsem były eliminacje do TGD. Co roku zgłaszało się około 50 osób, które chciały z nami śpiewać. Oczywiście nie było możliwości przyjęcia wszystkich. Uważam, że chór może liczyć maksimum 40 osób. Urzekła mnie jednak chęć śpiewania, chęć wspólnej modlitwy, którą ci ludzie wyrażali w czasie przesłuchań. Pomyślałem sobie, że nad takimi pragnieniami nie można przechodzić obojętnie, że muszę coś z tym zrobić. Warsztaty w Zakościelu odbyły się po raz pierwszy, ale po wszystkim, co się tam wydarzyło, wiem na pewno, że to nie był ostatni raz.

Skąd wziął się pomysł łączenia warsztatów z rekolekcjami?

Myślę, że nie ma sensu śpiewać „na sucho”, bez modlitwy, wewnętrznego zaangażowania. Koncert nie miałby odpowiedniego wyrazu, gdyby w chórze były osoby nie zainteresowane tematem.

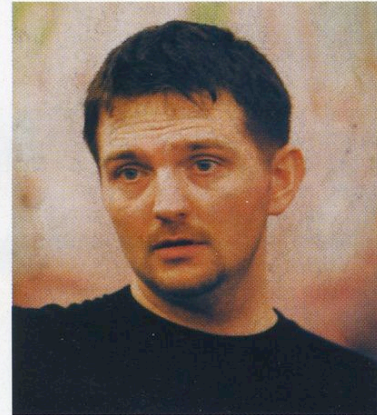
Połączyliśmy warsztaty z rekolekcjami również dlatego, że chcieliśmy pokazać ludziom, jak funkcjonuje TGD, jak wyglądają nasze spotkania wakacyjne i warsztaty. To

nie są tylko próby, ale jest również czas na wspólną modlitwę, na ważne rozmowy. (TGD spotyka się dwa razy do roku na dwutygodniowych warsztatach, w czasie których opracowuje nowy repertuar i przeżywa rekolekcje przyp. red.)

Chcieliśmy się też „podzielić sobą”, dlatego wieczorem był czas na świadectwa: Mate.O, Natalia i ja opowiadaliśmy o tym, dlaczego tworzymy muzykę z chrześcijańskim przesłaniem i jakie to ma dla nas znaczenie. Wierzyłem, że dla kogoś może to być odkrywcze. Bardzo się dzisiaj cieszę, bo wiem, że dla ekipy TGD i dla tych którzy przyjechali na warsztaty z zewnątrz, był to wyjątkowy czas.

Nie bałeś się pracy z tak dużym chórem?

Na początku myślałem, że uda nam się zorganizować chór 200 osobowy. W sumie w projekcie uczestniczyło 120 chórzystów. Oczywiście, że się bałem. Pierwszy raz pracowałem z tak dużą grupą, w której było wielu amatorów. Ale najbardziej tremowało mnie to, że będą ludzie z różnych środowisk, większość niezajomych i że będzie to taki „wielki tygiel”. Nie wiedziałem, czy uda mi się tych ludzi scalić, tak aby całe wydarzenie miało wspólny wyraz. Okazało się to jednak nie takie trudne. Ekipa była na tyle muzykalna, że ten amatorski wymiar nie był widoczny i nie miał znaczenia. Muzycy, którzy dołączyli do nas na sam koncert, byli pod wrażeniem przemiana chóru. Zresztą, kiedy później występowaliśmy w podstawowym składzie, mieliśmy wrażenie, że jest nas dziwnie mało.



W tym roku uzbierało się trochę nowych utworów, które gracie. Część z nich miała swoją premierę w Łodzi...

Bardzo mi zależało na przygotowaniu kilku nowych utworów ze względu na uczestników warsztatów. Chciałem, żeby ci ludzie mieli poczucie, że dzieje się coś wyjątkowego, by mieli swój udział w premierze. Po drugie, chciałem, aby te utwory poszły w świat i trafiły do różnych wspólnot i kościołów. To były nowe kompozycje Mate.O i moje. Staraliśmy się pisać prosto i szczerze. Mam nadzieję, że te piosenki przemawiają do ludzi i że już się je śpiewa.

Czy macie jakieś plany związane z nowymi utworami? Może już czas na nową płytę?

Część z tych utworów pojawi się w dwóch najbliższych projektach. Pierwszy to koncert Bożonarodzeniowy, który odbędzie się na początku grudnia w Warszawie w kościele



fol. T. Wlazowski

Świętej Trójcy. Zostanie on wyemitowany w Wigilię Bożego Narodzenia przez TVP2. Jest to dla nas olbrzymie wyzwanie. Bardzo chcielibyśmy w tym koncercie zwrócić szczególną uwagę na Solenizanta. Większość materiału, to koledy polskie i zagraniczne, ale będzie też kilka utworów niekoledowych, choć wydaje mi się, że w temacie. Chcielibyśmy, żeby koncert miał charakter uwielbieniowy. Na pewno wystąpią z nami Beata Bednarz, Mietek Szcześniak, Natalia Niemen i Mate.O. Będzie też kilka niespodzianek, ale o tym nie mogę mówić. A na wiosnę chcemy wydać płytę z nowymi utworami i to jest właśnie ten drugi projekt. Będzie tam część moich kompozycji, jedna albo dwie piosenki Pawła Zareckiego, na pewno pojawi się jakaś kompozycja Mate.O., utwory, które już gramy na koncertach i te, które jeszcze przygotowujemy. Płyta będzie miała wyjątkowy charakter, ale niech to też będzie niespodzianka.

Wróćmy na chwilę do Zakościela. Muszę powiedzieć, że w czasie tych warsztatów niesamowite wrażenie zrobiła na mnie piosenka „Będzie dobrze”. I wiem, że odbiła się ona szerokim echem. Pomogła kilku osobom inaczej spojrzeć na swoje życie. Czy spodziewałeś się takiego oddźwięku?

Nie. Zastanawiam się jednak, dlaczego tak może być... Może bardzo potrzebujemy nadziei... Pamiętam kilka koncertów, na których solo śpiewała Basia Włodarska. Wiem, że to był ciężki czas w jej życiu, a jednak potrafiła stanąć ponad trudnościami i powiedzieć z wiarą; będzie dobrze. To było mocne.

Czy przywiązujesz się do swoich tekstów? Przeżywasz je jako szczególnie?

Przeżywam je kiedy powstają, albo powstają, bo coś przeżywam. Szczególnymi stają się wtedy, kiedy ktoś, kto je śpiewa, potrafi znaleźć w nich swoją prawdę. Lubie, kiedy stają się czyjeś.

Do końca roku zostały jeszcze trzy miesiące, ale chyba możesz już powiedzieć, co było dla was najważniejsze w 2003 r.?

Oczywiście warsztaty w Zakościelu. I tak jak powiedziałem wcześniej, to nie był ostatni raz. Po koncercie w Łodzi podchodziło do mnie wielu uczestników, którzy mówili, że był to dla nich szczególnie czas. Dla mnie też. Chciałbym przynajmniej raz w roku organizować warsztaty dla osób z zewnątrz. To jest chyba nowa droga naszej działalności.

Po warsztatach dołączyło do nas kilka nowych osób. Teraz skład chóru rysuje się bardzo ciekawie. Od początku lat 80-tych chór tworzyli ludzie z kręgów baptystycznych. W połowie lat 90-tych pojawili się ludzie z innych wspólnot ewangelicznych. Później zaczęły się pojawiać pojedyncze osoby z Kościoła katolickiego, a w tym roku dołączyli do nas sami katolicy. I to jest niesamowite, kiedy ludzie otwierają się na siebie, chcą razem uwielbiać Boga. Polityczne kwestie przestają mieć znaczenie i rzeczywiście można wtedy sięgnąć do najbardziej istotnych spraw. To z pewnością znak czasu.

Do tegorocznego sukcesu możemy też zaliczyć kilka nowych utworów, które długo czekały na dokończenie. Moi chórzyscy dobrze je odbierają, traktują jako swój osobisty wyraz i utożsamiają się z nimi, co bardzo mnie cieszy. Ważny będzie też koncert koledowy.

A czy ten rok był ważniejszy od wcześniejszych lat?

Może barwniejszy. W tym roku zagraliśmy jeden koncert, który był dla nas ciekawym doświadczeniem. To było w Kraśniku, koło Lublina. Okazało się, że żaden z naszych solistów nie może się pojawić na koncercie. Wtedy rozdałem partie solowe kilku chórzystom. Jeśli dobrze pamiętam byli to:

chórzystom. Jeśli dobrze pamiętam byli to: Basia Włodarska, Emilia Derkowska, Gosia Bienkowska, Jasiu Radwan i Michał Rudaś. Wcale nie było słabiej. Na początku zastanawiałem się, czy będą w stanie pociągnąć cały koncert. Niektórzy śpiewali już wcześniej, ale tylko pojedyncze piosenki. Poza tym nie wiedziałem, jak się sprawdzą w konfrontacji z publicznością, ale było bez pudła.

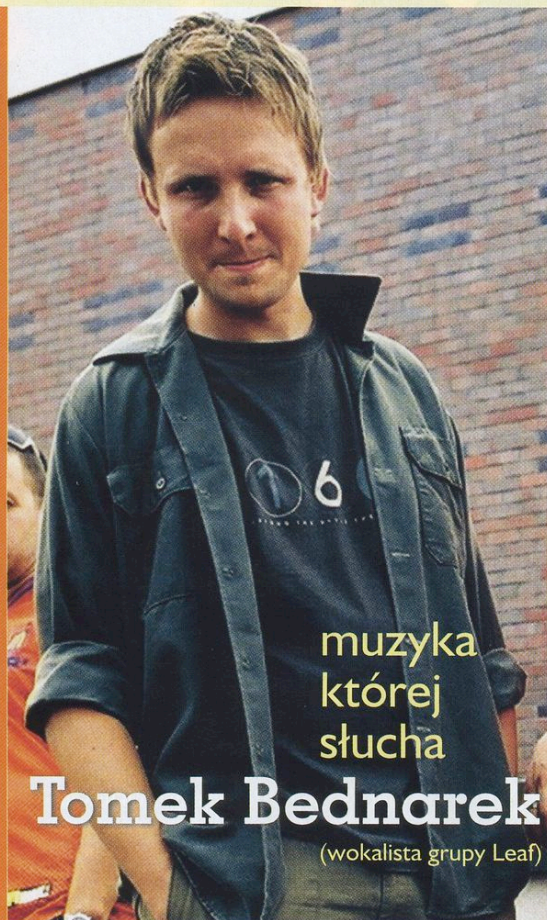
Nie boisz się, że kiedyś ci siołści zaczną myśleć o karierze i odejdą z TGD?

Może tak się zdarzyć, ale jestem przekonany, że będzie to kwestia życiowej decyzji, a nie zmiany postrzegania TGD. To, co tworzymy razem, jest dla nas ważne i bliskie, nietawo zostawia się *takie rzeczy*.

rozmawiała Judyta Syrek



foto: T. Wiazowski



muzyka
której
słucha

Tomek Bednarek

(wokalista grupy Leaf)

Jestem częścią tego pokolenia, które doskonale pamięta, co to pasja zdobywania muzyki, która była powszechnie niedostępna. Nagrywanie z radia, telewizora, zewsząd na szpulowy magnetofon.

Muzyka towarzyszyła mi, odkąd sięgnę pamięcią. Domowe radio „Dominik”, „Rozgłośnia Harcerska”, na wpół działający adapter i stare winylowe czarne płyty. Przykładałem ucho do głośnika, żeby doznania monofoniczne większe były. Pierwszą świadomą drogą muzyczną był punk rock i polska alternatywa. Doskonale pamiętam pierwsze festiwale w Jarocinie. Koszulki samoróbki z płytami Armii czy Moskwy. Pamiętam mistykę, jaką urzekła mnie „Legenda” Armii, do tej płyty do dzisiaj często wracam. Punk rock spowodował, że zapragnąłem grać. To była pierwsza klasa liceum, pierwsza polska gitara (koniecznie czarna), niekoniecznie strojąca. Do punka wystarczyło. Wtedy to po raz pierwszy poważnie zapalałem „miłością” do gitary elektrycznej. Później zaczął się czas trash metalu. Po przesłuchaniu płyty „Master of Puppets” Metaliki nie wierzyłem, że tak można grać. Zacząłem chłoniąc muzykę kilogramami, a że ojcowie moich przyjaciół często bywali na delegacjach za „żelazną kurtyną”, miałem dostęp do płyt na świeżo. „Metalizowanie” nigdy jednak nie zaspokajało mnie ideologicznie. Słuchałem namiętnie takich zespołów jak No Means No, Victims Family, No FX i ruch hard core stał mi się bardzo bliski. Nigdy nie zamykałem jednak drzwi na inną muzykę niż ta ciężka. Do dziś pamiętam, jak po raz pierwszy przesłuchałem płytę Depeche Mode – „Music for The Masses”. Kompletny odjazd.

Krokiem milowym w mojej przygodzie z muzyką było pojawienie się zespołów z Seattle i okolic, przezywanych „grungem”. Mother Love Bone, Pearl Jam, Alice in Chains i genialny

Soundgarden. To było zupełnie nowe, świeże, korzenne granie. Granie, które sprawiało, że człowiek wracał do korzeni rocka: Led Zeppelin, Deep Purple. Pamiętam do dziś, jak po raz pierwszy zobaczyłem na MTV teledysk Nirvany „Smells like Ten Spirit”. Podłoga! Śmieszne było to, że byłem w tym czasie posiadaczem identycznego swetra jak ten Kurta Cobaina z teledysku. Wszyscy mi zazdrościli. W tym czasie już głębiej działałem muzycznie. Pierwsze koncerty, Domy Kultury (klubów było wtedy na lekarstwo).

Różnorodność upodobań muzycznych bardzo przydała się w zespole Rainforest. Wraz z przyjaciółmi postanowiliśmy zanieść ludziom Dobrą Nowinę okraszoną zupełnie oryginalną muzyką. Graliśmy skomplikowany aranżacyjnie, ale klimatyczny fomet z towarzyszeniem fletu. Łączylismy wszystko, co nas inspirowało. Ot tak, żeby oryginalnie wyszło.

Dzisiaj mam w ręku jeszcze ciepłą płytę nowego zespołu, z nową muzyką. Piosenki Leaf inspirowane są takimi zespołami jak Radiohead, Blur, Smashing Pumpkins czy Placebo. Prosto, emocjonalnie, wyspiarska ekspresja. W tej muzyce jest dużo miejsca na wyrażenie emocji i to interesuje nas najbardziej. Głęboko, ciekawie, odkrywczco.

A w moim domku i tak króluje stary, dobry jazz. Jan Garbarek, Keith Jarrett, Casandra Wilson. Wszystkim zmęczonym polecam. No i nieśmiertelna Arka Noego, którą muszę śpiewać i tańczyć z moim małym Jonatanem do upadłego. P.S. Acha, polecam jeszcze zespół Sigur Ros z Islandii. Poleciałem wysoko... ■



List od Czytelnika

Korbielów 26.X.2003

Droga Redakcjo!

Na początku serdecznie wszystkich pozdrawiam i dziękuję za ten wspaniały kwartalnik, jakim jest RUaH. Właśnie słucham Maleo Reggae Rockers & Michael Black i jestem pod wrażeniem. Nie o płycie chciałabym napisać, ale o jednym wywiadzie zamieszczonym w RUaH 24/2003. „Przystanek Woodstock, to nie są ludzie z kosmosu”. Po przeczytaniu wywiadu z Darkiem Malejonkiem poczułam nieodpartą chęć napisania do Was i właśnie to czynię, ale żeby nie przedłużać, przejdę do konkretów. Byłam na Przystanku Woodstock, muszę przyznać, że miałam niemały problem z przekonaniem rodziców.

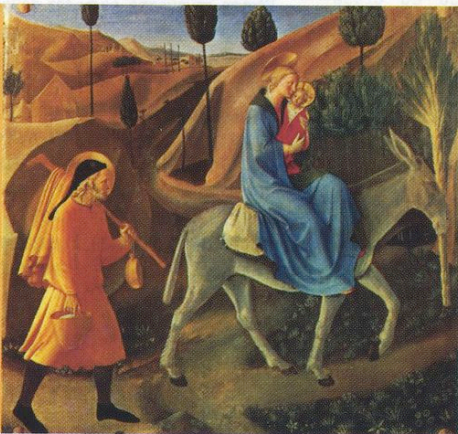
Słyszałam dużo negatywnych opinii na temat tego Festiwalu, a że muzyka jest moją wielką pasją, musiałam to sama sprawdzić. Uwierzcie mi, to, co zobaczyłam zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Mnóstwo namiotów, ludzi i ogromna scena. Spotkałam się tam z ogromną życzliwością, otwartością i zrozumieniem. Mogłabym tak długo wymieniać, ale to tylko potwierdza słowa Darka: „To nie są ludzie z kosmosu”. Jasne, istnieje tam problem nadużywania alkoholu, ale dlaczego tego typu problemy stają się fenomenem dla dziennikarzy szukających sensacji? Dlaczego nie napiszą o ludziach, którzy starają się pomóc pijącym? Dlaczego nie pokażą ludzi bawiących się przy muzyce, którą naprawdę kochają?! Cały czas zadaje sobie te pytania. Młodzież woodstockowa uważana jest za towarzystwo bez wartości, zasad, ale czy my jesteśmy od tego, aby innych oceniać?

Od trzech lat jeżdżę do Lednicy na Zesłanie Ducha Świętego. W tym roku poznałam Pawła, który cały tydzień wcześniej przygotowywał „pole” na to czuwanie. W Zarach spotkałam go w czerwonej koszulce Pokojowego Patrolu, wnioski nasuwają się same. W większości są to ludzie poszukujący wolności, zrozumienia, gdzie nikt nie będzie ich wytykał, mogą być sobą przez te dwa dni. Zgadzam się z Maleo, że „prawdziwą wolność można znaleźć tylko w Chrystusie” i dlatego zastanawia mnie brak Przystanku Jezus. Aby powiedzieć, że Jezus jest moim Panem, musiałam uwierzyć w to, że Ktoś, pomimo moich wad, słabości i grzechu bardzo mnie kocha, a w tym bardzo pomogła mi muzyka.

Znajomy opowiadał mi, jak w tamtym roku do namiotu Przystanku Jezus przyszło kilku punków i zaczęli się wyśmiewać z obecnych tam ludzi, a końcowy efekt był taki, iż sami zaczęli się bawić i wielbić Pana. Hare Krishna mają swój namiot i nikomu to nie przeszkadza, dziwne! Bardzo się cieszę, że mogłam na żywo usłyszeć Triquetre. To, że zagrała na Woodstocku, może też coś oznaczać. Koncert Maleo Reggae Rockers, myślę, wszyscy będą długo pamiętać, ja na pewno! Bardzo dziękuję za poświęcony czas. Życzę wszelkiej pomyślności.

Monika

PS. Tak się składa, że miałam okazję być na koncertach Pytki Doś i Antibabilon System. Są to świetne zespoły i bardzo się cieszę, że więcej ludzi mogło je poznać przez RUaH. Dzięki!



news

HANIA

uwaga:
debiut



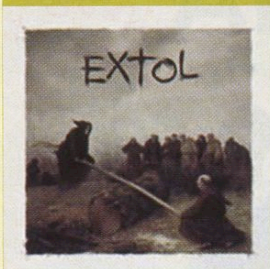
1. XII 2003 roku światło dzienne ujrzał debiutancki album instrumentalny Hani Pawłowskiej zatytułowany „Vision”. Fanom dobrej muzyki Hania znana jest przede wszystkim jako flecistka takich formacji jak TGD i Missio Musica. Zachęcona bardzo ciepłym przyjęciem w czasie zeszlorzocznych solowych występów w USA, Hania rozpoczęła pracę nad swoją własną płytą. Kompozycje, które znalazły się na krążku, to stare (najstarszy ma około 1000 lat!), często już zapomniane hymny kościelne w świeżych, współczesnych aranżacjach. Możliwości fletu, jakie prezentuje Hania, daleko przekraczają stereotypy na temat tego instrumentu. Jeżeli dodać do tego połączenie elektronicznych brzmień z „żywym” instrumentarium – od kwartetu smyczkowego przez kontrabas, klawisze, gitary, a na etnicznych przeszkadzajkach kończąc – to otrzymujemy dawkę niezwykłych dźwięków. Smaczku całości nadają również elementy rapu i wokalizy. Stylistycznie jest to mikstura z pogranicza popu, jazzu, ambientu plus spora dawka beat'u i elementów etnicznych. Wszystko to w wykonaniu muzyków z czołówki polskiej sceny muzycznej. Całość doskonale wyprodukował Paweł Zarecki, który w tym roku otrzymał statuetkę Fryderyka w kategorii Producent Roku. ■

Koncert koładowy TGD w TVP2

TGD przygotowało projekt koładowy z udziałem Czesława Niemena, Natalii Niemen, Mietka Szczęśniaka i Beaty Bednarz. Dnia **21 grudnia** br. TGD wystąpi z repertuarem świątecznym w radiowej Trójce. Natomiast w wieczór wigilijny o godzinie **17.10** i **20.20** TVP2 wyemituje dwuczęściowy koncert koładowy, którego reżyserem jest Elżbieta Skrętkowska. Produkcja ta będzie największym wydarzeniem muzycznym tegorocznych świąt w TVP2. W styczniu 2004 r. będzie można usłyszeć kołody w wykonaniu TGD podczas trasy koncertowej zespołu. Więcej informacji na: www.tgd.kdm.pl ■

EXTOL

Synergy



CENTURY MEDIA
płyta
2003

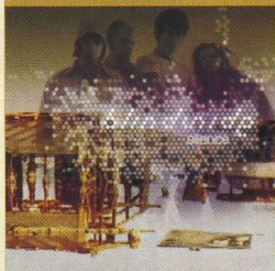
Na tę płytę czekałem z ogromną niecierpliwością, jednak kiedy wreszcie kupiłem „Synergy” i popłynęły dźwięki, poczułem się lekko zaskoczony i... nieco rozczarowany. Te odczucia towarzyszyły mi już do końca płyty. Nie odstawiłem jej jednak na półkę, lecz posłuchałem po raz kolejny. A później kolejny... Teraz, po kilkunastu przesłuchaniach, mogę śmiało powiedzieć, że „Synergy” to bardzo dobra płyta, jednak odmienna od swojej poprzedniczki „Undeceived”. Roboczy tytuł albumu brzmiał „Thrash Synergy” i muszę przyznać, że doskonale odzwierciedlał zawartość krążka. Najbardziej zauważalną zmianą jest maniera „śpiewu” wokalisty. Peter zamienił swoje blackowe growle na bardziej „krzyczone” wokale. W paru utworach powraca do swojego dawnego stylu, jednak jest to zaledwie parę momentów. Obecnie wokół Extol przywodzi na myśl Believer. Zresztą, nie tylko głos budzi takie skojarzenia, również muzycznie zespół zdecydowanie podąża ścieżką przetartą przez tę kapelę, grając niezwykle techniczną, połamaną muzykę. Jednak najistotniejszą różnicą jest to, że nowe kompozycje Norwegów są zdecydowanie mniej melodyjne. Nie znaczy to, że album jest bardziej brutalny, cięższy. Po prostu utwory mają jeszcze bardziej złożoną strukturę, jeszcze więcej tu eksperymentu, momentami zespół ociera się wręcz o jazz – fani melodyjnego death metalu spod znaku *in flames*, którym „Undeceived” mógł przypaść do gustu, nie mają już tu za bardzo czego szukać. Ta płyta jest raczej dla wielbicieli „pokręconego” metalu w rodzaju Meshuggah czy Spiral Architect. Jednak, choć Extol postawił raczej na technikę niż melodię, to można znaleźć tu naprawdę piękne momenty, chociażby w otwierającym płytę utworze „Grace for Succession”, gdzie Ole Borud, gitarzysta grupy, udowadnia po raz kolejny, że ze śpiewaniem radzi sobie co najmniej tak dobrze, jak z gitarą. Zresztą na „Synergy” śpiewane wokale pojawiają się w większości utworów, choć czasem jest to zaledwie parę linijek tekstu. Niektóre momenty przywodzą nawet skojarzenia z Rush (!). Polecam tę płytę wszystkim otwartym na ostrą, niebanalną muzykę. Należy jednak pamiętać, że nie jest to album, który wpada w ucho już po pierwszym przesłuchaniu. Tej płycie należy poświęcić

naprawdę sporo czasu i uwagi, aby ją docenić. Jeszcze jedno: zespół wydaje obecnie Century Media, jedna z większych europejskich wytwórni zajmujących się szeroko rozumianą muzyką metalową – w ogromnej większości daleką od chrześcijaństwa lub antychrześcijaństwa. Mimo tego EXTOL nie poszedł na kompromis i tak w tekstach, jak i w wywiadach nadal otwarcie mówi o swojej wierze w Boga. To dla mnie jest świadectwo.

Jan Trębacz

BLINDSIDE

Silence



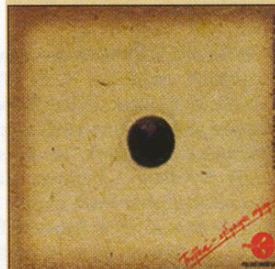
Elektra Asylum
płyta
2003

O Blindside dowiedziałem się przeglądając wkładkę płyty „Satellite” grupy P.O.D. Christian, wokalista Blindside, występuje tam gościnnie w utworze „Anything Right”. Jego głos zapadł mi w pamięć na tyle mocno, że kiedy zobaczyłem CD w sklepie, zdecydowałem się ją kupić bez dłuższego przesłuchiwania. Z perspektywy czasu muszę powiedzieć, że warto było. „Silence” to czwarte nagranie Szwedów, a zarazem debiut pod skrzydłami amerykańskiej wytwórni Elektra. Producentem płyty jest Howard Benson, człowiek znany ze współpracy z P.O.D. Te dwa zespoły łączy również przyjaźń i muzyka, jaką wykonują, a którą ogólnie zaliczyć można do nurtu hardcore. Jednak Szwedzi nie są bynajmniej bezkrytycznymi naśladowcami swoich amerykańskich kolegów. Na płycie, za wyjątkiem kilku wstawek, nie ma rapowanych wokali. W niektórych momentach zespół brzmi bardziej alternatywnie/pop-rockowo, w innych ociera się niemal o pop-punk, jednak generalnie wszystkie utwory na „Silence” utrzymane są w podobnym klimacie emo-core'a: ciężkie, przesterowane gitary, śpiewane, pełne uczucia wokale, od czasu do czasu przenikliwy krzyk. Piosenki dość łatwo zapadają w pamięć, kapeli udało się nagrać parę tzw. hiciorów, np. „Caught a Glimpse” i „Sleepwalking”. Jeśli jednak myślicie, że Blindside gra proste pioseneczki, to grubo się mylicie. Pod powierzchnią pięknych melodii śpiewanych przez Christiana kryje się wiele połamanych riffów, dysonansów, zmian i niespodzianek, które mogą odstraszyć słuchaczy oczekujących przemięlanej, spreparowanej popowej papki, nie wymagającej żadnego intelektualnego wysiłku. Dla mnie Blindside to odkrycie kilku ostatnich miesięcy!

Jan Trębacz

RAZ DWA TRZY

Trudno nie wierzyć w nic



Polskie Radio S.A.
płyta
2003

Najnowsza płyta zespołu Raz, Dwa, Trzy jest ukoronowaniem jego kilkuletniej ewolucji artystycznej. Wiodła ona od grupy o rodowodzie studencko-kabaretowym do w pełni dojrzałej twórczości o charakterystycznym brzmieniu i głębokich, poetyckich tekstach lidera, Adama Nowaka. Stanowią one wyraz jego osobistych duchowych poszukiwań.

Pierwsze przejawy tego zwrotu można znaleźć już na płycie „Cztery” (np. „W wielkim mieście” i „Trwajmy”) oraz na kolejnej płycie „Niecud” (np. „Raka”, „Nie tylko dla Ciebie” i „Spójrz-widzę”). Jednak oprócz takich piosenek, płyty zawierały sporo utworów stanowiących poetycki komentarz do bieżącego życia („Żyjemy w kraju”), czasem zaś dowcipny portret aktualnych przemian obyczajowych („Ona palcem dotyka”).

Na płycie „Trudno nie wierzyć w nic” z trudem można znaleźć piosenki w dawnym stylu. Wyraźnie przeważa osobista refleksja autora tekstów nad życiem, wręcz rodzaj jego podsumowania, a głębia każdego z utworów działa na korzyść nowego oblicza zespołu. Dodatkowym walorem tych piosenek jest ich uniwersalność, bo zawarta w nich warstwa religijna nie jest ani nachalna, ani zbyt uproszczona. Czuje się w nich zmagania autora o kształt własnego życia i pewien trud, z jakim przebija się do doświadczenia nadziei. To sprawia, że słuchacz też jest inspirowany do podobnego zatrzymania i refleksji i może w jakiś sposób w tych poszukiwaniach uczestniczyć.

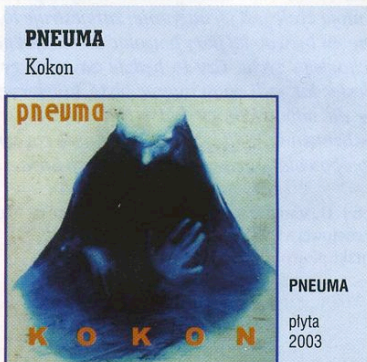
Strona muzyczna płyty też zawiera pewne widoczne zmiany. Z bogactwa dawnych brzmień (czasem folkowych) zespół zwraca się do aranżów surowszych, czasem rockowych. Dobrze współbrzmie to z oszczędnymi tekstami i stanowi dodatkowe wzmocnienie ich głębi. Najlepszym potwierdzeniem tego, że nowe wcielenie zespołu dobrze zostało przyjęte przez jego słuchaczy, jest fakt, że do października 2003 grupa sprzedała już 46 tysięcy egzemplarzy płyty.

Cezary Sękalski



Długo kazano nam czekać na tą płytę. Ale na pewno było warto. Mało takich płyt wychodzi w naszym kraju. „Album” zespołu Leaf to muzyka ekspresyjna, na swój sposób piękna i emocjonalna. Płyta zaskakuje różnorodnością: od mocnej jazdy („Pank Toś”), z Litzą na gitarze, po pełen spokój, powietrze i przestrzeń („Jesli”). Muzyka Leaf ma mnóstwo energii, ale emanuje jakimś głębokim spokojem, refleksją. Przypomina o miłości Boga i nie ukrywa słabości, codzienności. Lektura obowiązkowa.

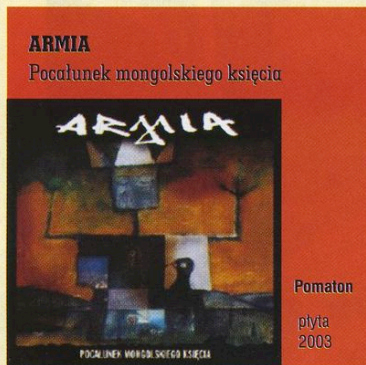
Blum



„Kokon” to nie jest dobry tytuł dla tej płyty. Jeśli wziąć pod uwagę, o czym chłopaki śpiewają, tzw. zawartość merytoryczną, obrazowaną w warstwie lirycznej niniejszego dzieła – jest to tytuł najlepszy. Natomiast, gdyby tytuł miał oddać w sposób obrazowy muzykę na niej skomponowaną, proponowałbym mniej skomplikowane, a o ile trafniejsze wyrażenia, takie jak: żyłeta, walec. Otóż to: walec, najlepiej z kolecami. Ostrzegam, nie każdemu taka muzyka się spodoba (raczej fanom cięższej gatunkowo opcji), mnie jednak ona poraża. Dotyka takich strun w mojej duszy, których istnienia nie podejrzewałem, do momentu jej przesłuchania. Na osobną uwagę zasługują gościnne popisy artystki znanej do tej pory z lżejszego repertuaru. To JAK Viola zaśpiewała w dwóch kawałkach woła o pomstę do Nieba (oczywiście tylko z jednego powodu – dlaczego tak mało, dlaczego nie na całej płycie??). Trochę ratuje sytuację remix

pierwszego numeru w stylu world music – bardzo ciekawa rzecz. To zdumiewające, jaką ewolucję może przeżyć zespół na przestrzeni trzech płyt. To jest jak zafascynowanie („wiatr wieje...”), dorastanie („berakha”) i dojrzewanie („kokon”). Ostatnia płyta wygląda mi na produkt finalny muzycznych poszukiwań Pneumy. Są zespoły, które muszą nagrać pięć, są takie, które muszą nagrać płyt jedenaście, zanim swój własny styl odnajdą.... Gdańszczaki (tak mi się wydaje) zrobili to za trzecim podejściem. Mocna rzecz, mój typ na długie miesiące, jeśli nie lata.

Grzegorz Wacław



Żona mówiła, żebym się nie brał za tę recenzję: przecież ty nie napiszesz źle o Armii, że niby tak wiele lat z nimi byłem związany. Otóż właśnie, że przez tyle lat i to na dokładkę najlepszych lat – najtłustszych – teraz mogę porównać sobie to, co było, z tym, co jest. A wbrew pozorom jest całkiem niezłe. Co

Zwany Dzikim



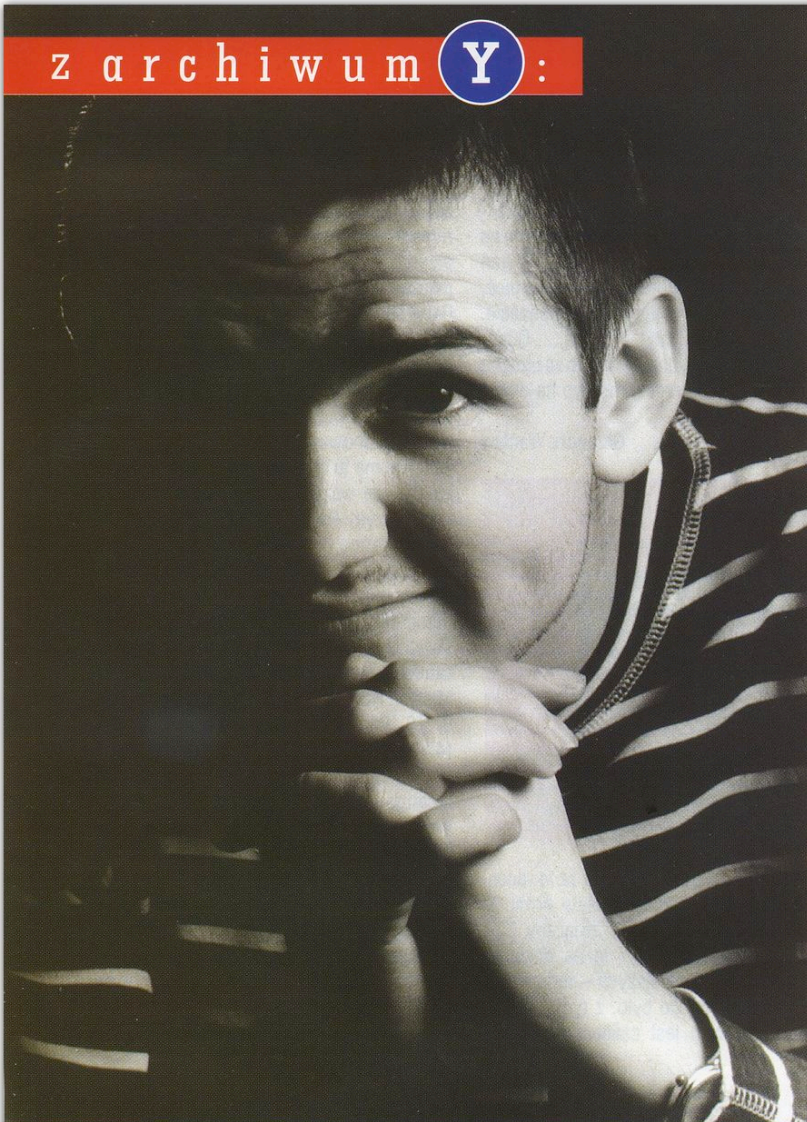
Grupa Armia w karykaturze mberreza

Urojenia
już tak do końca
bań się baje
zbudzi z odrętwienia
by na świecie nie było źle
pod okiem słońca
rzeka co szumi
nawróć się
ja chcę dobrze
poza tym wszystko tu jest
to jest spotkanie
na samym dniu
zakochałem się za późno
jedno ubogie słowo

od pracy nad sobą
już mi wyszły zęby i włosy
nie warto nie warto
tego nie można wziąć
to wszystko darowane
jak jest napisane
w szarej przystani
miłość
śmierć
zmartwychwstanie.

*dziki człowiek
wyrwany z paszczy lwa**
*wszystkie słowa Budzy
(tak mi się wydaje)





Piotr Pawlicki

W jego piosenkach fruwać anioły, ludzie kochają się i wielbią Pana. Teksty, które pisze Piotr są pełne Nieba, Błękitu, Przestrzeni. Sam autor mówi o utworach, że wypełniają się poprzez wędrowanie, wrażliwość, kruchość, szczerłość, Tajemnicę, Prawdę, „latanie”... I właśnie tym, którzy od czasu do czasu lubią sobie polatać twórca dedykuje swoje piosenki. Piotr jest laureatem wielu Festiwalu m.in.: w Lublinie („Zakeria”), Gostyniu („Święta Góra”), Kwidzynie („Kerygmat”), Górcie Klasztornej („Maria Carmen”), Bochni („Ad Gloriam Deiparae”), Gniewie („Bazuna”), Toruniu („Katar”, „Pio-Tur”), Katowicach („Ekosong”). W 2001 roku otrzymał specjalną nagrodę ufundowaną przez Radio Niepokalanów w postaci sesji nagraniowej, a w roku 2002 w organizowanym przez STUDIO DR konkursie dla zespołów chrześcijańskich, projekt Piotra dostał wyróżnienie, które obejmowało nagranie kilku utworów.

Dwie jego piosenki znalazły się na płytach dołączonych do naszego magazynu („RUaH” nr 8 i 19), natomiast utwór „Bo kocham” umieszczono na płycie – cegiełce wydanej przez Radio Niepokalanów we współpracy z MIX Studio Dźwięku na rzecz wsparcia rozwoju radiostacji.

Koncerty Piotra poprzedzały występy takich wykonawców jak: Mietek Szcześniak, Jozsko Broda, New Life 'M, czy Ryszard Rynkowski. Na pytanie: „Kiedy płyta?”, Piotr odpowiada: *Jeżeli w Bożych planach na moje życie jest jej nagranie, zarejestruję to, co dane mi było do tej pory powołać do muzycznego duchowego życia. Czy to będzie za rok, czy za dziesięć lat, jeśli mam nagrać płytę, to wierzę, że Bóg da odpowiednich ludzi i pieniądze na jej zrealizowanie. Najpierw ja sam muszę rozeznać swoje powołanie, swoją drogę w oczach Boga.* ■

Więcej „O lataniu” i o Piotrze można przeczytać na stronie internetowej www.piotrpawlicki.kdm.pl
Kontakt: piotrpawlicki@kdm.pl tel.: 0507-189-249



z a p i s t n i k

Tośki Krzysztoń

Dom bez dachu

Zawsze coś w końcu przychodziło mi do głowy.

A tu nic.

Za oknem pogoda z mokrym ryjem i do tego przenikliwie zimno.

Usiadłam w fotelu przy łóżku i odruchowo spojrzalam na ścianę – Chrystus z Płaczek.

x x x

Wiele lat temu przywędrowałam do maleńkiej podczęstochowskiej wioski, o przejmującej nazwie - Płaczki.

Wśród innych domków z kamienia rzecznego,

przykuł moją uwagę dom bez dachu: wokół zdziczałe jabłonki, otulony krzakami z jednej strony, osłonięty koroną drzewa. Stałam na progu. Nacisnęłam klamkę. W łóżku rosły wysokie trawy, z wpółotwartej szafy wзираły zmurszałe stroje. Przez uchylone okno wpadał strumień słońca. Pachniało podgrzaną roślinnością. Cisza. Miałam wrażenie, jakbym stała tu zawsze.

x x x

Wracałam do Warszawy z Chrystusem, który odtąd wisi na ścianie wszystkich pokoi, w których mieszkam.

Oleodruk wyżłobiony przez czas i deszcze - rozpięty w moim sercu.

Ps. Moi drodzy pozdrawiam Was i życzę pogody ducha, także w dni słotne. ■

szukam Ciebie

CD 31
RUaH
MAGAZYN
MUZYCZNY
paganini

SOOL * TRZECIA GODZINA DNIA * MAGDA ANIOŁ
PUMA * HANIA * VIOLA & NEW DAY * DUCH
JOLA SZCZEPANIAK * 40+30/70 * PIOTR PAWLICKI
ANTONINA KRZYSZTOŃ * ZESPÓŁ W SKŁADZIE
PNEUMA * MISTERIUM VERBI

1. SOOL „Moje życie”
sl. i muz. Barbara Włodarska 4'20
2. T G D „Mój ląd”
sl. Piotr Nazaruk i Ewa Alimowska, muz. Piotr Nazaruk 4'00
3. MAGDA ANIOŁ „Coś się święci”
sl. i muz. Adam Szewczyk 3'03
4. PUMA „Modlitwa”
sl. Julita Starbala, muz. Julita Starbala i Jarosław Zawadzki 4'32
5. HANIA „Holy, holy, holy”
muz. John B. Dylkes 4,47
6. VIOLA & NEW DAY „Mizerna cicha”
sl. i muz. tradycyjne 4'39
7. JOLA SZCZEPANIAK, Maciej Cybulski i zespół wokalny Bassanda „Mędracy świata”
sl. i muz. tradycyjne 4'05
8. 40+30/70 „Kołęda o sercu”
sl. i muz. Robert Ruszczak 5'15
9. PIOTR PAWLICKI „A-je, u-α”
sl. i muz. Piotr Pawlicki 3'57
10. ANTONINA KRZYSZTOŃ „Szukam Ciebie”
sl. i muz. Antonina Krzysztoń 2'07
11. ZESPÓŁ W SKŁADZIE: Robert Drężek, Łukasz Klucznik, Przemek Pacan, Krzysztof Kmiecik
„W żłobie leży” sl. i muz. tradycyjne 4'13
12. PNEUMA „Gdzie”
sl. i muz. Kuba Mańkowski 6'24
13. DUCH „Historyjka”
sl. i muz. Michał Maciudziński 2'50
14. MISTERIUM VERBI „Gnoza”
sl. i muz. Marcin Jeziorek „Jazor” 2'05

Wydawca płyty:

paganini s.c. 31-135 Kraków, ul. Batorego 25/11
tel./fax 012-623 71 81, tel. 012-623 71 82 e-mail: firma@paganini.com.pl

CD 31
RUaH
MAGAZYN
MUZYCZNY
www.ruah.pl

płyta dołączona do numeru 25 kwartalnika RUaH (25/2003)

szukam Ciebie

1. SOOL „Moje życie”
2. T G D „Mój ład”
3. MAGDA ANIOŁ „Coś się święci”
4. PUMA „Modlitwa”
5. HANIA „Holy, holy, holy”
6. VIOLA & NEW DAY „Mizerna cicha”
7. JOLA SZCZEPANIAK „Mędrcy świata”
8. 40 + 30/70 „Kolęda o sercu”
9. PIOTR PAWLICKI „A-je, u-a”
10. ANTONINA KRZYSZTOŃ „Szukam Ciebie”
11. ZESPÓŁ W SKŁADZIE „W żłobie leży”
12. PNEUMA „Gdzie”
13. DUCH „Historyjka”
14. MISTERIUM VERBI „Gnoza”

CD 3.1
RUaH
pagani
www.ruah.pl

ISSN 1428-5983 WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE. ZAKAZ BIEM EGZEMPLARZ NIE NA SPRZEDAŻ